

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 139

Przy
dochodzeniu
śledczem.



Eliza Orzeszkowa

NOWELLE

Elizy Orzeszkowej.



Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

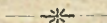
47. Nowy-Świat 47.

1900.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Rocznie . (52 tomy). rs. 10
Półrocznie (26 tomów) „ 5
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwart.

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów). „ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów). „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Główni współpracownicy:

Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święciokl.

BEDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowsk.



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 504,
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

Przy dochodzeniu śledczem.



Orzesz

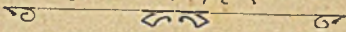
Pny

~~*820*~~

8-3

№ 820

Eliza Orzeszkowa.



Przy dochodzeniu śledczem.

NOWELLE.



~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH~~

~~Nr 820~~

WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy-Świat 47.



821.162.1-3

Дозволено Цензурою.
Варшава 13 Іюня 1900 года.



SN 22034

Przed rokiem zaledwie Aleksy von Szarłow ukończył studia uniwersyteckie, a już, dzięki staraniom i wpływowi swej możnej, światowej, w stolicy mieszkającej ciotki, zajmował urząd sędziego śledczego w jednym z zachodnich miast państwa. Syn pułkownika Pawła von Szarłow, szeroko niegdyś słynącego z pięknej swej powierzchowności, nie zrównanej jazdy konnej, galanterii dla dam, i dobrodusznym, wesołym instynktów, które skłaniały go do rozrzucania tak uczuć, jak pieniędzy na wszystkie wiatry świata, Aleksy wydawał się tym, którzy znali świętego niegdyś huzara, wielce podobnym do swego ojca i zarazem zupełnie do niego niepodobnym. Ta sama rasa, ta sama krew, ale inne czasy i inny sposób życia.

Odziedziczył on po ojcu swym wzrost wysoki, lekko zarumienioną białość twarzy, źrenice błękitne i złotawo-rude włosy, a z nad czoła gęstą i długą falą w tył spływającą, i krótkim zarostem okalającą ściągłe policzki. Ale ktokolwiek pamiętał silnego, muskularnego, w ćwiczeniach wojskowych i wesołym życiu szeroko rozrosłego pułkownika, ten przyznać musiał, że długi szereg lat, spędzony wśród mgieł i wyziewów wielkiego miasta, na szkolnych i uniwersyteckich ławach, nad książkami i piórem, w sposób szczególny zwięził i zwałił postać jego syna. Tam było panowanie żelaznych mięśni i wartkiej, gorącej krwi, tu wzięły przewagę gorączkowo

pracowite czynności mózgu i nerwów. Młody ten człowiek rósł i dojrzewał w atmosferze przesyconej pierwiastkami współczesnych namiętności i idei świata, które na twarzy jego wycisnęły piętno surowości, a w źrenicach roznieciły płomień budzonych przez się zapalów. Z zarysu i poruszeń delikatnych warg jego, z groźnego niekiedy zsuwania się brwi, z ponurej prawie błyskawicy, która często i na długo zapalając się w jego oczach, gasła potem w mgle smutnego lub miłosnego rozmarzenia, łatwo było odgadnąć chorobliwą niemal wrażliwość na wszystkie dźwięki, z których składa się olbrzymia i odwieczna pieśń ludzkich żalów i żądź, miłości i nienawiści.

Wszystkie te cechy ujawniały się wyraźnie w chwili, gdy Aleksy w małym swem mieszkaniu, z piórem w ręce, pochylał się nad dużem i znaczną ilością papierów zapełnionem biurzem. Biuro to stało w głębi obszernej alkowy, zaopatrzonej w okno, a szerokiem wejściem połączonej z salonikiem, za którego dwoma oknami szemrała i turkotała ulica niewielkiego, ale dość ludnego i ruchliwego miasta.

W saloniku, skromnie, lecz nie bez pewnej wytworności urządzonym, najwięcej miejsca zajmowały książki i dzienniki; alkowę zato napełniały przedmioty, mające ścisły związek z obowiązkowemi czynnościami młodego urzędnika. W mocno zamkniętych szafach odgadnąć można było stosy zapisanych papierów, z których każdy nosił na zewnętrznej swej karcie wypisane nazwisko człowieka, którego winy prawdziwość i stopień tu właśnie ulegały badaniu i dochodzeniu. Pewna ilość takich papierów piętrzyła się także na stołach i biurku, a pomiędzy nimi widać było porozrzucane szkice rysunkowe, przez które sędzia śledczy uwyrażniał i udokładniał obrazy i szczegóły badanych miejsc i wydarzeń. Te urywki pejzażów, często malowniczych, a zawsze spokojnych, te wnętrza wiejskich i miejskich mieszkań, wysuwając się z pod bibuły okrytej sztywnem, kancela-

ryjnym pismem, zadziwiały zrazu i pociągały oko czemś tajemniczem, czemś, czego się tu spodziewać nie było można, a co myśl i wyobraźnię pociągało daleko od tej alkowy i tego biura i tej szumiącej za oknami ulicy, ku jesiennemi badyłami porośłym ogrodom, ku ścieżkom wijącym się wśród samotnego pola, ku cichym izbom, gdzie w zimowe wieczory płoną wielkie ogniska rodzinne, dzwonią dziecinne śmiechy, sucho kołaczą krośna gospodyń.

Nagle widz przypomniał sobie, że po tych ogrodach i ścieżkach chodziły występki, że te ogniska zakrwawiała zbrodnia. Ale nie same tylko te rysunki przypominały w tem miejscu podziemne i nocne dzieje. Na krzesłach i ziemi spoczywały tu przedmioty w nagromadzeniu swem bardzo dziwne. Były to grube wory, pełne ohydnych jakichś łachmanów, kawałki płótna i sukna z błotnistemi albo rdzawemi plamami, żelazne narzędzia o niepojętych kształtach, kije węzłowate i ciężkie toporki, noże, powrozy, nawet kamienie, tu i owdzie kartki brudne, grube, prawie nieczytelnem pismem okryte, tłuszczem przesiąknięte pugilaresy i notatniki, kawałki cuchnących rzemieni, potwornie stopy ludzkie naśladowujące obuwia—cały arsenał poszlak, wskazówek, dowodów... Wielki smutek rzeczy, a zarazem inteligentna i gorliwa praca urzędnika sprawiedliwości napełniały tę alkowę, w której głębi, o dość wczesnej porannej godzinie, Aleksy von Szarłow pisał list do przyjaciela:

„Stanowczo, kochany mój Sergiuszu, pokolenie nasze nie umie wspominać i z kipiącego życia teraźniejszości dystylować sobie ckliwej, ale podobno subtelnej woni grobów. Gdy przyszliśmy na świat, morze wzbierało. Wielkie nowe wody zalały stare twierdze nadbrzeżne; jak okiem sięgnąć, rozum i przesąd, krzywda i przemoc, ciemności i świty, i nie wiem co jeszcze więcej, jak fale z różnych stron przyplywają, rosną, pienia się, następują wzajem na siebie, uderzają się piersiami, z takim szumem i hu-

kiem, że czując w sobie ich ruchy i głosy, przestajesz często czuć samego siebie.

„My, załoga portowa, musimy biegać z miejsca na miejsce, z toporem, sondą, z kielnią, z cyrklem—tu badać głębiny otchłani, tam dopomagać zniszczeniu, gdzieindziej rozmierzać miejsca dla nowych gmachów, albo już do ścian rozpoczętych przylepiać cegielkę, dla której uosobienia oddajemy zawsze część naszej krwi serdecznej, a czasem i nasze życie. Gdzież nam do wspomniania i wygrzebywania z pamięci różowych naszych poranków! Południa nasze upalne i chmurne, a wieczory nadchodzą szybko.

„Wspominali i blaskami poranków swych bawili się ci, którym dzień cały pogodny był i wesoły, ci wiedzieli, w co mieli wierzyć, jakich rozkazów słuchać, i mniemali, że słońce i gwiazdy obracają się dokoła nieruchomej ziemi. Myśmy nie tylko dowiedzieli się, że ziemia nie jest nieruchoma, ale i zapragnęliśmy własnymi piersiami popchnąć ją do przód-szego ruchu. Kto szybko biegnie i jeszcze coś ciężkiego przed sobą popycha, ten nie ogląda się za siebie. Zatraciliśmy nawet w sobie zdolność patrzenia wstecz. Dlatego pogardziliśmy historią, tą nauką, która tak szerokie miejsce zajmuje w ukształceniu narodów stagnacyjnych, ciągnących za sobą wóz olbrzymi, na którym rozsiada się, stopami swemi gło- wy ich gniotąc, ospały i ciężki bożek tradycji.

„Ty wiesz najlepiej, czy i jak kocham naukę, i czego od niej spodziewam się dla świata. Ale historyi nie lubiłem nigdy. Nie lubiliśmy jej obaj: nie zajmowała nas, bo nie mówiła nam nic o terażniejszości; gardziliśmy nią, bo nie nauczała nas, jak mamy sobie radzić z terażniejszymi naszymi bólami i dążeniami. Więc też pierwszy lepszy zachodowiec osłupiałby ze zdumienia, gdyby, zajrzawszy do głowy takiego jak ja patentowanego jurysty, ujrzał całą zupełność jego nieświadomości w rzeczach, dotyczących się dziejów przeszłych własnej nawet jego ojczyzny.

„Ale ja i własnej swojej historyi nie znam, nie lubię, nie wspominam. Co mi z niej? co świata z niej? Teraźniejszość i przyszłość, czyli przeszłość zaszczepiania na pniu teraźniejszości, to dla mnie wszystko, o co dbam, co może mnie zajmować, cieszyć, udęczać. Tym to usposobieniom przypisuję zupełną obojętność i brak wszelkich wyraźnych wspomnień, z jakimi przybyłem w strony, w których upłynęła mi część dzieciństwa. Wyobrażam sobie, co by się też działo z Pawłem von Szarlow, niezapomnianym ojczulkiem moim, gdyby go tak, jak mnie w dojrzałości wieku, los przywrócił miejscom, do których u pierśi swej przywiozła go była matka, a które opuścił dużym ośmioletnim chłopcem, wślad za opuszczającym te strony, zrujnowanym i owdowiałym ojcem.

„Paweł von Szarlow, wypieszczony syn bogatej obywatelskiej rodziny, a potem świetny i wesoły huzar, znajdowałby na każdym kroku pełno rozczulających wspomnień; co większa, wyszukiwałby je starannie, wyławiał z dna swej pamięci, odgrzebywał z pod każdego przydrożnego kamienia, takby ich woń subtelna i barwa jutrenkowa wydawały się mu uroczeni. Byłoby tu co niemiara wykrzykników, westchnień, rzewnych uśmiechów. Raz wraz wybiegałyby mu na usta słowa i frazesy: Droga nieboszka matka! mała, tu pogrzebana siostrzyczka (w tych stronach ojciec mój stracił małą siostrę; ale pozostały mu dwie inne, które szczęśliwie wyrosły, a z których jedną jest nieoceniona moja wychowawczyni i dobrodziejka, ciocia Tonia); tu biegałem! tam wyrządziłem komuś jakąś psotę! owdzie za karę klęczałem! a tam znów siedziałem pod drzewem i jadłem doskonale wiśnie! I ręczę, że pomimo całej szerokości swych ramion i okrywających je epoletów, pułkownik miałby często łzy w oczach. Ja, nie.

„Wiem, że w tej gubernii mieliśmy spory majątek (podobno 500 dusz poddanych), kupiony przez mego dziada, czy za zasługi mu darowany; wiem,

że po stracie dóbr, posiadanych gdzieindziej, ojciec mój przywiózł tu swoją rodzinę i że gdzieś, w tych stronach, blisko tego miasta, w którym przebywam obecnie, mieszkaliśmy lat kilka, poczem matka moja umarła, majątek poszedł wślad za poprzednikami swymi, czyli rozsypał się po kieszeniach lichwiarzy i różnego gatunku wierzycieli, a myśmy wyjechali do stolicy, gdzie ojca, siostrę moją i mnie wzięła pod swą opiekę ciocia Tonia... bo byliśmy jako ptaki, które nie sieją i nie orzą, albowiem nie mają już gdzie orać i siać. Wiem o tem wszystkim, ale nie dotyka to wcale moich uczuć.

„Jedno tylko: Odkąd tu przybyłem, częściej niż przez kilka lat ostatnich przypominam sobie ojca. W tych stronach już będąc, zażądał on dymisyi, i otrzymawszy ją, zaczął naprawdę przebywać ze swą rodziną. Wprzód życie wojskowe często łączyło go z żoną i dziećmi, które, pomimo wesolego życia swego i głośnych romansowych przygód, kochał, o! i jak kochał! Opuszczenie służby wojskowej, którą lubił, dla której był jakby stworzonym, kosztowało go wiele, ale krok ten dla siebie bardzo ciężki, uczynił w celu ciągłego już przestawiania z żoną, która na zdrowiu zapadać zaczęła, i uratowania dla dzieci resztek znacznej niegdyś fortuny. Mniemał, że siedząc na wsi i gospodarząc, pozbędzie się kosztownych swych przyzwyczajień, rozstanie się na zawsze z kartami, romansami i hulanką. Nie udało się, krew burzyła się, jak wprzód. Do dyabełka i butelki zabrakło towarzyszy huzarów — znaleźli się inni.

„Ta fortuna pękła, jak tamte, ale przez lat kilka ojciec często, w przestankach pomiędzy zabawami, przebywał w domu, z nami, a im więcej za domem stracił i nagrzeszył, tem czulszy potem i serdeczniejszy był dla nas. Dobry był. W naturze jego było dziwne pomieszanie burzliwości i dobroci, słabości i odwagi. Na wojnie waleczny żołnierz i wódz wy-

borny, w życiu prywatnem, oprócz żony i dzieci, nie skrzywdził nikogo; pewien jestem tego tak, jak uderzeń własnego serca, które silniejszemi stają się, gdy sobie jego długo wspominam.

„Ale ruinę majątkową, która matce naszej skróciła życie, a nas pozbawiła możności próżniaczego zbytkowania, myśmy mu przebaczyli i matka, i siostra, i ja... który nie potrzebowałem przebaczać, bo na co mi wielka fortuna? Mnie wstyd nawet czasem tych miękkich stołków, na których siadam i tego cienkiego tużurka... [Przebaczyliśmy wszystko temu dobremu i pięknemu człowiekowi, którego obraz, w pracy i gwarze lat uniwersyteckich zatarty nieco w mej pamięci, żywy i kochany, staje teraz przedemną często i jest jedyną pamiątką przeszłości, którą lubię i z którą rozstać się nie chcę, a gdybym chciał, nie mogę, bo nie ja jej szukam, ale ona we mnie mieszka i żyje...”)

Tu Aleksy von Szarłow pisać przestał i nie wypuszczając pióra z ręki, podniósł z nad papieru oczy zamglone miłosnem prawie marzeniem. Rysy jego zmiękły, czoło wypogodniało, smutny trochę uśmiech złagodził zarys ust najczęściej surowych. Po chwili jednak zawstydził się snadź swego rozrzewnienia i śpiesznie znów pisać zaczął:

„Otóż i uderzyłem w strunę sentymentu. Taką to już nasza natura. Rób, co chcesz, krzep się przeciw mazgajstwu, twardnij w gniewie na niesprawiedliwości i nikczemności świata — bez sentymentu obejść się nie możesz i choć kiedy niekiedy stawać się musisz gołębiem gruchającym nad czemkolwiek lub do kogokolwiek. Nie zawsze ja jednak myślę o tym kochanym człowieku, który przed dziesięciu już laty położył się w mogile. Przybywając w te strony, żywiej go sobie przypomniałem, nic więcej. Wiele, wiele jest innych rzeczy, o których tu myśleć mi przyszło.

„Im więcej pociąg, którym jechałem, zbliżał się

ku temu miastu, tem chciwiej i nieustanniej patrzyłem przez okno wagonu na mijane pola, dwory i wsie. Otóż i kraj ten, z którego naturą i mieszkańcami zapoznałem się tak dokładnie, dzięki dzielnym publicystom naszym! Otóż ja mam przed sobą tę ziemię, która rodziła przez wieki ponure ziele niewoli! Otóż, na polach i drogach, w wagonach i na drogowych stacyach, widzę tych ludzi, którzy przez wieki rozłamywali się na dwa przepaścią rozdzielone z sobą odłamy społeczne: panów i niewolników! Nie potrafię ci opisać wszystkich uczuć, które we mnie powstały, mieszały się, wrzały.

„Były to te same uczucia nienawiści i pogardy dla ciemnych, a nieskończonej litości dla uciemczonych, których prawie wszyscy doświadczyliśmy za uniwersyteckich i nawet wcześniejszych jeszcze, bo gimnazjalnych czasów, przy czytaniu broszur lub dziennikarskich artykułów, opisujących te strony i ich ohydne stosunki społeczne. Ale te uczucia potęgowały się teraz we mnie przez to, że własnymi, żywymi oczami patrzyłem na tych ludzi. Wrzałem, powiadam ci, Sergiuszu, że czułem sam, jak widok każdego wykwintnego paltota i każdej białej ręki tutejszych królewiatek rozniecał mi w źrenicach pożar nienawiści. Każda zato chłopska siermięga, każda dłoń w pracy zgrubiała, każdy grzbiet zgięty od dźwiganym brzemion napelniał mnie współczuciem tak dojmującym, że bolało mnie ono daleko głębiej i nieznośniej, niż kiedykolwiek zaznany ból osobisty.”

„Kilka miesięcy, które już tu przebyłem, nie zmieniły i nie zmniejszyły tych usposobień moich. Owszem, na widok tutejszego ludu, pogrążonego w ciemności i grubiańskich nalogach, czuję wciąż wzrastające oburzenie przeciw tym, którzy przez długie wieki byli sprawcami jego niedoli. To oburzenie, pomimo mojej woli i wiedzy wybucha mi w spojrzeniu, ruchach, głosie, ilekroć wypadek, albo służbowe moje czynności wprowadzają mnie z nimi w stosu-

nek bezpośredni. Gdy patrzę na nich, do głowy mojej sama przez się, niewywoływana uderza myśl, że są to synowie tych, którzy miliony istot ludzkich skąpali w morzu cierpień i upodlenia. A mnóstwo widuję i takich, którzy jeszcze sami pełnili czynność zaciskania obroży na szyjach upokorzonych, oglupionych, z bólu zdrętwiałych. Nienawidzę ich.

„Całą siłą myślenia i uczucia mego godzę się z tą grupą naszych publicystów, którzy żądają jak najspieszniejszego zamknięcia tej jadowitej rośliny, tu i owdzie jeszcze na tym gruncie przetrwałej. Tylko, muszę ci powiedzieć, że motywy tego żądania u nich są inne, a u mnie inne. Pomiędzy-plemienną nienawiść potępiam, jako jeden z najgłupszych i najszkodliwszych zabytków przeszłości, i zdaje mi się, że jestem od niej całkiem wolnym. Kosmopolityzm, niewyłączający miłości dla ojczystego kraju i obowiązku służenia mu wedle możliwości, posiada we mnie szczerego hołdownika i wyznawcę. Ale szeroka i wiekowymi cierpieniami nabrzmiąta fala demokratyzmu uderzyła mi w pierś wtedy jeszcze, gdym był pacholęciem, i sączyła się do wnętrza mego ze wszystkimi wrażeniami młodości, z każdym światłem, które w mój rozum wnikało. Jak całe pokolenie moje, kocham małych i krzywdzonych, a nienawidzę pysznych krzywdzicieli.

„Może i miłość ta, i nienawiść tem gorętsze są we mnie i bezwzględniejsze, że w żyłach moich płynie namiętna krew Pawła von Szarlow. Przekazał mi on w dziedzictwie zdolność do wielkich szalów, tylko, gdy u niego sprowadzały one burze krwi i zmysłów, u mnie wzbierają w nawałnicę myśli i altruistycznych wzruszeń. Może zresztą inna jeszcze istnieje przyczyna mojej czarnej niechęci dla tych z pomiędzy mieszkańców tego kraju, którzy do niedawna jeszcze byli absolutnymi i, o! jakże bezwzględnymi władcami milionów swoich współbraci. Wyobrażam sobie, że żadne na świecie spojrzenie,

z tak straszną nienawiścią i pogardą nie spoczęłoby na ciemiężącym Helotów Lacedemończyku, jak spojrzenie rzymskiego Spartakusa. A wiesz, dlaczego Spartakus uczułby najmocniej i cierpienia Heloty i nikczemność jego władcy?... Ale pocóż szukać przyczyn dla uczuć tak sprawiedliwych i wygrzebywać motywy pojęć, nam wszystkim, ludziom dzisiejszym, tak dobrze znanych?

„Motywy, pobudki, okoliczności łagodzące winy, lub je obciążające, posiadają niezmierną wagę w dziejach występków i zbrodni jednostek. Lecz zbiorowe sprawy niechaj sobie szczęśliwie pod skalpel analizy biorą społeczeństwa wystygłe, spróchniałe, niewiele już poprawy bytu swego mogące się spodziewać od przeszłości. Tak też one czynią i grzęzną, grzęzną po uszy w swem tradycyjnym błocie, powstanie jego subtelnie tłómacząc, a dzieło czyszczenia i osuszania swych gruntów odkładając na potem, na kiedyś, kiedy się rzecz wedle ich zleniwiałego rozumu dosyć już wyjaśni. My, młodzi, świeżo przybywający na arenę cywilizacyjnych prac i walk, niecierpliwi jesteśmy, rzutniejsi. Świeże nasze siły domagają się jak najprędszego użycia, niesterane namiętności przygłuszają często głos samego rozumu. U nas, gdy idzie o sprawy zbiorowe, złe jest złem, dobre dobrem, krzywda krzywdą i krzywdziciel krzywdzicielem, jakichkolwiek tłómaczeń i usprawiedliwień dostarczyłby mu mogły wszystkie etnograficzne, historyczne i psychologiczne dociekania.

„Pamiętasz, Sergiuszu, tego naszego młodego filozofa, Anglika, który, gdyśmy jeszcze przechodzili drugi i trzeci kurs prawa, nie wiem już jakim sposobem popadł w nasze koleżeńskie najserdeczniejsze kółko? Pamiętasz ten głos flegmatyczny i suchy, który z precyzyą kamieni padających w burzliwy potok, w najgorętsze nasze rozprawy rzucał zawsze jednostajne słowa: — „Determinizm, moi drodzy, determinizm! co czynicie z teorią deterministyczną?” — Cali

w ogniu i pocie rozpraw, pełnemi usty rzucając na cztery strony potępienia i wyroki, z pewnem zdziwieniem zawsze oglądaliśmy się na sztywną postać i białą, rozważną twarz naszego Edwarda. A on, w jednej czwartej zaledwie otwierając usta, śmieszna i świszczącą mieszaniną dwóch języków, swego i naszego, wciąż prawił: „Szukajcie przyczyn, *my dear friends*, szukajcie wpływów! człowiek jest sumą działających na niego wpływów. Determinizm *my dear friends*, determinizm! szukajcie determinizmu, który wypadł wam z głowy, jeżeli był w niej kiedy.”

„Naczytał się swoich Buckle'ów, Mill'ów, Spencer'ów i mniemał na dobre, że te zresztą bardzo szanowne głowy natura wytworzyła dla położenia ostatecznego kresu rozwojowi myśli ludzkiej. Zachodowiec! W prawdziwie angielskiej zarozumiałości swej nigdy uwierzyć nie chciał w to, cośmy mu nieraz powtarzali, że przybywa na świat siła nowa, świeża, i przynosi z sobą świeże zdolności, nowe twory.

„Tę siłę, Sergiuszu, ja czuję w sobie zdwojoną, potrojoną, odkąd tu jestem. Nie chcę szukać przyczyn i wpływów, ani tracić czasu na zagłębianie się w teoryach. Na ostrzu miecza umieszczam spór pomiędzy dobrem i złem, sprawiedliwością i krzywdą, trucicielami i tymi, których przez wieki trucizną pojono z pełnego i nigdy niewyczerpującego się kielicha. Niechaj to plemię zginie, nie dlatego, że jest plemieniem tem, a nie innym, ale dlatego, że w niem upostacia się jeden z najgłupszych przesądów, jedna z najsroższych i ze wszystkich pewnie najohydniejsza zbrodnia przeszłości.

|| „Jako urzędnik, nie chcę ku celowi temu posługiwać się żadnemi środkami. Sprawiedliwości jednostkowej mieszać nie będę ze sprawiedliwością zbiorową. Czynić tego nie mogę, a gdybym nawet mógł, nie pozwoliłoby mi na to moje sumienie. Ale, jako człowiekowi, pozostaje mi życie prywatne ze wszystkimi jego stosunkami, wpływami, z całą jego

minimalną choćby pracą nad przedsięwziętem dziełem. Tem dziełem mojem, ukochanem, wszystkich sił moich wzywajacem, będzie pocieszenie i podnoszenie tak długo krzywdzonych i maluczkich, a umartwianie i niszczenie pysznych i krzywdzicieli, chociażby zadawanie krzywd nie było już, ku wielkiemu ich smutkowi, w ich możliwości.

„I nie wiem, co mi większą rozkosz sprawić może: czy w upośledzonym i zbydłconym dotąd człowieku powitać równego mi ludzkimi przymiotami brata, czy na głowie jego wiekowego gnębiciela postawić mszczącą jego krzywdy stopę. Bo jeżeli ucisk wszelki, sam przez się, jest dla ciebie, jak dla mnie, rzeczą ohydną, to pojęty jako wymiar sprawiedliwości...”

W tej chwili otworzyły się drzwi przedpokoju, do saloniku wszedł człowiek w ubraniu urzędnika policyi niskiego stopnia. Z postawą wyprostowaną, zbliżywszy się do wejścia alkowy, oznajmił:

— Obwinionego przywiodłem.

Aleksy podniósł z nad papieru twarz okrytą wyrazem szczerzej egzaltacji, z jaką wywnętrzał się przed przyjacielem ze swych poglądów i uczuć, ujrzawszy policyanta wyprostował się, przeciągnął dłoń po czole, jak ktoś chcący coprędzej wrócić od przedmiotów oderwanego myślenia ku rzeczywistości, spojrzal na zegarek, który wskazywał godzinę 10-tą przed południem, i krótko odrzekł:

— Wprowadź!

Po chwili w tych samych drzwiach, któremi wchodził policyant, ukazała się postać ludzka tak szczególna, że na jej widok sędzia śledczy pochylił się nad swem biurkiem i utkwiał w nią wzrok pelen zdziwienia, zmieszanego z badawczością.

Był to człowiek, który może posiadał niegdyś formy i wygląd przeciętnego człowieka, ale teraz wydawał się raczej mętnem ich przypomnieniem.

Szczupły, bo chudy i skurczony, niski, bo zgarbione plecy jego zarysowywały prawie kształt półobręczy, twarz miał okrągłą i malutką, z nosem znikającym wśród gąbkowatych policzków, z malutkimi oczkami, błędnie i trwożnie błyskającymi z pod brwi wypukłych i białych, rzadkim włosiem zjezonych. Białe, rzadkie włosy okrywały niekształtnie rozwiniętą i prawie śpiczastą tylną część jego czaszki, od czoła zaś głowa jego przykro świeciła żółtą nagością, wśród której ze smutnym komizmem sterczały gdzieśniedzie kępki siwego włosa. Wiek jego łatwo określić było można. Nie mógł mieć lat mniej niż siedemdziesiąt. Trudniej byłoby z pierwszego wejrzenia odgadnąć, czy niewiastą on był lub mężczyzną. Tak zwane wiejskie baby często miewają takie same twarze i włosy i ubierają się w takie same do stóp sięgające, w pasie powrozem z konopi przewiązane siermięgi, jak ta, z pod której wysuwały się wielkie, płaskie, łachmanami owinięte i płytkami trzewikami po podłodze klapiące nogi oskarżonego.

— Szczególny przestępca! — zcicha do siebie rzekł sędzia śledczy. I nagle z żywym poruszeniem zawołał:

— Co to? co robisz? Policzyant, podnieść go!

Obwiniony, przed wejściem do alkowy, ujrawszy biurko z piętrzącymi się papierami i siedzącego za niem urzędnika, padł na klęczki, pochylił aż ku ziemi swoją nagą, bezkształtną głowę, i tak, jak to ludzie czynią niekiedy w kościele, z żarliwością pełną nabożeństwa i trwogi zaczął całować podłogę. Policzyant żwawo przyskoczywszy, przywiódł mizerne jego ciało do postawy stojącej, i niby dziecię wiodąc go za ramię, postawił przed biurkiem, naprzeciw wpatrującego się w niego wciąż urzędnika, potem zcicha odszedł. Sędzia i obwiniony pozostali sam na sam.

— Jak się nazywasz? — zapytał urzędnik.

Wyraz twarzy obwinionego byłby w tej chwili

ciekawem dla psychologa połączeniem zgnębienia i ostrożności, trwogi i żądzы wniknięcia do głębi istoty sędziego. Małe jego oczki to podnosiły się na cieniem nieco okrytą twarz tego ostatniego, to bojaźliwe, na podobieństwo umykających przed ogarami zająców, rzucały się w różne strony. Bezbarwne i gąbkowate wargi jego drżały trochę, a małe, bo muskułów i tłuszczu pozbawione ręce, węzłowatemi i pełnemi plam i blizn palcami mięły i kręciły końce przepasującego go sznura.

— Jak się nazywasz? — łagodząc surowe najczęściej brzmienie swego głosu, powtórnie zapytał Aleksy.

Głos cichy i jękający się odpowiedział:

— Skomoroszka, wasza światłości, Skomoroszka.

— Imię chrzestne?

— Janko, wasza światłości, Janko.

— Stan?

Tu nastąpiła długa pauza.

— Stan twój?—powtórnie zapytał urzędnik.

Mała, chuda, ciemna ręka podniosła się ku części głowy porosłej rzadkimi siwemi kępkami.

— Jaki stan, wasza światłości? jaki ten mój stan?...

— Ze szlachty pochodzisz, z mieszczan, czy z chłopów?

— Z chłopów, wasza światłości, chłop, chłop...

Jeszcze łagodniejszym niż wprzód głosem sędzia śledczy ciągnął dalej swe pytania:

— Majątek jaki masz?

Obwiniony wzruszył ramionami.

— Miał niegdyś, wasza światłości, miał i ziemię, i chatę, i żywioł wszelki, ale dawno już niema, niczego niema...

— Żone i dzieci masz?

— Żonka zmarła, a dzieci miałem, wasza swia-

łości, miałem... dwie córki i syna, ale teraz już niema, ze wszystkim niema.

— Czem się trudnisz?

— Ja? — ze zdziwieniem jakby wymówił obwiniony:— wasza światłości żąda wiedzieć, co ja robię? zwyczajnie dziad kościelny... pacierze mówię i żebrzę, a co ja mam robić?..

— Więc jesteś żebrakiem?

— Tak, wasza światłości, żebrakiem?

— Oddawna?

— A ot, z dziesięć lat już będzie, jak mnie tknął *paralusz*, wstać wstałem, ale już drzewa pilować, ani jakiej takiej roboty robić ani weź już nie można było, to i pod kościół poszedłem, Pana Boga chwałę i do dobrych ludzi rękę wyciągam, co począć?

Tu ukończyły się wstępne pytania, sędzia przez chwilę milczał i namyślać się zdawał, potem poważnym, ale jakby wahającym się głosem, zaczął mówić:

— Obwiniony jesteś, Janku Skomoroszko, o okradzenie mieszkania Antoniego Mroczyńskiego przy ulicy X., w czasie, gdy w tem mieszkaniu nikt nie był obecnym, przed dwoma tygodniami w niedzielę, w czasie odprawiających się w kościołach nabożeństw i na rynkach targów, wskutek których ulica X. była zupełnie pustą. Czy przyznajesz się do winy?

Teraz zgarbione ramiona Skomoroszki z całą energią, do jakiej były jeszcze zdolne, podniosły się w górę, i śpiesznie, tracąc prawie oddech, zaszeptał:

— Nie, wasza światłości, dalibóg nie, jak zbawienia duszy pragnę, jak chcę, żeby Najświętsza Pnienka ulitowała się nad duszą moją, tak nie kradłem... Jak chcę światłość niebieską oglądać, tak nie kradł, nigdy nic nie kradł... W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen, Ojcze nasz, któryś jest

w niebiesiech, ratuj mnie niewinnego, prześladowanego, o ciężkie grzechy obwinionego, nieszczęśliwego człowieka!

Rzutami żrenic, przypominającemi w zygzak uciekające zające, więcej jeszcze niż wprzód skurczony, zmały, ściśniętą pięścią uderzał on w zapadłe swe piersi, zęgnął się, w niskich szybkich pokłonach zginał się aż do pasa.

Sędzia śledczy po krótkim namyśle wyciągnął rękę ku poblizkiemu sprzętowi, i wzięwszy z niego złoty pierścionek, ukazał go oskarżonemu.

— Przedmiot ten—rzekł—odebrano ci wtedy, gdyś go próbował sprzedać na rynku. Należy on właśnie do rzeczy skradzionych Mroczyńskiemu. Jakim sposobem dostał się on do rąk twoich?

Oczy oskarżonego biegały i migotały, a palce ze zdwojoną szybkością kręciły końce sznura, gdy śpiesznie, śpieszniej jeszcze niż wprzód, więcej jeszcze niż wprzód zmieszany i szepleniącym głosem odpowiedział:

— Jak pięć ranek krwawiących się było na ciałku Pana naszego Jezusa Chrystusa, tak mnie ten pierścionek pan jakiś darował, czy ja wiem kto? jakiś nieznamy pan, taki piękny, w takim sobie bogatym paltocie, przechodził trotuarem, i jak go zacząłem prosić o wspomóżenie, wziął i ten pierścionek na rękę mi rzucił... ot jakby ziarnka grochu rzucił, musi być bogaty... Żeby mnie tak jak Panu Jezusowi na krzyżu żyd włócznią żelazną bok przebił, żeby mnie na dzygarze (zegarze) Boskim godzina zbawienia nie wybiła, jeżeli ja łgę... Niech wasza światłość zlituje się nademną i oswobodzi nieszczęśliwego, niewinnie posądzonego człowieka... Ja stary... Na starość rękę wyciągać przyszło, a tu jeszcze taki wstyd i niewinne oskarżenie..

Z całej siły powiekami przyciskał żrenice, które też przysłonił odwrotną stroną rąk, a z piersi jego wychodziły dźwięki do kwilenia dziecka lub piskli-

wego zawodzenia kobiety podobne. Widać było jednak, że nie płakał naprawdę, że we wcielonej tej nędzy; w zgrzybiałej tej starości istniało sporo instynktów przebiegłych, przewrotnych, nabytych w życiu tak długim, a jakim? Któż oprócz niego mógł wiedzieć? Co pewna, to, że małe oczki jego wkrótce wybiegły z pod przysłaniających je rąk, aby szybkie i trwożne, lecz przenikliwe wejrzenie zatopić w twarzy sędziego. Lecz w tejże chwili ręce mu wzdłuż ciała opadły, kwilenie ustało w piersiach, a twarz dziwnie skrzywiona i wstrząsana przybrała całkiem prawie uspokojone linie. Aleksy von Szarłow, razem z fotelem, na którym siedział, w ten sposób zwrócił się ku oskarżonemu, że ten w pełnym już świetle zobaczyć mógł twarz jego daleko bardziej smutną niż surową, z wyrazem ust dziwnie w tej chwili łagodnym i wejrzeniem błękitnych źrenic pełnym przyjacielskiej niemal zachęty.

— Janku Skomoroszko, lepiej na tem wyjdiesz, jeżeli, nie uciekając się do kłamstw i nadaremnych szlochów, wszystko przedemną otwarcie wyznasz. Wrogiem twoim nie jestem, i sądzić cię nawet nie będę. Moją rzeczą jest tylko sprawdzić twą winę, której szczere opowiedzenie ze wszystkimi jej okolicznościami na los twój bardzo dobrze wpłynąć musi.

Po chwili milczenia i jakby wahania dodał jeszcze:

— Mów, staruszk, mów staruszk, bez obawy. Lituje się nad twoją oplakaną starością, chce wiedzieć prawdę, ażeby ci dopomódz.

Cicho zaś do siebie samego wymówił:

— Co za starość! Jaka nieszczęsna starość!

Dziad patrzył, słuchał i uspokajał się zupełnie; po chwili skinął głową, westchnął i rzekł:

— Niechaj już i tak będzie. Już kiedy wasza światłość taka na mnie łaskawa, to już i prawdę powiem, tak jakby księdzu na spowiedzi.

Z mnóstwem westchnień i żalonych ruchów głowy, z błagalnie utkwionem w sędziego wejrzeniem, lecz już bez uprzednich zaklęć i sztucznie gwałtownych ruchów, dość nawet zwięźle opowiedział, że gdy dwaj nieznani mu złoczyńcy rabowali wiadome mieszkanie, on, zaszedłszy na dziedziniec jako żebrak, stał się mimowolnym świadkiem dopełnionego występu. Tak przecież ukryć się nie mógł, aby niepostrzeżonym pozostać. W innej porze byłby może przyplacił życiem swą obecność w owem miejscu, ale w dzień biały jeden ze złoczyńców, ujrawszy go przyczajonego w kącie dziedzińca, rzucił mu tylko ten złoty pierścionek ze słowami: „Masz, durniu! I milcz! milcz! jeżeli ci życie miłe, milcz!“ W ten sposób kupiwszy jego milczenie, zniknęli w jakimś wązkim i przyciemnionem przejściu. On zaś milczał i zdobył swą wyniół na sprzedaż pomiędzy ludzi, w dzień targowy zebranych na rynku.

Tym razem przenikliwe i dość już wprawne oko i ucho sędziego w mowie jego odgadło prawdę. Wina jego więc mniejszą była, niżeli o tem sądzono. Jednak wyznawszy ją, żebrak znieruchomiał, spochmurniał tak, jakby ot, w tej już chwili, straszny jakiś wyrok spaść miał na pochyloną w pokorze, smutnemi kępkami siwych włosów najeżoną głowę. Von Szarlow przez chwilę pisał coś i notował, poczem złożywszy pióro, zagłębił się w swym fotelu i splótłszy ręce, znów wzrok utkwił w postać winowajcy. Właściwie śledcza jego czynność razem z własnym wyznaniem tego ostatniego skończona już została. Ale ten sędzia był zarazem człowiekiem młodym, inteligentnym, ciekawym różnych zjawisk i losów ludzkości. Skomoroszko zaś, w tej dla niego krytycznej chwili, wystawiał obraz takiego połączenia apatyj z rozpaczą i tak absolutnego nad brzegiem mogiły sieroctwa i opuszczenia, że w żywej wyobraźni sędziego powstały może w tej chwili przypomnienia wszystkich siwowłosych starców, których

widywał kiedykolwiek otoczonych troskliwością i czcią, płynących ku nocy nieznanej, na łagodnych i spokojnych blaskach wieczoru ich życia. Ten kontrast mimowoli może na usta jego wywołał słowa:

— Jakimże to sposobem i jakimi drogami doszedłeś do żebractwa, ukrywania złodziejstw i takiego nędznego końca życia?

Dziad słowa te zrozumiał wybornie i zdziwiły go one nieco, ale więcej jeszcze rozrzewniły. Była to dla niego chwila, w której z łatwością mógł się rozrzewnić. Jednak nie zmienił swej apatycznej i bezsilnie zgarbionej, skurczonej postawy, tylko małe oczy jego, z zagłębień swych błysnęły żywiej i nieśmiało, ale z zupełnym już spokojem spoczęły na twarzy pytającego; powoli z zadumą, przyciszonym, szepleńcym głosem, zaczął mówić:

— Jakim sposobem, panoczku? Hej! dawniejsza to historia, dawniejsza! Zrządzenie widać boskie takie było, ale najwięcej złości ludzkiej, o! złości i niesprawiedliwości wywarli ludzie na mnie tyle, ile jest wody w tym potoku, który tam, kole mojego dawniejszego siola płynie.

Westchnął i długo milcząc, trząsł głową. Sędzia zapytał:

— I jacyżto ludzie wywarli na ciebie złość i niesprawiedliwość?

— Wiadomo — odparł dziad: — pański ja był i ziemia, na której siedział, pańska była...

Umilkł. Przecież ten, z którym rozmawiał, także był panem. Nieśmiałość powstrzymała zwierzenia, do których nastroj chwili czynił go skłonny. Ale sędzia zapytał znów:

— Naturalnie, zamłodu pańszczyźnianym byłeś i złego, okrutnego pana mieć musiałeś?

W słowach tych syknęła ironia i zadźwięczała namiętna prawie chęć wczytania się w karty tego zgłębnionego losu. Dziad czekał tylko zachęty.

— Ot, pan był, zwyczajnie jak pan, ni to żyj,

ni to dobry... czasem dobry, a czasem okrutnie zły. Nie dużo my jego znali, bo gdzieś po świecie jeździł i gdzieś w wielkich miastach siedział... Komisarzy rządził, wekunomy, a te już, oj, bodaj im dobre nie bywało, bodaj ich dzieciom i wnukom Pan Bóg za wszystkie nasze krzywdy odplacił...

Im więcej ośmielał się i ozywiał, tem więcej chłopskich wyrazów i zwrotów mowy z ust mu wybiegało. Same przez się, bez jego wiedzy, powstawały one z dna jego pamięci, razem z wywoływaniem ztamtąd przypomnieniami przeszłości. A ozywił się i ośmielił tak, że aż wyprostował nieco zgarbione swe plecy, głos nieco podniósł i gestami rąk, na które co chwila opadały strzępy podartych rękawów siermięgi, mowie swej wtórować zaczął.

— Ziemia była ni to zła, ni to dobra, żytnia, z kawalkiem pięknego wypasu, chleba było dość, dwa woły, koń... dzieci rosły, żonka była zwyczajnie sobie pracowita baba... na pańszczyznę chodzili, ale ot i nie narzekali na nic. Z wołą boską zgaźdzali się i żyli... Aż tu, na jeden raz, wszystkie biedy na człowieka spadły. Woły jednego miesiąca pozdychały, czort ich wie, co im takiego stało się; a jak woły pozdychały, trzeba było jednym koniem wszystko robić i orać, i dostawy wozić; żywioł osłabł tak, że już ledwie nogami ciągał, a cała bieda na chłopca. Wekunom, do którego nasze siło należało, był bardzo zły. Proszę bywało: „Dajcie wołów!” a on: „Rób chamie koniem, a jeżeli on nie zdąży, żonkę do pługa przyprzęgnij...” I śmieje się, bestya, jak dyabeł z duszy człowieczej, kiedy ją w całkowitość mocy swojej weźmie. No, ale dobrze jeszcze bywało, kiedy śmiał się, innym razem, kiedy swojej roboty człowiek z przyczyny, że wołów nie miał, nie zrobił, bił, katował... Oj, panoczku co to i wspominać? życie zaczęło się takie, że już i w piekle gorzej nie może być, a tu i głodne lata przyszły, i cholera żonkę zabrała, i człowiek odzinoki pozostał z troj-

giem dzieci, między któremi najstarszemu synkowi piętnasty roczek szedł...

Umilkł znów na chwilę, lecz widać było, że wnet znów zacząłby mówić, bo raz wywołane wspomnienia wichrem zaszumiały w starej jego głowie i zapadłej piersi, ale sędzia z roziskrzonym okiem i rumieńcami, które zaczynały wybijać się na jego białe policzki, wpadł w mowę ostro wymówionem pytaniem:

— A pan twój? Cóż? Nie dopomógł ci? Nie ratował? Czy nie widywaliście go nigdy?

— Widywali, panoczku, czemu nie widywali? Przyjeżdżał, to i co, że przyjeżdżał, kiedy do niego dostępu nie było? Komisary sami ze wszystkiego jemu rachunek zdawali i tak samo z ludźmi, który dobry jest, a który zły, to jeszcze i poproszą, ażeby dla pańskiej powagi złych sam obić kazał...

— I rozkazywał bić? — zapytał znów sędzia.

Dziad myślał chwilę. Widać uciuwał chęć i potrzebę wypowiedzenia szczerzej prawdy. Nakoniec odpowiedział:

— Różnie bywało, bo to, paniczu, pan nasz także swoje biedy miał, pańskie biedy, bardzo dużo po świecie groszy rozrzucał, to mu ich czasem i brakowało...

Tu, coś nakształt fluternego, złośliwego uśmiechu wykrzywiło bezbarwne i bezzębne usta żebraka.

— Kiedy przyjedzie bez tej biedy, to dobry, że choć jego do rany przyłożyć. Zwołuje wtedy ludzi przed dworski ganek i pyta się sam: „A jak wam? A czy wam czego nie trzeba? A czy wam komisar i wekunomy krzywdy nie robią?” My to wtedy milczym zawsze, jak te kamienie, bo wiemy, że pan prędko znów pojedzie sobie, a komisar temu, ktoby na niego skarżył się, chybaby już ze wszystkim skórę zdarł. Ale pan sam do nas podchodzi, z jednym pogada, drugiemu i hroszy da, a czasem skrypki sprowadzić każe, na stole kielbas i ogórków po-

stawi i mówi: „Potańcujcie sobie, dzieci, pobawcie się!” I my tańcujem, a pan czasem dzieuczata łapie i także z nimi po trawie „kruciela” wywija, aż lubo patrzeć... a piękny był mężczyzna, i taki w sobie wielki i dumny, zwyczajnie pan...

Tu Aleksy von Szarlow z okiem błyskającym, przez zaciśnięte zęby wymówił:

— Bawił się ludźmi jak lalkami, łaskawego pana grał! Głupiec!

I głośno dodał:

— No, a jak ze swoją biedą przyjedzie, jak mu pieniędzy brakuje, to co wtedy?

— Wtedy, paniczu, to z nami było już źle, oj, jak źle! Niechaj o tem gadają te kosteczki białe, co przed czasem schowały się pod żółty piasek mogilek tych, co kole naszego siola krzyżykami i jodelkami sterczą. Wtedy pan żądał, żeby jemu komisar dużo hroszy dawał, a on kiedy ich nie miał, bo połowę już panu oddał, a połowę sam szelma ukradł, wszystko na nas chłopów walił. „Dochodów, mówi nie ma, bo chłopcy złe, leniwe, r.ie robią... chłopcy złe, mówi, bo pan dla nich zanadto dobry, ze wszystkim ich rozpuścił... Srogości na nich trzeba, mówi, bizuna, to i dochody zaraz będą.” Pan i bez tego już w złym humorze, w okrutną złość wpada, i wtedy już piekło. Kiedy w złość wpadł, wtedy o niczem nie pamiętał, krzyczał tak, że my wszyscy jak te listki osinowe trzęśli się ze strachu: „Ja nad wami pan! krzyczał, ja z wami wszystko działać mogę, co zechcę; mnie taka nad wami władza dana, zabiję, powywieszam, bydłeta!” Wieszac nikogo nie powiesił, ale siec kazał i z chaty do chaty jak psy przepędzał, lepszemu lepszą ziemię, gorszemu, niby to za karę, gorszą dając.

Zadyszał się dziad od dłuższego mówienia, jeżeli westchnienia zatrzęsły jego piersią, spuścił powieki i odpoczywał chwilę.

Aleksy von Szarlow przeciągnął rękę po czole i z cichym sykiem oburzenia wymówił do siebie:

— Tyran! Nikczemnik! Okropna historia!

Dziad, z chwilowego jakby snu obudzony, opowiadał dalej:

— Raz, ot i na mnie taka dola przyszła, z przyczyny tych wołów, co pozdychały, i tego, że jedynym koniem człowiek ani jak zrobić nie mógł wszystkiego, co jemu przykazane było. Przyjechał pan komisar na mnie ze skargami, a na moją gorzką niedolę panu widać wtedy hroszy brakowało, bo był okrutnie zły. „Wysiec! krzyknął, i za karę do tej chaty, co wali się, na najgorsze piaski przesiedlić!” Wysiekli. Człowiek ledwie z duszą wyszedł, a tu jeszcze każą jemu wynosić się z tej chaty, do której już przyzwyczajenia nabral, i schodzić z tej ziemi, którą od swoich najmłodszych lat orał, a przenosić się na taką, z której tylko żółte dziewanny jak las wyrastały, a przy ździebelku owsa albo żyta, jak bywało, staniesz, to drugiego i okiem nie dojrzysz. Co począć? Człowiekowi i wprzód już życie było tak zbrzydło, że patrzysz, bywało, patrzysz, na jaką wysoką gałąź, i czort do głowy swoje dyabelskie myśli nawodzi... Żeby tak postronek, hej! hej! ale najbiedniejszemu robakowi niełatwo rozstawać się z tym światem. Myślał ja, myślał i wymyślił. Nogi za pas i hajda na Wołyń. Byli takie ludzie, co i tę myśl podali, i potem dopomogli; uciekłem.

— Na Wołyń uciekłeś? Dlaczegoż na Wołyń?— zapytał sędzia.

Dziad uśmiechnął się.

— Panicz naszych chłopskich obyczajów nie zna i chłopskiej mowy nie rozumie: ja nie na Wołyń uciekał, to tylko tak u nas mówiło się, ja nie wiem dlaczego to tak mówiło się, że kiedy jaki chłop uciekł, to mówiło się, że on na Wołyń uciekł. Ale ja i naprawdę na Wołyniu był, i gdzie ja nie był, i czego ja nie robił, i czego ja nie cierpiał! Zwyczaj-

nie tułacz bezdomny, a jak ten zajęć przed psami chowający się, żeby go, odkrywszy, napowrót czasem, z kądem on uciekł był, nie przywiedli.

Mówił więcej teraz do samego siebie, niżeli do tego, który słuchał go z brwiami ściągniętymi groźnie i srogo, z wytężoną uwagą i z oczami świecącymi palącym, bolesnym współczuciem. Głos jego stawał się coraz jękliwszym, ale mówił coraz szybciej, i byłby pewno już mówił długo, nieprzerwanie, bez końca, gdyby mu był Aleksy von Szarłow nie przerwał pytaniem:

— I z tułaczki swej wróciłeś zapewne wtędy dopiero, gdy was wszystkich uwolniono z pod pańszczyźnianego jarzma?

— Wróciłem ja, panoczku, wróciłem w te strony, jak tylko wolność nastęła; ale co z tego wrócenia? Człowiek jak był tułaczem bezdomnym, tak już i został.

— Dzieci w nieobecności twej poumieręły? — zcicha zapytał von Szarłow.

— Jedna córka zmarła, druga dokądś daleko do drugiego powiatu za mąż poszła. Do syna ja, panoczku, przyszedł, który żywie i niedaleko naszej wioski we dworze za parobka służy.

— A mówileś, że nie masz dzieci?

— Niema, panoczku, ze wszystkim niema.

— A syn, który żyje?

Dziad głową pokiwał.

— On żyje, ale go dla mnie niema. Albo on do mnie przywykł? Albo ja jego wyhodowałem? Albo my razem w pole chodzili orać o Bożym ranku i razem na Boże skowronki oczy podnosili, albo kiedy razem nad dolą naszą zapłakali? Gorka bieda wygnęła mnie z chaty, kiedy jemu szesnasty roczek szedł, a teraz on już sam siwy, i dzieci swoje pohoďował. Ani ja tych swoich wnuków rodzących się widział, ani ja na ich chrzcinach bywałem, ani ja ich małych na rękach swoich nosiłem. Cudzy ja im, cudze

mnie one. Przyszedłem, zdziwili się, z początku dobrze obeszli i przyjęli, ale potem: „Idź, dziadzie, na te drogi, po którychś całe życie chodził, a u nas darmo chleba nie jedz... Ty nam choć ojciec, nie ojciec; choć dziad, nie dziad..” To i poszedłem, drzewo w mieście piłowałem, póki paralusz nie dotknął, a kiedy Pan Bóg na mnie tę ciężką chorobę spuścił, to choć i wstałem z niej, do roboty już mocy w krzyżach i rękach nie było! Pod kościołem siadłem i tak już umrę sierota niebogi, bezdomny, bezdzielny i sporniewierany... Jakby ten łajdak ostatni, co całe życie tylko pił i hulał, a ja nie pił i nie hulał, tylko wywarła się na mnie wielka złość i niesprawiedliwość ludzka...

Teraz już umilkł, ręce opadły mu wzdłuż ciała, a na nie opadły strzępy podartych rękawów siermięgi. Plecy jego zakreśliły już linię zupełnego półkola, a po twarzy nisko spuszczonej pociekły duże, rzadkie łzy.

Von Szarlow całą postacią swą nad biurem pochylony, pochłaniać się zdawał wzrokiem tę ludzką postać, więcej do zdeptanego robaka, niż do człowieka podobną. Zdawało się, że tuż, tuż, wyciągnie ku niej ramiona. Nie uczynił jednak tego, tylko zdławionym od litośnego wzruszenia, a przez gniewne oburzenie wstrząsanym głosem zapytał: —

— Jakże się nazywał ten pan twój, sprawca twojego nieszczęścia?

Dziad w łzawej zadumie swej nie dosłyszał pytania, podniósł nieco twarz i wyszeptał:

— O co pytacie, panoczku?

— Jak nazywał się pan twój? Chcę o tem wiedzieć, bo może — dodał do siebie — spotkam tu kiedy jego potomka...

Dziad odpowiedział:

— Pan nazywał się, oj, troszkę zapomniał... Aha, nazywał się von Szarlow.

— Co? — krzyknął sędzia. — Jak?

Dziad powtórzył.

— Von Szarlow, panoczku, ot i imię jego przypomniałem sobie, Paweł von Szarlow, pułkownikiem huzarów był..

Aleksy wyprostowany, sztywny, stał twarzą zwrócony ku oknu, a plecami ku temu, z którym przed chwilą rozmawiał. Obu dłońmi przyciskał czoło, do którego buchnęła ognista fala krwi, a w piersi mu szumiały dziwne jakieś wykrzyki i jęki.

.
.

„Czy teraz, Sergiuszu, kiedy ci opisałem historię mojego Skomoroszki, zrozumiesz dlaczego, nim wziętem się do kończenia tego listu, jak zranione zwierzę rzucałem się po mojem mieszkaniu, nie chcąc nikogo widzieć, nic słyszeć i tylko słuchając, słuchając burzy własnych myśli, i tylko patrząc, patrząc, patrząc w obraz tego kochanego, dobrego, niezapomnianego człowieka, na który mi dziś spadła taka łzawa i krwawa mgła?... Północ wybiła, kiedym zdołał nakonieć wrócić do rozmowy z tobą; a teraz jest już trzecia godzina ranna, noc minęła, siny świt dnia zagłada do moich okien...

„Co ja z tem teraz pocznę? Jak ja wyjdę z tych sieci, w które mnie pochwyciły najdroższe pojęcia i najmilsze uczucia moje? Kto teraz na mojej głowie postawi stopę mszczącą losy Skomoroszki? Kto za winę mego ojca wyda na mnie wyrok: Zgiń! Kto w moich oczach w obliczu zmarłego będzie miał prawo rzucić wyrazy: „Głupiec i nikczemnik!” Ojciec mój, Sergiuszu, był dobry, dobry, dobry; mówię to i krzyczę sobie i tobie, mówić to i krzycheć chciałbym całemu światu, tak to gorąco czuję, tak o tem silnie przekonany jestem. Jednak popełniał on to, co ja nazywałem zbrodnią, odkąd usta moje po raz pierwszy wymówiły wyraz ludzkiego współczucia i rozumu. Czy ludzie naprawdę bywają dwoiści? I ot, przyszło mi na myśl: czy on tylko jeden?.. Trzeba-

by nad tem zaprowadzić dochodzenie śledcze. O, te dochodzenia śledcze! jakie one wielkie nauki z sobą przynoszą!

„Czy ja tak zdenerwowany jestem, że jak histeryczna kobieta, halucynacyj doświadczać zaczynam? Ot, najwyraźniej słyszę głos Edwarda, mówiący: „Determinizm, determinizm, *my dear friends*, co czynicie z teorią deterministyczną?” Widzę nawet tego angielskiego w naszym koleżeńskim kółku intruza; siedzi, ot tam, na kanapce, pali wyborne cygara i w jednej czwartej zaledwie otwierając usta, śmieszna i świszcząca mieszaniną dwóch języków, wciąż prawi: „Szukajcie przyczyn, *my dear friends*, szukajcie wpływów, człowiek jest sumą działających na niego wpływów! Determinizm, *my dear friends*, determinizm!”

„Szukać przyczyn, szukać wpływów, dochodzić, jakim sposobem człowiek staje się sumą okoliczności czasu, miejsca, własnego i cudzego życia, toż to jest śledztwo... Więc śledztwo czynić trzeba nietylko w kłótniach i mordach jednostek? Śledztwa teraz tego ja pragnę i dopełnić go muszę, bo inaczej nie odnajdę nigdy straconego spokoju. Jeżeli mnie kochasz, i jeżeli kochasz swego ojca, ty, Sergiuszu, wołaj sam w ognisku, z którego rozchodzą się i na szerokie przestrzenie padają pojęcia namiętności i wyroki nasze, wołaj, proś, krzycz: Śledztwa, śledztwa! niema sądu bez śledztwa! róbcie dochodzenia śledcze wprzód nim za popelnione winy zawołacie: Zgiń! nim na naszych, albo pomarłych ojców naszych oprzecie mszczące swe stopy? Ja kochałem ojca swego i ty swego kochasz; ale jeżeli ktokolwiek takim już stał się wrogiem sentymentów, że i tego nie ma, zostaje jakieś uczucie solidarności krwi, czy honoru... Więc jakże? prawnikami przecież oba jesteśmy! Wiedzieć o tem musimy, że co nam, to i innym... Więc jakże?

„Znów godzina upłynęła, i już nie sine świta-

nie, ale blask wschodzącego słońca zaróżowia szyby moich okien. Myślałem, myślałem, myślałem, ale nie tak jak wprzód, naksztalt szaleńca rzucając się po pomieszkaniu swoim i zaledwie mogąc powstrzymać się od uderzenia głową o jego ściany. Myślałem spokojnie, pozytywnie, nieruchomie w fotelu swoim, wzrok zapuszczając w nieskończoną pstroczinę ludzkich obyczajów, ustaw i kolei. I wiesz ty, bracie Sergiuszu, jakie ja po rozmyślaniach tych słowa ci nakreślę?

„Zdziwisz się, bo obaj nie mamy zwyczaju cytować ustępów z Pisma Świętego. A jednak teraz, z mocą nadzwyczajną przypomniałem sobie ustęp jeden, ten oto: „Kto z was bez grzechu, niechaj w grzesznego brata rzuci kamieniem.” Może wolisz coś zupełnie świeckiego, nie napiętnowanego pojęciem nadprzyrodzoności, której oba zwolennikami nie jesteśmy. I owszem. Tylko trzeba żebyś wprzód wiedział, że ludzie wydali mi się tej nocy równymi sobie, więcej jeszcze w grzechu i nieszczęściu, niż w cnotach i dostojności. Dlatego myślę, że wobec wspólnych wszystkich słabości ciała i ducha, pokus, które psują, ran, które gryzą i łez, które się leją, gdy człowiekowi idzie o wydanie nad człowiekiem sądu potępienia, dobrze jest przypomnieć sobie słowa starożytnego mędrca: *Homo res sacra homini!*”

Panna Antonina.



— Gdybym miała dwanaście córek, wszystkie, co do jednej, wykierowałabym na profesorów uniwersytetu! Tak, wszystkie, co do jednej, chociażby mnie za to ludzie biczowali, krzyżowali i kamienowali, wszystkie, co do jednej, byłyby profesorami uniwersytetu! Tak! Dwanaście córek i dwanaście katedr! Takiem było zawsze najdroższe marzenie moje. O! pokazałabym ja wtedy światu, co kobiety mogą i do czego są zdolne. Byłabym też szczęśliwą, bo widok dzieci moich wynagrodziłby mi wszystko to, co... przecierpiałam sama...

Istotnie, patrzac na nią, z łatwością uwierzyć można było, że w życiu swem przecierpiała wiele.

Była to teraz kobieta lat trzydziestu kilku, chuda, koścista, trzymająca się zawsze prosto, chodząca żwawo i raźnie, z energicznymi ruchami podługowatych rąk, których błękitne żyłki, przebijające się przez cienką skórę, objawiały wysoki stopień fizycznego wycieńczenia.

Wycieńczenie to widocznem też było w twarzy panny Antoniny. Z profilu widziana, wyglądała dość jeszcze młodo, bo rysy miała prawidłowo i delikatnie zarysowane, lecz gdy się na nią wprost, twarzą w twarz patrzyło, wydłużenie chudych policzków jej, czoło okryte rojem drobnych zmarszczek i żółtawa bezkrwista jej cera, sprawiały wrażenie przedwczesnego zwiędnięcia. Kiedy wpadała w zapał, co zdarzało się bardzo często, cienkie, blade jej wargi drga-

ły nerwowo, a piwne, zagłębione oczy, ciskały iskry i płomienie.

Ubierała się zawsze jednostajnie: w czarną suknię, której stanik obciśle zarysowywał wyprostowaną i suchą jej kibić, i w niepokalanie białe kołnierzyki i mankiety. Nigdy błyskotki żadnej, ani żadnego przyozdobienia stroju, z wyjątkiem kawałka czarnej koronki, którym przysłaniała włosy swe, czarne niegdyś, teraz zlekka już siwiejące i dwoma gładkimi pasmami nisko na czoło zsunięte. Ten sposób czesania się nadawał wysokiemu czołu postać dość regularnego trójkąta i powiększał blask ognistych oczu.

— Tak; dwanaście córek i dwanaście katedr, i nikt mi tego z głowy nie wybije! Ja nawet tego nie rozumiem, jak państwo możecie słuszności mi nie przyznawać? Cóż to? powiadacie mi, że ptaki nie orzą i nie sieją, a jednakże żyją; dziękuję! Śliczne mi to pocieszenie! Nie orać i nie siać! Ja bo jak patrzę na te nieorzące i niesiejące, to taka mnie złość ogarnia, żebym je pięścią do siana i orania naganiała! tak, pięścią naganiałabym; bo to próżniaczki są, lalki, pijawki, pasorzyty, wysysające soki z drzewa społeczeństwa! O! żebym miała córki, nigdy nie pozwoliłabym im na coś podobnego, nigdy, nigdy! Niechby lepiej poumieraly dziećmi. Takie są moje przekonania i biczujcie mnie, krzyżujcie, ścinajcie, a już ja od swego przekonania nie odstąpię!

Nietylko biczować ją, krzyżować i ścinać, ale nawet zaprzeczać jej nikt nie myślał.

Było to w malutkim, niskim pokoiku, znajdującym się pod dachem wysokiej kamienicy miejskiej. Panna Antonina siedziała na sprężynowej kanapce, bardzo staro i ubogo wyglądającej, przed okrągłym stolikiem, na którym paliła się świeca stearynowa w żelaznym lichtarzu i stały trzy szklanki z herbatą. Przy ścianie przeciwległej znajdowało się łóżeczko wązkie, ze szczupłą, twardą i śnieżyście białą pościelą, dalej stała komódka pełna kajetów dziecinnych,

książek ze zniszczoną oprawą, dalej dwa, czy trzy, stare, żółte krzesła, jakiś taborecik ze splowialem nakryciem, samowarek gotujący się na ziemi przed otwartym piecem, na ścianach kilka historycznych rycin z ilustrowanych dzienników wyciętych i szpilkami przymocowanych do obicia, zasianego polnemi kwiatkami; u jednego okna kilka zielonych roślin w doniczkach i klatka z kanarkiem.

Pokoik ten był nadzwyczaj czysty. Obicie z polnemi kwiatkami, wazoniki, ptaszek w klatce i śnieżnie usłane wązkie łóżko nadawały mu pewien charakter naiwności, na tle której dziwnie odbijała czarno ubrana, surowa i sucha postać jego właścicielki.

Patrzyłam na nią z ciekawością i współczuciem. Ani dwanaście córek w połączeniu z dwunastu katedrami, ani „drzewo społeczeństwa,” ani uderzania pięścią w stół, nie zrażały mnie do niej. Znałam ją oddawna.

— Jednakże — nieśmiało zaczęłam — pani sama nie zajmowałaś nigdy katedry profesorskiej, a któż powiedzieć może, że nie siejesz i nie orzesz...

Spojrzała na mnie bystro, podejrzliwie, jakby usiłując przekonać się, czy w słowach moich złośliwości lub ironii nie było, potem smutnie skinęła głową, a ręką uczyniła znak zniechęcenia.

— Oj! — rzekła — także tam sianie i oranie mojej Boże odpuść!

Chude, długie, delikatne ręce swe na czarnej sukni spłotła i cichszym znacznie głosem zaczęła mówić:

— To prawda; dwadzieścia i jeden lat skończyło się na wiosnę, odkąd nauczycielką jestem. Prosto z pensyi, tak, prościutko z pensyi na nauczycielkę poszłam. Ani jednego dnia swobodnie po świecie nie bujałam. Ojca już na tej ziemi nie było, chora matka u krewnych mieszkała. Prosto więc z pensyi... do cudzego domu! No i cóż dalej? przez sie-

demnaście lat z domu do domu... a cztery lata, odkąd tu osiadłam, bo przekonałam się ostatecznie, że wszystkie ściany na świecie zimne i wszystkie serca cudze... Te ściany i te serca swoją drogą, a swoją drogą... własna głupota! Takem ja zupełnie do nauczycielstwa, jak wół do karety. Czy to ja nie rozumiem, co to jest gwiazda wiedzy i jak mnie do niej daleko! O, gwiazdo wiedzy! Kto tam o czym marzy i do czego wzdycha, a ja o niej tylko marzyłam... Wzlatywałam też, wzlatywałam do niej i tędy i owędy, i tak i owak, ale sposobów i czasu nie było... głód moralny i koniec! O, żebym miała córki...

Wszystko to mówiła z wielkim spokojem w postawie i ze spuszczonei oczyma. Widocznie do zwierzeń się i wywnętrzań nieprzyzwyczajona, wstydzila się nieco, że tak długo o samej sobie mówi. Nagle spostrzegła, że szklanki przed gośćmi stojące są już próżne. Zerwała się żywo z kanapki i pochwywszy szklanki, do samowarka pobiegła. Chciałam wyręczyć ją w nalaniu herbaty, bo samowarek stał na ziemi, a wiedziałam o tem, że nachylenie się sprawiało jej przykrość z powodu artretyzmu w nogach i ramionach, którego lekkich jeszcze ataków od pewnego czasu doświadczała. Dobre chęci moje bardzo energicznie odrzucone były.

— O, nie! o, nie!—zawołała—tak mi jest miło służyć paniom w swojej chatce! Rzadko miewam gości, ot! prawie nigdy. Czasem chyba która z dziewczątek tych, młodych koleżanek moich, wpadnie do mnie na chwilę, ale i to rzadko bywa, bo czasu niebożątka nie mają i z młodemi przestawać woła. Nie mam też ja do nikogo pretensyi o nic. Każdy ma swoje zajęcia i stosunki... A te wielkie przyjaźnie i przywiązania pomiędzy obcymi sobie ludźmi, to tylko w powieściach... Ot, córki dobre, kiedy kto ma... o! córki...

Postawiła na stole szklanki z herbatą, starannie

pokrajala i na talerzu ułożyła bułeczkę, a czyniąc to, uśmiechała się wesoło.

— Tak mi jest miło przyjmować panie w swoim domku... I przytem — dodała zaraz — wszystko w małym gospodarstwie swoim robię zawsze sama, a to dlatego, aby przekonać ludzi, że kobieta, która samodzielnie żyje i do gwiazdy wiedzy wzdycha, niekoniecznie już w życiu praktycznym musi być niedołągą!

„Samodzielność kobiety” i „gwiazda wiedzy,” ilekroć je wspominała, nieuniknienie wprawiała ją w zapał. I teraz też szerokim, energicznym ruchem wskazała nam ściany pokoiku swego i napelniające go przedmioty.

— A co! — zawołała — czysto, porządnie i choć ubogą, ale i trochę nawet elegancko. Obicie z maczkami i bławatkami sama wybrałam w sklepie, jakem się tu wnosila. I kwiatki są, i kanareczek, i ryminy takie, na jakie mnie stać było... Ot! niech przyjdą i zobaczą, że kobieta, która sama dla siebie na kawałek chleba zapracowuje, a naukę ubóstwia... niekoniecznie przecież musi być niemytą i nieuczesaną.

— O kim to pani mówi, aby przyszli i zobaczyli? — zapytałam.

— Ot! — zawołała — albo to pani nie wiesz? Kobietożercy, tyrani, gwałciciele praw najświętszych, którzy odmawiają kobietom prawa do nauki i samodzielności, a gdy tylko która z nas palcem poruszy, u nich o pozwolenie nie poprosiwszy, arabskie awantury na nią wygadują... O! żebym ja miała córki...

Zauważyłam, że w marzeniach swych zanadto może jednostronną jest, dwanaście naraz kobiet na katedrach profesorskich osadzając, że przecież inne jeszcze gałęzie pracy ludzkiej...

— No, no! — przerwała — to tylko tak się mówił naturalnie, że są inne gałęzie... Ale ot! z kąd mi się te katedry wzięły...

Zaśmiała się wesoło.

— Wiesz pani dobrze o tem, że ja w życiu swoim z uczonymi ludźmi żadnych stosunków nie miałam. Po obywatelskich domach młodość całą prze-włóczyłam się, a obywatelstwo nasze... wiadomo... Otóż, raz tylko, przez całe życie moje, zdarzyło mi się spotkać profesora uniwersytetu. Miałam już wtedy lat pod trzydzieści, wiesz, pani, o mało, o mało, żem przed człowiekiem tym na kolana nie uklękała. Mąż nauki! pani moja! pokolenia młode do gwiazdy wiedzy prowadził! Śmieli się wtedy wszyscy ze mnie, mówili, że pomiędzy' nimi bywają tacy i owacy. A mnie co do tego? kapłan nauki i koniec. Wtedy też na człowieka tego patrząc, pomyślałam sobie: gdybym to ja na jego miejscu była! Aż mi się w głowie od myśli tej zakręciło! Gdzietam mnie, mizernemu robakowi, o takim szczęściu myśleć! Ale potem przyszło mi do głowy, że gdybym miała córki... i od tego czasu, ile razy pomyślę o córce, tyle razy obok ślicznej dziewczyny, zdrowej, szczęśliwej, matkę swoją z całego serca kochającej, widzę profesorską katedrę... Tak to czasem, pani moja, człowiek swój głód moralny różnemi wyobrażeniami | uspokaja... Czasem ramiona tej dziewczyny mojej wymarzonej około szyi swojej czuję, a czasem widzę ją i słyszę przemawiającą z katedry...

Zaczęła mówić ze śmiechem, a kończąc, miała łzy w oczach. Jak wszyscy przecież, których łez nie spostrzegali i nie ocierał nigdy nikt, nie lubiła ich pokazywać nikomu. Zarumieniła się trochę i pobiegła ku oknu, aby mi kwitnącą tam w doniczce pelargonie pokazać.

Oglądałyśmy właśnie pelargonie, gdy cichutko i zwolna otworzyły się drzwi, wiodące na schody, i do pokoju wsunęła się dziewczynka dziesięcioletnia może, w długiej aż do ziemi, podartej sukieneczynie, z lnianemi włosami na tył głowy zczesanemi, więc odkrywającemi w pełni puciołowatą, różową, dwoj-

giem błękitnych oczu świecąca twarzyczkę. Wsunęła się i onieśmielona widokiem nieznanym sobie osób, tuż przy drzwiach, do ściany plecami przycisnąwszy się, stanęła.

Wnet za nią zwałwiej i śmieiej wtargnął chłopak nieco od niej starszy, bosi, rozczochrany, w spencerku, z którego dawno już wyrósł, a po wtargnięciu jego wsunęło się jeszcze jedno dziecko, nie wiadomo już jakiej płci, bo w grubej tylko koszuli, znacznie młodsze od tamtych, z kromką czarnego chleba przy ustach.

— Jacyżto osobliwi goście?—zapytałam.

Panna Antonina zmieszała się trochę.

— A no — zaczęła — to są dzieci stróża tej kamienicy... bardzo biednego człowieka i w dodatku pijaka...

— Uczniowie pani zapewne?...

— A uczniowie... dziewczyna jest łagodna i zdolna, chłopak zdolny także, ale...

— I to małeństwo także uczysz pani?

— Ej nie, przychodzi to sobie z rodzeństwem, kiedy samo chce, i przysłuchuje się tylko naszym lekcjom. Jest to — dodała — na uniwersytecie moim wolny słuchacz.

Uniwersytet ani na chwilę z głowy jej nie wychodził.

— Ileż pani masz godzin lekcyj na mieście? — zapytałam.

— Osiem.

— Ta więc, z temi dziećmi, jest dziewiątą.

— Naturalnie. Osiem a jeden to dziewięć!

Kiedy z towarzyszką moją zegnaliśmy pannę Antoninę, dzieci ośmieliły się już zupełnie i były w pokoiku jej, jakby u siebie.

Dziewczynka, wspinając się na palcach, ściągała z komody elementarz swój i zeszyt, zakreślony grubymi kreskami, chłopak czyścił łupkową tabliczkę, a małeństwo, wdrapawszy się na taboret, z podnie-

sioną głową i otwartemi usty podziwiała kwitnącą pelargonię. Jakież było zdziwienie nasze, gdy na schodach spotkałyśmy dążące w górę jeszcze jedno dziecko ubogo ubrane i jeszcze jedno i jeszcze jedno.

— Dokąd idziecie wszyscy? — zapytałam jedno ze spotkanych dzieci.

— Do panny Antoniny! — odpowiedział mi malec, który, jak dowiedziałam się potem, w sklepie jakimś zajmował posadę wymywacza podłóg i roznościela po mieście zakupionych towarów.

— A ileż rodzice wasi płacą pannie Antoninie zato, że was uczy? — zapytałam jeszcze malca.

— A któżby tam miał rodziców jakich! — odkrzyknął chłopiec, po trzy schody odrazu przesadzając.

Widocznie miłość panny Antoniny dla „gwiazdy wiedzy” platoniczną nie była.

Po raz pierwszy poznałam ją, gdy była jeszcze zupełnie młodą, bo nie miała więcej nad lat dwadzieścia cztery. Nosiła jeszcze wtedy kolorowe suknie i czarne włosy dość pretensjonalnie zaczesywała, ale nie była już świeżą i zaczynała stawać się chudą i kościstą.

Zwiędnięciu temu, nader przedwczesnemu, towarzyszyła przecież świeżość uczuć, do egzaltacji i naiwności posunięta. Zajmowała miejsce nauczycielki w trzecim już z kolei domu i po raz trzeci była pod wpływem najzupełniejszego złudzenia, że na zawsze, albo przynajmniej na bardzo długo stała się przybranym członkiem rodziny, wśród której zostawała. W rzeczy samej rodzina ta, jakkolwiek z osób uczciwych i dobrze wychowanych złożona, o żadnem przybieraniu jej za członka swego ani myślała. Czuli się ona najzupełniej w komplecie i nie uczuwała potrzeby powiększania się przyjmowaniem do siebie osób obcych. Obchodzono się z nauczycielką dobrze przez przyzwoitość i prostą życzliwość, trzymano ją, bo nie widziano, jakaby korzyść odprawienie przy-

nieść mogło; przytem z nadmiernej czułości wszystkim okazywanej i z przebijającego się niekiedy w mowie patosu, jak też czasem z loczków, które wysoko piętrzyła nad czołem, i z całonocnych przesiadywań nad książkami, śmiano się pocichu. Śmiano się z nauczycielki tak cicho i tajemnie, że ona tego nigdy spostrzedz nie mogła.

Wzamian każdy żywszy objaw grzeczności, każde cieplejsze nieco uściśnięcie ręki, lub życzliwsze słowo, przybierały w oczach jej znaczenie uczuć gorących i trwałych. Pod wpływem ich tajała cała w przywiązaniu i wdzięczności, z zapalem i gorliwością niezrównaną oddawała się na usługi każdego, kto ich zażądał. Przedewszystkiem duszą i ciałem oddawała się uczennicom swoim. Ciekawym był istotnie widok, jak we wszelkich z niemi stosunkach heroicznie i skutecznie walczyła z wrodzoną sobie żywością i popędliwością, zarówno jak z niedostatkami wykształcenia własnego. Pensyjka, z której zaczerpnęła była cały zasób swej wiedzy, była pensyjką bardzo mizerną, to też zrazu panna Antonina zająć mogła miejsce tylko nauczycielki początkowej. W tym trzecim jednak domu zostając, udzielała już nauki średniej.

Postęp ten nie przyszedł sam przez się; aby go zdobyć, przesiadzała pięćset nocy nad gramatykami różnemi, ze trzysta przynajmniej nad historią i geografją i ze sto pięćdziesiąt nad arytmetyką. Były to już wszystkie prawie gałęzie nauki, których znajomości od niej żądano. Żądano wprawdzie jeszcze i nawet bardzo usilnie muzyki, ale w tej panna Antonina żądnemi już pod słońcem usiłowaniami wydoskonalić się nie mogła. Prostu nie miała ucha do muzyki, a pomimo, że ręce jej były kształtne i delikatne, palce uderzały zawsze i niezmiennie po dwa klawisze na raz. Muzyce więc całkiem za wygraną dała. Natomiast, ilekroć ktokolwiek zapytał ją, dlaczego w pokoju jej po całych nocach pali się świa-

tło, podnosiła głowę i z oczyma błyskającymi od zapału, śmiało i nawet z dumą odpowiadała: Kształcę się.

Kształcenie się było ambicyą jej, namiętnością, drogiem pragnieniem całej jej młodości. Postępowało czasem dziwnymi drogami: tak np. dla wprawienia się w języku francuskim tłómaczyła kilkotomowe powieści francuskie i uczyła się recytować na pamięć długie ich ustępy, ażeby zaś zdobyć szerszą wiedzę o świecie i ludziach, kilka miesięcy ślęczała nad ogromnych rozmiarów dziełem o strategii wojskowej. Szczególne to skierowanie się jej studyów było wynikiem prostego wypadku.

Pani domu lubiła czytać fracuskie powieści; pan domu był eks-wojskowym. Suego więc, Dumasa, Sanda i strategię znalazła w starej biblioteczce domowej i z kilkoletniego pyłu otarłszy, za skarby znalezione uznała. Innych książek w domu nie było, a ona sama zkażdżebymieć je mogła? Pensyę brała niewielką i trzy czwarte jej odsyłała chorej matce. Za pozostałe pieniądze sprawiała sobie suknie tanie, ale tak co do barwy, jak co do kroju, usiłujące zawsze mieć w sobie coś poetycznego. To dążenie do poetyczności w ubieraniu się, jako też piętrzenie loczków nad czołem, świadczyć zdawało się, że w porze tej swego życia panna Antonina, oprócz dwu powyżej wymienionych, miała jedno jeszcze, bardzo właściwe wiekowi jej pragnienie; zapewne marzyła czasem o tem, aby kochać, być kochaną, wyjść za mąż. Jednak napewno powiedzieć można, że ten szereg pragnień i marzeń stał u niej na planie dalekim. Głównie i przedewszystkiem szło jej o to, aby być jednostką rodziny jakiej i kształcić się.

Była też najzupełniej pewną, że osiągnęła pierwsze z pragnień tych, a dokonywa drugiego, gdy niby piorun ugodziła w nią wiadomość, że przez caluteńkie dwa lata zostawała pod wpływem najzupełniejszego złudzenia i, że z chwilą, w której uczeni-

ce jej potrzebowały rozpocząć naukę muzyki, ona z domu ustąpić musiała. Jakto! rodzina ta więc, lubiąc ją i szanując, uważała zawsze za osobę obcą i tymczasowo tylko niezbędną. Jakto! więc nie kochano jej naprawdę i odprawiono, gdy tylko jednej potrzebie jakiejś zadość uczynić nie mogła! Była to dla niej trzecia już z rzędu niespodzianka podobna, wywarła na nią przecież wrażenie takie samo zupełnie, albo może i silniejsze, jak pierwsza i druga. Zapomniała nawet o kształceniu się..

Przez dwa tygodnie po całych nocach zalewała się łzami, po wszystkich samotnych kątach domu i ogrodu załamywała ręce i na pożegnanie całowała sprzęty i drzewa; duże już i ciężkie dzieci na ręce porywała, dusząc je w uściskach i wlewając w ich uszy całe dykcjonarze najczulszych wyrazów. Nakoniec, gdy z twarzą spuchniętą od płaczu, zmęczona, chora prawie wsiadła do powozu i wyjechała za bramę ładnego wiejskiego dworu, osłupiałym wzrokiem powiodła po szerokich polach i jesiennem niebie, to doświadczyła takiego uczucia, jak gdyby świat cały był jedną bezgraniczną, głuchą, zimną pustynią.

W czwartym z kolei domu przebyła dłużej nieco niż w trzecim, niepospolicie nawet długo, bo całe lat trzy. Zawdzięczała to nowym postępom, które w kształceniu się swem dokonała, a które pozwalało jej dalej już nieco posuwać edukację młodych dziewcząt, nadewszystko zaś zawdzięczała staruszce pewnej, babce pani domu, której stała się ulubienicą, sługą i ofiarą. Nie mogąc już tym razem na żaden sposób ludzić się co do usposobień względem niej pani i pana domu, ludzi dumnych i zimnych, nie mogąc zdobyć sobie przywiązania dzieci, nieszczęśliwie przez naturę utworzonych, a źle wychowanych, przylgnęła, można powiedzieć, przykleiła się do staruszki. Przedewszystkiem wyidealizowała ją sobie.

W rzeczywistości, osiemdziesięcioletnia przeszła osoba ta, jeżeli i posiadała kiedy jakiegokolwiek przytomoty umysłu i serca, ze szczętem je utraciła i teraz przedstawiała już zaledwie niekształtne i niedołączne resztki ciała, ożywione zaledwie dostrzegalnemi resztkami ludzkiej duszy. Dla panny Antoniny jednak dziecinne kaprysy jej, samolubne wymagania i bezmyślne gadaniny, były „wspaniałym i rozrzewniającym majestatem starości.” Co najważniejsza, że z jednej strony przypominała jej ona kochaną babkę, w dzieciństwie utraconą, a z drugiej strony miała prześliczne, długie i gęste włosy, z białością śniegu a połyskiem srebra. Panna Antonina kwadransie i godziny przepędzała na klęczkach lub na niskim stoleczku u stóp fotelu lub łóżka staruszki, bawiła ją opowiadaniem powieści Suego i Sanda; studziła jej rosoly i gotowała ziółka, pielęgnowała ją w chorobach i popychała wózek jej po cienistych alejach ogrodu. Wzamian tego wszystkiego staruszka pozwalala jej nazywać siebie babcią i od czasu do czasu nazywała też ją zdrobniałem imieniem Antosi. To ostatnie szczególnie sprawiało nauczycielce wielką przyjemność.

Powoli cały ciężar „majestatu starości” na jej barki włożono. Ona upatrywała w tem dowód zaufania i szacunku, co napełniało ją uczuciem przychylności i wdzięczności dla ludzi, którzy zresztą patrzyli na nią bardzo z góry. Drugiem szczęściem jej w domu tym była możność dalszego kształcenia się, polegająca na czytaniu niemieckich filozofów, których pan domu był zwolennikiem wielkim i zbiór spory posiadał. W porach więc, w których ani staruszka, ani dzieci jej nie potrzebowały, czytała, czytała, czytała filozofów niemieckich; kilkanaście miesięcy upłynęło, zanim zrozumiała, że nic nie rozumie i że cała ta ciężka praca, którą dokonała, nie przyniosła jej korzyści żadnej. W innym czasie odkrycie to napełniloby ją smutkiem, teraz jednak nie myślała o bia-

daniu nad poniesioną stratą sił i czasu, bo najdroższa staruszka jej szybko bardzo zbliżała się do chwili, w której „majestat starości” ustępuje przed „grozą śmierci.”

Umarła.

Przed skonaniem resztki duszy jej wzmogły się na silach, gasnącym wzrokiem szukała pośród obecnych panny Antoniny, a gdy ta wzrok zrozumiawszy, przy łóżku jej uklękła, zeszlą i kostniejącą dłoń swą na znak błogosławieństwa na głowie jej położyła.

Panna Antonina o chwili tej i o tem niemem błogosławieństwie wspominała zawsze z silnem wzruszeniem. Nazywała je jednym z najpiękniejszych wspomnień swoich. Jednym zato z najprzykrzejszych wspomnień było ofiarowanie jej, w parę dni potem, przez panią domu w rodzaju wynagrodzenia za czułość babce okazywaną, jedwabnej sukni i szczerzłotej broszy, których naturalnie nie przyjęła, i oświadczenie, że przed miesiącami wakacyjnymi dom ich opuścić powinna. Panna Antonina uczyniła to, ale już nie w ten sposób, w jaki opuszczała dom poprzedni, bo bez płaczu, łamania rąk, całowania ścian i krzeseł... Być może, iż gdyby nawet nie żądano — odjechałaby sama; po stracie staruszki i rozczarowaniu, doznaniem względem filozofii niemieckiej, nic tu już ją nie wiązało.

Gdy o parę wiorst od dworu mijiała cmentarz, kazała furmanowi zatrzymać konie, poszła na cmentarz, posiedziała chwilę na murawie u brzegu mogiły staruszki, potem z obsychającymi na policzkach łzami do powozu wróciła — i pojechała dalej.

Należała ona do tej kategorii natur ludzkich, które niezmiernie troszczą się o możliwą doskonałość tego, co czynią. Nie rozumiała nigdy, co to jest czynić cokolwiek byle kiedy i byle jak. O wczesnej bardzo porze zrywała się z pościeli, z energią rumaka rwącego się do boju; ręka jej nabrała ma-

chinalnego ruchu sięgania po zegarek. Wiele już lat minęło odkąd była nauczycielką, a jednak do lekcji z uczenicami swemi przystępowała zawsze z wewnętrznym niepokojem, który, jakkolwiek ukrywała starannie, przebijał się w wyrazie ognistych jej oczu. Owszem, niepokój ten zamiast zmniejszać się, rósł z latami. Ze zwykłą sobie górnolotnością wyrażeń, mawiała: „nauczycielstwo, to kapłaństwo” i z namaszczeniem kapłanki, a zapalem apostołki, przeplatała lekcye języków, geografii i arytmetyki długimi mowami o pracy, miłosierdziu, braterstwie ludzi, wielkości nauki i tym podobnych bardzo pięknych i wzniosłych rzeczach.

Nie można powiedzieć, aby nauczania te, jakkolwiek przedmiotami ich były rzeczy piękne i wzniosłe, odpowiadały zasadom dobrze wyrozumowanej pedagogiki. Pomimo wiedzy i woli panny Antoniny, plątały się w nich wyrażenia i zwroty, będące niby echami tłumaczonych dla wprawy we francuski język romansów, jako też studyowanej, w celu kształcenia się, filozofii niemieckiej. Przytem zapał, unoszący mówczynię, ruchom jej i wyrazowi twarzy nadawał cechy, sprowadzające częstokroć na dziecinne twarze słuchaczy figlarne uśmieszki. Bywały dzieci, które słuchając moralizatorskich mów jej, śmiech w sobie tłumili, i takie, które słuchały ich bardzo pilnie, ani pół słowa z nich nie rozumiejąc, i takie jeszcze, które rozumiały je trochę, a częściowe rozumienie to, od czasu do czasu, w postępkach swych ujawniły. Te ostatnie sprawiały pannie Antoninie rzadkie, lecz żywe radości. Były to niby krople rosy, spadające na czoło palone gorączką.

Raz przecież, wkrótce po rozstaniu się z ową ukochaną staruszką, panna Antonina znalazła uczennicę idealną, taką, o jakiej marzyła oddawna, o możliwości znalezienia wątpić zaczynając. Dziewczynka bardzo pojęta, żywa, czuła, nie tylko uczyła się wybornie gramatyki, geografii, historii i arytmetyki,

ale też niezmiernie okazywała zamiłowanie do tego, co panna Antonina zwykła była nazywać „filozofią nauczania.” Długich i gorących rozpraw jej o braterstwie ludzkim, miłosierdziu, pracy, nauce i t. d. nietylko z wielką uwagą i prawie z chciwością słuchała, nie tylko bystro i szybko podstawowy sens ich sobie przyswajała, lecz jeszcze zapalając dziecięcą wyobraźnię swą u ognia gorejącego w piersi nauczycielki, z żarliwością wielką we wszystkich okolicznościach dziecięcego życia swego stosować je usiłowała.

Tak naprzykład, spotkawszy raz na przechadzce ubogie, żebracze dziecko, zdjęła wykwintne, małe obuwie swe i ubogiemu dziecku je oddała. Służącym zabroniła nazywać się „panienką” i co chwila w twarz je całować chciała. Nad książkami przesiadywała do późnej nocnej godziny, co niekoniecznie dobrze oddziaływało na zdrowie, lecz pannę Antoninę w zachwyty nieopisany wprowadziło. Z trudem wielkim przestudyowała strategię wojskową i filozofię niemiecką bieżącego stulecia, wzamian o higienie wogóle, a higienie dziecięcej w szczególności, ze słyszenia zaledwie wiedziała. Zresztą, przez całe życie swe, ciało i wszelkie jego potrzeby, miała ona w wielkiej pogardzie. Wszystkiem dla niej był—
duch.

— Będzie to piękny, czysty, wzniosły duch!— mawiała zwykle o niepospolitem dziecku, które przez matkę swą, piękną i bardzo bawiącą się wdówkę, niezbyt uszczęśliwiane, do nauczycielki przywiązało się rzewnie, namiętnie.

Przez całe dwa lata nie rozłączały się z sobą ani na jedną godzinę. Blade, wątłe, nerwowe dziecko zasłoniło przed panną Antoniną świat cały. Prócz niego nie widziała ona nikogo i nic. Poetyczność ubrania zniknęła całkiem z uwagi jej i pamięci, przestała włosy zawijać na loczki; wzamian kształcenie

się nabrało dla niej wyższej jeszcze wagi. Tyle umieć, aby mózdz edukację ukochanej dziewczynki aż do końca doprowadzić — stało się najdroższem, najwyższem jej marzeniem. Doprowadzić ją do granic świata i rodziny, towarzyszyć jej w świecie, a potem na zawsze wejść w tę rodzinę, głowę swą na zawsze u piersi jej i w ścianach jej domu utulić, a może dzieci jej jeszcze kołysać, hodować, nauczać — wydawało się to pannie Antoninie szczytem szczęścia, zarówno jak najmożliwszą ze wszystkich pod słońcem możliwości.

Z serca jej i głowy nie wyszedł był jeszcze wyraz: na zawsze! Tym razem muzyka nie stawiała przed nim groźnego znaku zapytania; była ona bowiem udzielaną uczennicy przez kogo innego. Co się zaś tyczy innych nauk, o! panna Antonina wierzyła w siły własne; długie godziny nocne i poranne przesiadując nad stołem, obladowanym różnego rodzaju podręcznikami i metodami, kształciła się z taką żarliwością, że żółtość cery jej i kościstość kibi-ci czyniła szybkie i widoczne postępy.

W stroju i obejściu się z ludźmi stając się poważniejszą i surowszą, w stosunku do dziecka odmłodziła i odświeżyła się. Nie wiedzieć jak, z wyobraźni jej wywijając się zaczęły cudowne bajki i historye, któremi bawiła i nauczała zarazem; nie wiedzieć jakim sposobem nauczyła się sama biegać i śmiać się, a lekcye, ze zdwojonem namaszczeniem udzielane, przeplatać wesołą i głośną zabawą. Nigdy też potem zrozumieć nie mogła, z kąd się jej brała fizyczna siła taka, że dziewczynkę już dwunastoletnią, niby piórko chwytala na ręce, aby mózdz ją silniej, ściślej do piersi swej przycisnąć, ani jakim sposobem czas ubiegał tak szybko, że szare godziny, które spędzały w kątku pokoju, przytulone do siebie, zdawały się graniczyć z chwilami świtania, które często sinem światłem swem przyćmiewało żółty blask niezgaszonej jeszcze lampy.

O szarej godzinie, tuląc się wzajem do siebie, nauczycielka i uczennica jednocześnie i z jednostajnie silnem przekonaniem powiedziały sobie: „nie rozłączymy się z sobą nigdy!”

W parę miesięcy potem ktoś z poważnych krewnych dziewczynki uczynił matce jej uwagę, że nauczycielka taka, jak panna Antonina, edukacyi panienki mającej i do błyszczenia w świecie przeznaczonej, ukończyć nie jest w stanie, że trzeba jej nauki gruntowniejszej i szerszej, jako też kształcenia talentów. Co prawda, krewny ów miał słuszość zupełną; uznała ją też piękna i bawiąca się wdówka, tem łatwiej i chętniej, że oddanie na pensję córki dorastać uczyniącej, o lat kilka przedłużało młodość matki.

Dziewczynka więc oddaną być miała na pensję. Nauczycielka o parę tygodni wcześniej dom opuszczała.

W piękny, letni poranek, w podróznem ubraniu na ganek wyszedłszy, nie widziała ona ani błękitu nieba, ani zieleni okrywającej ziemię, ani słońca, ani ludzi. Nie płakała. Miała tylko spieczone usta, drżące ręce i na żółtych policzkach plamy ciemnych rumieńców. Drżącemi rękami objęła raz jeszcze uczennicę swą, która szeptała jej coś do ucha. Mówiła zapewne, że nie zapomni o niej nigdy i skoro tylko z pensyi wróci... Panna Antonina uwierzyła widać słowom dziecka, bo uśmiechnęła się i wyraz pocieszenia na twarz jej spłynął.

Wsiadła do powozu — i pojechała dalej.

Wkrótce potem zaszedł w życiu jej wypadek, wobec położenia jej dość osobliwy. Miała starającego się — odmówiła mu. Był to człowiek nie stary jeszcze, zamożny obywatel wiejski, bardzo uczciwy i dość ograniczony. Była to dla niej partya świetna, ostatnia zapewne sposobność wyjścia zamaż, zapewnienia więc sobie spokojnej i z wielu stron szczęśliwej nawet przyszłości. Wszystko to czuła i uznawała sama. To też walczyła z sobą i wahała się

długo. Ostatecznie jednak, gdy przyszło do dania słowa konkurentowi, odmówiła.

Dokoła uważano ją prawie za waryatkę i sama potem mówiła nieraz, że „wedle światowych względów sądząc, popełniła wielką niedorzeczność.” „Ale—dodawala zaraz—nie mogłam postąpić inaczej. Człowiek to był dobry, uczciwy, ale o nauce, ani o żadnych ideach i kwestyach literalnie, pani moja, pojęcia nie miał. Wspólności przekonań nie było pomiędzy nami żadnej i przywiązania do niego nie miałam. Wyjść zamaż bez przywiązania i bez wspólności przekonań, byłoby to z mojej strony zaprzeć się swego ducha i stać się na świętem drzewie rodziny pasorzytem. Nie mogłam.”

Osoby, które znały ją we wczesnej jej młodości, domyślały się, że była ona kiedyś silnie w kimś zakochaną. Był to podobno jakiś brat, czy kuzyn jakiejś pani domu. Można tylko było domyślać się tego, gdyż ona sama nie zwierzała się z tem nigdy przed nikim i parę razy tylko pochwycono ją na gorącym uczynku przypatrywania się fotografii jakiegoś mężczyzny, którą też coprędzej chowała na dno szczelnie zamykającej się szkatulki. Być może, iż echa zaznanych kiedyś wzruszeń, nadziei i cierpień znacznie przyczyniły się do tego, że w trzydziestym pierwszym roku życia nie chciała pochwylić przychylającej się ku niej gałęzi: „świętego drzewa rodziny.”

Później nieco doświadczyła ona wstrząśnień moralnych innego rodzaju. Po raz pierwszy w życiu swem znalazła się w domu, którego mieszkańcy posiadali wysokie umysłowe wykształcenie. Goście domu tego odznaczałi się po większej części właściwością tą samą. Tam to po raz pierwszy doświadczyła ona przeblysku pojęcia o tem, czem jest istotna nauka i jakimi drogami postępować zwykło na świecie kształcenie się. Z rozmów dokoła niej toczonych i książek, których dom ten był pełen, dowie-

działa się, że przez długie lat kilkanaście, wyobrażając sobie, że kształci się, czyniła nie wiedzieć co; czyniła coś istotnie i to z trudem nadzwyczajnym, ale, jak potem mawiała zwykle: „było to, pani moja, takie podobne do kształcenia, jak pięść do nosa!“ Uczyniwszy odkrycie to, załamała ręce i zalała się łzami; płakała przecież niedługo. Najprzód nie miała czasu, bo uczyła tam aż troje dzieci, następnie przyszło jej na myśl, że ma dopiero lat trzydzieści dwa. Cóż? wiek ten nie jest jeszcze starością. Uczonego pana domu o kierownictwo, a wykształconej żony jego o pomoc prosząc, rozpoczęła kształcenie się *ab ovo*. Dopomagano jej w pracy tej szczerze i umiejętnie, ona sama zanurzała się w niej z naiwnym zapalem młodego dziewczątka. To też, coraz wyraźniej, coraz szerzej spostrzegać zaczynała „gwiazdę wiedzy,“ gdy rodzice małych uczniów jej, finansowo nadrujnowani, wydzierżawili wieś swoją i w celu staranniejszego a tańszego wychowania dzieci, w mieście osiaść umyślili. Nauczycielka o kilka dni wcześniej niż oni, dom ich opuszczała.

Z pokoju swego wyszła w czerni cała, prosta, sztywna, a ktoby ją wtedy po raz pierwszy zobaczył, myślałby pewnie, że była to kobieta szorstka i rozgniewana. Czolo jej było porznięte zmarszczkami, ogniste oczy świeciły ponuro, chód i ruchy miały w sobie coś ostrego i popędliwego. Jednak pana i panią domu pożegnała z głębokim szacunkiem, dzieci uścisnęła serdecznie, milcząc do powozu wsiadła — i pojechała dalej.

Odtąd cechy, których powierzchowność jej i obejście się stopniowo nabierały, niedobrze względem niej ludzi usposabiały. Ona też dobrych ich usposobień dla siebie nie oczekiwała. Powiedziała była sobie, że „wszystkie ściany na świecie zimne i wszystkie serca obce“ i że „te wielkie przywiązania pomiędzy obcymi... to tylko w powieściach.“ Powiedziała to sobie i z różowego morza iluzji, po którym przez

całą swą młodość pływała, wpłynęła w gorzkie wody nieufności i podejrzliwości.

Neufność i podejrzliwość malowały się w wyrazistych jej oczach wtedy nawet i wtedy szczególnie, gdy ktokolwiek zwracał ku niej życzliwe lub serdeczne słowa. Na każdy objaw sympatii patrzyła w ten sposób, jakby zbadać chciała, czy nie jest brana za przedmiot żartu lub ironii. Jeżeli przekonała się, że nie był to żart, ani szyderstwo i wtedy jeszcze nie rozczulała się wcale. „Przyjaźń ludzka — mawiała — to wiatr: przyłeci i odłeci. Ktoby na nią w wieku moim liczył i spodziewał się czegoś od niej, temubym powiedziała, że jest starem dzieckiem.“

Czy głębokie zwątpienie to było we wnętrzu jej raną wiecznie i mocno bolącą, nie mówiła o tem nikomu. Ale przejęta niem, przestała całkiem garnąć się ku ludziom, którzy też przygarniać jej ku sobie ani myśleli. Była to, jak z jednej, tak z drugiej strony, rzecz prosta i konieczna. Prosto też i koniecznie ztąd wynikało, że panna Antonina przez kilka lat następnych często miejsca zmieniała.

Tu sama nie chciała być dłużej, tam jej nie chciano. Miała już teraz swoje gusta i wymagania. W jednym domu było jej za gwaro, w innym za cicho, w jednym za gorąco, w innym za zimno. Tak na przykład, sypiając i ucząc dzieci w pokoju źle w zimie ogrzewanym, blisko okna, niedbale urządzonego, dostała artretyzmu, lekkiego zrazu, niemniej dokuczliwego. Gdyby to było dawniej, zniosłaby dolegliwość cierpliwie i w milczeniu, a za jedno słowo serdeczne, za jeden uśmiech przyjazny zgodziłaby się, aby w dodatku dano jej jeszcze — suchoty. Ale teraz wzajemny stosunek gospodarzy domu i nauczycielki określiwszy sobie całkiem inaczej, obraziła się za to zaniedbywanie wygod i zdrowia jej i o powóz i konie prosiła.

Zarazem powiedziała sobie: „dość już tułaczki

tej i tego wycierania cudzych kątów!” Ogarnęło ją namiętne, nieprzeparłe pragnienie własnego kąta. Od dawna już nie miała matki, dla której pracowała za młodu. Była teraz zupełnie sama jedna i za siebie samą odpowiedzialna. Przyjechała do miasta, najęła pokoik pod dachem trzypiętrowej kamienicy, urządziła go mniej jeszcze według swoich gustów, jak według swoich zasad i, poparta małemi stosunkami, w mieście posiadaniem, zaczęła dawać lekcye po domach miejskich.

Osiedlając się w pokoiku swoim, mówiła: „Doświadczam takiego uczucia, jak gdybym wracała z siedemnastoletniej podróży. Podróż tę zaczęłam, młodziuchną dziewczką będąc. Siedemnaście lat, pani moja, podróżowałam. I cóż...”

Umilkła i zamyśliła się. Zapewne, do zwierzań się niesklonna, samej siebie zapytywała: co w podróży tej zostawiła—co z niej przywiozła?

Dzień był zimowy, trochę mroźny i bardzo wietrzny. Z powietrza, z dachów, z ziemi, gwałtowny wicher porywał śnieg twardy i ostry; ze szmerem, krzykiem, jękami, miotał po ulicach miasta fale białego pyłu. Wszystko na świecie było białe i mętne. Na gzemsach domów i suchych gałęziach drzew krakały wrony, środkiem ulicy od czasu do czasu, z głuchym klekotem dzwonek przelatowały dorożki, chodniki były prawie puste. Sklepy pozamykano szczelnie przed wiatrem i śniegiem; bramy domów zamknięte także i okna domów ze zbielałemi szybami milczały.

Wpółogłuszona przez krzyki i szumy wichru, wpółślepiąca miotanym w twarz i oczy śniegiem, zdawała już jednak dostrzegła sunącą przedemną i fale śniegowego pyłu przerzynającą, czarną, długą linią. Po chwili rozpoznała, że była to postać ludzka i kobieca. W obcisłem futerku i do kostek podniesionej sukni, z rękoma wsuniętymi w rękawy szubki, cienka, wysoka i wyprostowana kobie-

ta szła prędko i równo, na wicher i wirująca w powietrzu śnieżycę zupełnie jakby nieczuła. Z tyłu głowy jej wiatr kręcił szalenie końcami czarnej jej woalki, ona zaś sama ani chwiała się, ani pochylała, ani zwalniała kroku.

Dopędzając ją, zawołałam:

— Panno Antonino!

Stała jak wryta, obejrzała się, ale gdy chciała wyciągnąć do mnie rękę i na powitanie moje odpowiedzieć, zachwiała się i, jak ktoś czujący, że upada, dłoń oparła o słup latarni.

Błądą była bardzo, usta miała w pół otwarte, oddechu jej brakowało. Dopóki szła—szła, gdy tylko stanęła, siły ją opuściły.

— Nic to, nic — siląc się na głos i uśmiech, mówić zaczęła. — Przestraszyłaś mnie pani, wołając tak nagle. Zamyślona byłam...

— Ależ pani nie przelękłaś się, tylko się bardzo zmęczyłaś. Istotnie, bo w taką porę...

— Co? ja się zmęczyłam? Oto także! Czy ja takie, pani moja, kursy odbywam i w takie zawieruchy chodzę! Kobieta pracująca silną być powinna.

Teoryę tę, wnet w praktyce stosując, wyprostowała się i postąpiła naprzód. Dziwna rzecz! szła znów prędko, równo, z kibicią wyprostowaną i podniesioną głową. I znów wiatr miotał i kręcił końcami jej woalki.

— Dokąd pani idziesz?

— Jaktó dokąd? Naturalnie, że na lekcję...

— Czy na pierwszą?

— A któraż teraz godzina?

— Jest już, jak mi się zdaje, około dwunastej.

— Jak mi się zdaje...—z przekąsem powtórzyła; — co to za fatalne przyzwyczajenie kobiece nie wiedzieć nigdy napewno, która godzina. Dlatego też wszystko u kobiet Bóg wie pojakiemu idzie, a mężczyźni gardzą niemi i pomiatają...

Że w tej chwili samo niebo pomiatało nami,

była to rzecz pewna. Wicher odrzucił mnie o kilka kroków od towarzyski mojej, aż pod ścianę kamienicy, nią zaś szamotał tak, że zdawało się, iż już, już na klęczki upadnie. Dla utrzymania przecież równowagi rozpostarła ramiona, okręciła się parę razy na miejscu i znów mocno na nogach stanęła.

— Przekłęty huragan—mruknęła — spóźnię się na lekcję...

— Czy to będzie dziś pierwsza lekcya? — powtórzyłam zapytanie moje.

— At! jak można o takie rzeczy pytać? Sama pani mówiłaś, że już dwunasta. Cóż to? czy to ja pasorzytem jestem, żebym miała do południa z założonemi rękoma siedzieć. Od ósmej jestem na mieście. Idę na czwartą z kolei lekcję.

— Zkądże idziesz pani i dokąd?

Szła z jednego końca dość rozległego miasta na drugi. W połowie drogi pożegnałam ją i wchodziłam już w bramę domu, do którego dążyłam, gdy wróciła kilka kroków i za rękę mnie wzięła.

— Odwiedźże mnie pani dziś albo jutro... tak mi zawsze miło dawnych znajomych u siebie widzieć... tylko przed ósmą, bo o ósmej otwieram swój uniwersytet.

Mówiąc to, mocno ścisnęła mi rękę. Z za woalki, od zmarzłego śniegu stężelej, czarne oczy jej polyskiwały gorąco i smutnie.

Na ulicy towarzystwo jej stawało się niekiedy kłopotliwem. W grubem obuwiu i w kaloszach, dla oszczędzenia obuwia wkładanych, brnąc po błocie, albo najsrozsze ślizgawice przebywając tak równym i pewnym krokiem, jakby po gładkim granicie stąpała, bystro i uważnie patrzyła ona dokoła siebie, a czynione spostrzeżenia i doświadczane wrażenia wyrażała głośno i z energią. Kobiety strojne, często na ulicach ukazujące się, sprowadzały jej formalne ataki oburzenia. Przystawała na chwilę, oglądała się za nimi i energicznie gestykulując, nazywała je lal-

kami, pijawkami, pasorzytami, ssącemi drzewo społeczeństwa. Oczy jej zapalały się wtedy jak dwa żużle, brwi zbiegały się i nadawały czołu wyraz bolesny i groźny. Znajomym mówiła wprost i w oczy, co o nich myśli. Matkom uczennic swoich, zanadto dbającym o dokładne podobieństwo małych swych córek do żurnalów mód, prawila:

— Wstydź się pani, wstydź się! Czy chcesz pani córki swoje na pasorzyty wykierować i przy czynić się do zgubienia w zarodku emancypacji kobiet? Winszuję, ale nie zazdrozczę... Mieć na sumieniu tamowanie postępu ludzkości, piękna rzecz!

Kiedy sprzeczano się z nią o „emancypację kobiet,” unosiła się i pomiędzy wielu innymi przytaczała niezmiennie i ten także argument:

— Dwanaście córek i dwanaście katedr i nikt mi tego z głowy nie wybiję!

Nikt jej też z głowy wybić nie mógł, że wszyscy uczniowie szkół miejscowych bez różnicy płci, byli najpiękniejszą ozdobą i nadzieją ludzkości, jak też przedmiotem budzącym w dobrze uorganizowanym sercu tkliwe uczucia. Na widok gromadki drobnych istot tych, rojem ze ścian szkoły na ulicę wybiegających, wzrok jej rozpromieniał się, twarz cała nabierała wyrazu niewymownej słodyczy i czułości. Wśród drobnej ludności tej posiadała widać sporą ilość znajomych, bo niektóre z dzieci witały ją uśmiechem i skinieniem głowy, albo nawet do ręki jej przypadszy, pocałunkami ją okrywały. Bywały to najczęściej twarze dziecinne bladawe i smutne. Widocznie dziękowały jej one za coś, ale za co? — nie dowiedziałam się o tem nigdy.

Codzień zrana, wymiotłszy pokoik swój i opatrzywszy kwiatki i kanarka, mówiła do siebie; marsz w drogę! i wychodziła na miasto. Maszerowanie to jej przecież słabło i wolniało na schodach. Z coraz większą trudnością przychodziło jej wstępować na wysokie piętra. Usiłowała pokryć to, ale nie mogła.

— Albo to ja taka stara — mówiła, śmiejąc się, a od bólu mimowoli brwi zsuwając.

Starą nie była istotnie, bo nie miała jeszcze pełna lat czterdziestu. Ale, raz, o szarej godzinie, przyznała mi się, że artretyzm, nabyty w ostatnim roku domowego nauczycielstwa, coraz częściej i silniej ją napastuje. Wyznanie swe czyniła tak cicho, jak gdyby przez to zniesienie głosu do zrozumienia mi dawała, iż jest to głęboka i mnie tylko powierzona tajemnica.

— Pokoik ten — dodała — jest bardzo miutki, ale zimny w mrozy, a na wiosnę wilgotny. Zmienić zaś mieszkanie... trudno!

Domyślam się, że trudność ta pochodziła z przyczyn częścią ekonomiczną, częścią uczuciową natury. Zdrowsze i droższe mieszkanie było zapewne nad jej możność, lecz zarazem pozbawiłoby ją ulubionego obicia z polnemi kwiatkami i tych radosnych a wdzięcznych podziękowań dziecięcych, które na ulicach miasta pod stopy jej, okryte obłożonemi kaloszami, padały jak perły...

Chciałam mówić z nią o cierpieniu jej, coś jej doradzać, lecz szybko zmieniając przedmiot rozmowy, mówić zaczęła o rozmaitych powieściopisarzach, poetach, filozofach, jako też o różnych „kwestyach i ideach”. Napelniająca pokoik jej szara godzina zdawała się roić imionami, datami, cytatami, które gradem z ust jej się sypały. Na niskim taborecie, przed palącym się w piecu ogniem, siedząc z patetycznie rozwartemi ramionami, deklamowała wyjątek z poematu jakiegoś, deklamacyę swą przerywając dmuchaniem w stojący na ziemi samowar. Że zaś w poemacie owym znajdowała się wzmianka o Napoleonie I, skończywszy deklamować, mówiła coś o strategii wojennej... Uczoną rozmowę tę ośmieliłam się przerwać zapytaniem: ile mieć może dochodu za udzielane przez się lekcyje? Zmarkotniała i milczała przez chwilę. Bardzo nie lubiła, gdy ją o nią

samą zapytywano; podejrzewała w tem zawsze jakieś ironiczne intencje. Tym razem jednak bądź przez gościnność, bądź przez grzeczność, bądź pod wpływem szarej godziny, łagodnie zabarwionej różowemi blaskami ognia, łagodnie odpowiedziała:

— Cóż? Z początku szło mi wcale nieźle. Teraz gorzej trochę, bo konkurencya silna...

— Konkurencya?

— A tak; jest nas tu, dających lekcyje, mnóstwo! W dodatku dziewczątka te, które gimnazya pokończyły, więcej odemnie umieją i lepiej uczą, to też najlepsze lekcyje im się dostają...

Więcej umieją! Boże! Ona jednak tak długo kształciła się i tak niepospolitą miała erudycyę!

— Miałam kiedyś ośm godzin dziennie — rzekła — jeszcze, teraz mam już tylko pięć i bardzo lękam się... że na rok przyszły mniej jeszcze mieć będę.

Więcej już nic o tem nie powiedziała, ale przez dobre pięć minut siedziała na taboreciku swym milcząca i zamyślona. Postać jej rysowała się w cieniu jak długa, cienka, czarna linia; chude, długie ręce białeły na czarnej sukni; twarz wychyliła nieco na światło ognia, które w oczach jej szklisto tkwiących w przestrzeni, zapalało drżące iskry. Zamyślenie to jej, z osłupieniem graniczące i odkąd znałam ją, pierwszy raz wymówiony wyraz: „lękam się” — wiele do myślenia dawały.

Po chwili jednak szybko i raźnie powstała, zapaliła świecę i herbatę przyrządzać zaczęła. Przytem mówiła znów o wielu rzeczach uczonych i wzniosłych. W godzinę potem pokoik jej napelnił się ubogą dziatwą.

Uprosiłam ją, aby pozwoliła mi pozostać.

Lekcyje trwały dwie długie godziny, w ciągu których pokoik przedstawiał istotną szkółkę wieczorną, z solowem i chóralnem bąkaniem sylab na elementarzach, z pisaniem liter i cyfr na zeszytach

i łupkowych tablicach, z uderzaniem palcami w różne miejsca wiszącej na ścianie mapy, z klęczaniem, stanieniem w kącie, zapisywaniem złych i dobrych stopni i t. p. Wszystko to zakończyło się opowiadaniem bardzo ładnej bajki, utworem samej nauczycielki będącej, a w której były poezya i morał i różne wiadomości o szerokim świecie. Dzieci, w rozmaitych postawach na ziemi siedząc, słuchały z zajęciem wielkiem, zdradzającym się szeroko pootwieranymi oczami i ustami; panna Antonina zaś, pomiędzy niemi na taboreciku siedząca, opowiadała bajkę swoją z przejściem się nadzwyczajnem, z odpowiednią mimiką i deklamacją.

Po bajce nastąpiło rozdzielanie pomiędzy uczniów bułeczki czarnego chleba, którego też częśćką sama nauczycielka z apetytem wielkim jeść zaczęła. Potem w pokoiku zrobiło się znów cicho i pusto. Ogień w piecu zgasł; godzina była dziesiąta.

Przy świetle jednej świecy twarz panny Antoniny wyglądała okropnie znużona, oczy jej nawet przygasły i kibić zgarbiła się. Ręce bezwładnie opuściła na suknię, osypaną okruchami czarnego chleba, na wieczerzę spożytego. Kiedy, pożegnawszy ją, odchodziłam, gasiła świecę i zapalała małą nocną lampkę, w kącie pokoju wiszącą.

— Pozwalam sobie na zbytek ten — rzekła jeszcze — grubych ciemności nie lubię, a nocami nie zawsze sypiam.

Któż odgadnie i opowie, o czem myślała ona, co czuła, gdy w długie, zimowe noce, na twardem, wązkim łóżeczku leżąc, bezsennymi oczyma wodziła po suficie i ścianach pokoiku, na których chwiejne cienie sprzętów melancholijnie łączyły się i rozstawały ze smugami bladego światła?

Dla przyczyn różnych nie widywałam jej potem przez lat trzy, a gdy następnie zapytałam o nią ttróża kamienicy, pod dachem której po raz ostatni ją widziałam, odpowiedział mi, że od dość da-

wna już tam nie mieszkała. Dość długo pytać o nią i szukać jej musiałam, zanim nakoniec dowiedziałam się, gdzie przebywa. Nie było w tem nic dziwnego. Od kilku miesięcy już ludzie widywać ją przestali.

Wszedłszy na korytarz szpitala, wązki, długi, z białymi jak śnieg ścianami i błyszczącą jak lustro posadzką, zapytałam przechodzącego posługacza o osobę, którą odwiedzić chciałam. Wskazał mi jedne z pomiędzy drzwi, których dwa długie szeregi znajdowały się po obu stronach korytarza.

Weszłam.

Znów pokoiik, ale bez obicia z polnemi kwiatkami, bez obrazków, kanarka i kwitnącej pelargonii. Czarne pręty żelaznego łóżka suchemi liniami rysowały się po ścianach białych jak śnieg, a tak wysokich, że trzeba było długo podnosić wzrok, aby dosięgnąć nim sufitu. Za ogromnem, nagiem oknem, ze zwiniętą u góry żółtawą storą, w gęstej jesiennej mgle chwiały się zwolna bezlistne szczyty topoli, rosnących w szpitalnym ogrodzie. Naprzeciw okna, wysokie i jak zwierciadło od polityry błyszczące drzwi, przy łóżku stolik żelazny, u przeciwległej ściany stół i dwa żółte stolki.

Czysto tu było, widno, nago, smutno i okropnie nudno. W dobrze ogrzanem i oświeżonem powietrzu drgało nieujęte uczucie chłodu i unosiły się ekliwe wonie lekarstw.

Na żelaznem łóżku, o wysokich czarnych prętach, na białej jak śnieg pościeli, pod żółtawą kołdrą szpitalną leżała panna Antonina. Mocno siwe włosy jej całkiem były w tył odczesane, przez co odkryło się, przysłaniane dawniej, wysokie i wypukłe jej czoło. Przy twarzy zmalałej od wychudnięcia, czoło to wyglądało ogromne, a okrywał je rój drobnych, gęstych, w różne kierunki krzyżujących się zmarszczek. Zapadłe oczy jej przypominały okryte parą zwierciadło; wązką linię ust bladych i ściśniętych okrężał wyraz milczącego cierpienia. Twarz ta, wo-

skową żółcią, swą odbijała silnie od bieli poduszki, wzamian splecione ręce jej, delikatne, z siatką błękitnych żyłek, wydawały się bardzo białymi na tle żółtej koldry.

Zrazu nie poznała mnie. Wzrok miała osłabiony, nadewszystko zaś nie spodziewała się odwiedzin jakichkolwiek, potem, z uśmiechem wyciągnęła ku mnie rękę i usiłując jeszcze być gościnną, chciała podnieść się, usiąść. Nie mogła jednak. Była bardzo słabą i oddech miała krótki, ciężki, głośny. Leżąc więc, powiedziała mi, że zostaje tu już od kilku miesięcy. Zbierało się, zbierało na tę długą chorobę przez lat kilka, aż nakoniec zebrało się. Artretyzm spadł jej na płuca, zapewne dlatego, że wiele chodziła po wietrze i słońcu, a przy lekcjach musiała ciągle mówić. Zresztą lekcyj miała już w ostatnich czasach coraz mniej. Zmuszoną była wziąć mieszkanie tańsze, które było chłodniejszym jeszcze i wilgotniejszym od tamtego. Kiedy zachorowała, przez parę miesięcy leżała w mieszkaniu swoim, ale potem... kuracya kosztowała bardzo drogo i dozoru nad nią akuratnego mieć nie mogła... Cóż? w szpitalu tym bardzo jest dobrze; lekarze dobrzy tu są i troskliwi, dozór dobry i wszystko na żądanie. W dodatku, dobrzy ludzie wystarali się o to, aby mogła leżeć nie we wspólnej sali, ale w osobnym pokoju. Płacą nawet za to, ale cóż robić? Musi już ona przyjmować ofiarę tę i bardzo jest za nią wdzięczną.

Wszystko to mówiła cicho, zwolna i z uśmiechem; potem, spoczawszy minut parę, dodała:

— Takto już na świecie jest, pani moja! człowiek złożony jest z ducha i ciała i nietylko duchowe, ale i cielesne dolegliwości mieć musi. I żeby to tak zaraz umierać, jak tylko duch albo ciało bardzo cierpieć zaczną, ale gdzietam! Nim śmierć przyjdzie, wszystkiego doświadczyć trzeba... Taką już jest sroga rzeczywistość...

Odpocząwszy nieco, wypytywać się zaczęła: co tam na świecie słychać? co piszą w gazetach? jakie nowe książki wyszły? czy w parlamencie angielskim odbyły się już narady nad dopuszczeniem kobiet do wotowania? i t. p.

Odpowiedzi na pytania te słuchała prawie z chciwością. Parę razy oczy jej zapłonęły dawnym ogniem i uśmiech szczery, prawie wesoly, okrążył usta. Potem westchnęła i utkwiała wzrok w kołyszące się za oknem bezlistne szczyty topoli.

— Tak, tak! — szepnęła — świat idzie sobie drogą swoją, choć ludzie jak muchy z drogi tej znikają... Chciałabym bardzo popatrzeć jeszcze na to wszystko... Mogłabym... wszakże tak bardzo starą nie jestem...

Miała wtedy lat czterdzieści parę, nie była więc już młodą; jednak, widywałam kobiety w jej wieku tańczące na balach i inne, które w silnych ramionach kołysały malutkie wnuki. Ona nie mogła już dnia tego mówić, ani słuchać więcej. Po półgodzinnej rozmowie żółte powieki jej opadły bezsilnie na zagasłe źrenice, ręce i wargi zacisnęły się w niezmiernem wysileniu woli, powstrzymującej jęki.

Innego dnia, wchodząc do szpitalnego pokoju, znalazłam chorą wpółsiedzącą na łóżku, z małą, otwartą szkatułką na kolanach. Tak była pogrążona w rozpatrywaniu przedmiotów znajdujących się w szkatułce, że zrazu wejścia mego nie spostrzegła. Usłyszawszy dopiero powitanie moje, podniosła głowę i zwolna, nie śpiesząc się, szkatułkę zamknęła. Była dnia tego trochę silniejszą, lekarstwo jakieś ulgę jej sprawiło. Po kwadransie rozmowy o tem, co na świecie słychać, z uśmiechem rzekła:

— Widzę, że spoglądasz pani ciągle na szkatułkę moją i pewnie ciekawa jesteś, co się w niej znajduje... Może nawet myślisz sobie... ot chytra babina! uciulała sobie przez całe życie pełną szkatułkę pieniążków, a teraz, na szpitalnem łóżku leżąc,

liczy je dla rozrywki i może kupony od bilecików odcina!...

Mówiąc to, śmiała się tak serdecznie, że aż potem zakaszła się gwałtownie i przez minut kilka leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczyma, prędko i chrapliwie oddychając; podniosła potem ciężkie powieki i omglonym wzrokiem długo na mnie patrzyła. Nie śmiała się już, ani uśmiechała; powoli i tak cicho, że zaledwie dosłyszeć ją mogłam, mówić zaczęła.

— Owszem, z przyjemnością pokażę pani, co mam w tej szkatulce. Nie ma tam klejnotów, ani osobliwości żadnych, tylko... są wszystkie moje pamiątki...

Otworzyła szkatułkę, pełną przedmiotów jakichś, w papiery i papierki pozawijanych. Rozwinęła paperek jeden i pokazując mi duży liść dębowy, tak zeschnięty, że prawie w proch rozsypujący się, rzekła:

— Zerwałam to z drzewa, wyjeżdżając od państwa Skierskich... pamiętasz pani? z tego domu, gdzie mi tak dobrze było, gdzie tak wszystkich, wszystkich kochałam... Pod drzewem tem siadywałam zwykle przez całe lato z uczennicami wemi, z robotą, z książką... dobrze mi wtedy było... Myślałam, że tam długo, długo będę... Może i zawsze. Kiedy już trzeba było odjeżdżać, wycalowałam drogę moje drzewo i liść ten na pamiątkę domu tego z sobą powiozłam... Nazywam go sobie zawsze liściem wiary, bo wierzyłam wtedy w serca ludzkie, w przywiązanie, wierność... Ach! jak wierzyłam!...

Zwłoki, a raczej prochy „liścia wiary”, starannie znów owinąwszy w paperek, powoli rozwinęła drugi.

— A to, widzisz pani, pasemko włosów mojej babuni... staruszki tej, której ostatnich lat osłoda byłam i która w chwili skonania tak czule mnie pobło-

gosławiła... Biedna, kochana staruszkal! Nazywała mnie zawsze Antosią!

Tu, drżące trochę palce jej spotkały się w szkatułce z przedmiotem, przed ukazaniem którego zawahała się chwilę. Zdaje się, że blady, zaledwie dostrzegalny rumieniec, na mgnienie oka zamigotał pośród zmarszczek jej czoła. Nakoniec, w palcach jej ukazała się fotografia. Podając mi ją, szepnęła:

— To on!

Spuściła wnet oczy i długo nie mówiła nic.

Fotografia spłowiwała, w pół zatarta, przedstawiała twarz młodego mężczyzny ani piękną, ani brzydką, tak już zresztą niewyraźną, że nic z niej wyczytać nie można było. Gdy przypatrywałam się jej, panna Antonina, nie podnosząc powiek, szepnęła:

— Widzi pani, każdy człowiek na świecie ma sobie w przeszłości swój poemacik jakiś. I ja go mam. Była to tylko chwila... iskra, czy róża przeleciała mi przez drogę. Coś pamiętam... jakieś ranki letnie w pięknym ogrodzie, jakieś wieczory jesienne przy ogniu kominka... zdaje mi się, że on mnie prawdziwie kochał. A może i nie?... czy ja wiem... Zniknęło! i jakże to dawno już było... dawno... dawno!

— Czy widywałeś go pani potem?

— Nigdy; najczęściej ludzi, z którymi rozstałam się, nie widywałam już potem nigdy. I jej także już nie widziałam...

Tu podała mi zeszyt, dziecięcą ręką zapisany. Były to „wypracowania” owej najdroższej uczennicy jej.

— Co to było za dziecko! — zawołała i dźwignięta wracającym jej dawnym zapalem, usiadła na łóżku — była to, pani moja, dziewczynka genialna! Jak ona wszystko rozumiała, jakim stylem już pisała, jakie szlachetne, wznioste uczucia napelniały już to dziecinne serce!

Splotła ręce, wzniesione oczy jej płonęły.

— O pani moja, żeby mi kto powiedział, żeby mi kto powiedzieć mógł, że nauki moje zostawiły w dziecku tem ślad trwałe, że ziarno, które w nie rzucałam, świat nie zdeptał i na cztery wiatry nie rozniósł... żeby mi kto powiedział, że jest ona teraz kobietą rozumną i wzniosłą... umarłabym, błogosławiąc tego, ktoby mi wlał w usta tę kroplę słodyczy!...

Upadła na poduszki zmęczona, bezsilna, z dyszącą piersi.

— Nie odezwała się już ona do pani nigdy?

Odszepnęła bardzo cicho.

— Nigdy. Przyrzekła pisywać do mnie i gdy dorosnie, wezwać mnie do siebie, ale... dzieckiem jeszcze była... zapomniała.

Było tam jeszcze w szkatułce tej kilka innych przedmiotów, starannie schowanych: spory zeszyt notat i wyciągów z książek najróżniejszej natury; długi spis tytułów dzieł, przez całe życie przeczytanych, jako też imion ich autorów, słowem, ślady i pamiątki długoletniego, żarliwego kształcenia się.

Nawznak leżąc, z przymkniętymi od zmęczenia oczyma, panna Antonina wynalazła w szkatułce jeden jeszcze paperek, a gdy go rozwinęła, zobaczyłam mały kąsek i trochę okruch czarnego chleba.

— To z mego pokoiku... tego, w którym pani bywałaś. Łamałam się tam z biednymi dziećmi czarnym chlebem wiedzy mojej i moich dostatków... Zmieniając mieszkanie, wzięłam go trochę na pamiątkę...

Potem przez dość długi szereg dni następnych znajdowałam najczęściej pannę Antoninę pogrążoną w rozpatrywaniu zawartości owej szkatułki. Im słabszą była i więcej cierpiała, tem pilniej i nieustannie przyglądała się przedmiotom, z papierków odwijanym. Przestała już zapytywać o to, co na świecie

słyszać. Często zdawała się zapominać o obecności mojej.

U ogromnego, nagiego okna z robotą siedząc, długie chwile przypatrywałam się jej, gdy nad szkatułką swoją schylona, w wychudłych palcach trzymała okruchy dębowego liścia albo pasmo siwych włosów, albo spłowiłą mętną fotografię, albo jeszcze jeden z uścielających dno szkatułki zeszytów i wlepiając w nie oczy, poruszała zwolna spieczonemi wargami, jakby wiodła z nimi tajemnicze, czule niekiedy, a niekiedy gorzkie i gniewne rozmowy.

Raz, po długim wpatrywaniu się w jeden z zeszytów, żywym ruchem podniosła głowę i po dawnemu pięść ściskając, zawołała:

— Żeby mi kto powiedział, po co ja tę strategię i filozofię niemiecką studyowałam! Siwieć zaczęłam... prawdę powiadam, pani moja, że nad tą strategią i nad tą filozofią siwieć zaczęłam.

Mimowoli uśmiechnęłam się. Spostrzegła to; gniewnie wstrząsnęła głową.

— Śmiejesz się pani — sarknęła — przepraszam, ale wcale niema z czego. Kiedy kto gwiazdę wie-dzy ukocha i dążyć do niej pragnie, a drogi prostej nie zna, omackiem idzie... ludzi to śmieszy, zapewne; ale tym, co sobie lby o ścianę rozbijają, wcale nie wesolo... Oho! gdybym się ja drugi raz na świat urodziła, albo gdybym córki miała...

Innego dnia, po całej godzinie rozpatrywania się w pamiątkach swoich, podniosła na mnie wzrok łagodny i pełen wyrazu prośby.

— Pani moja droga — rzekła — jeżeli ja z choroby tej umrę, bądź tak łaskawą i spal wszystko, co w tej szkatułce... Poco się to ma po szpitalnym śmietniku ciągać..

Nawznak leżąc, omglonym, zadumanym wzrokiem zwolna ścigała chwiejące się w mgłę jesiennej szczyty ogrodowych topoli; potem rzekła jeszcze:

— W ogień i koniec. Spali się to i śladu po mnie na ziemi tej nie zostanie...

Tu, jakby wstrząśnięta brzmieniem wyrazów własnych, uczyniła ruch żywy; łokciem wsparta o poduszkę, w pół podniosła się i prędko, ciężko dysząc, zawołała:

— Czyż naprawdę żadnego, żadnego śladu nie zostanie?

W oczach jej, nagle rozpromienionych, malowało się niespokojne, gwałtowne, rozpaczliwe prawie pytanie. Pytaniem tem dręczyła się ciągle przez kilka dni następnych.

— Bo jeżeli nic, nic nie zostanie... to pocóż było... to jakież sens...

Potem z rozwagą i łagodnie mówiła:

— A może i zostanie coś... może w tych małych głowach i sercach zostało z nauk moich choć trochę. Z całej siły pragnęłam... starałam się... zresztą choćby i to, że czytać je nauczyłam...

Dręcząc się tak i pocieszając z kolei, słabła coraz bardziej. Dolna część jej twarzy wydawała się coraz mniejszą, a czoło coraz ogromniejszym i wypuklejszem. Po kilku dniach przestała już troszczyć się i o pozostawienie śladów swych na ziemi; przynajmniej nie mówiła już o tem. Całkiem prawie mówić przestała i leżała nieruchomo, czasem jeszcze tylko rozwijając który z papierków i na zawartość jego zwracając wzrok, mdlejący w osłabieniu, albo rozplomieniony gorączką. Zapytałem ją raz, czy bardzo cierpi. Z cieniem dawnej patetyczności odpowiedziała:

— Czarne noce o tem wiedzą, a pewnie opowiadać tego nikomu nie będą.

Po chwili do siebie samej szepnęła:

— Gdybym miała córki...

Zaczęłam mówić jej, że przecież pomiędzy ludźmi...

--- Tak, tak — podchwyciła — zapewne! Ludzie

byli dla mnie zawsze więcej dobrzy, niż źli. Ot i kiedy zachorowałam, przywieźli mnie tu w wygodnym powozie, najęli osobny pokoik, z początku odwiedzali nawet czasem... potem przestali odwiedzać, bo każdy ma swoje zajęcia, stosunki... bardzo wdzięczna jestem za wszystko... ale te wielkie przyjaźnie i przywiązania pomiędzy obcymi... to tylko w powieściach...

Dnia pewnego znalazłam ją tak już słabą, że leżąc, oddychać nie mogła. Ułożono jej za plecami tyle poduszek, aby utrzymywała się w postawie siedzącej.

Na kolanach jej stała otwarta szkatulka.

Gdy usiadłam przy łóżku, nie poruszając głową, bardzo powoli wzrok na mnie zwróciła.

— Wiesz pani—szepnęła—znów doświadczam uczucia takiego, jak gdybym wracała z długiej, długiej podróży... Dwadzieścia sześć lat podróżowałam i ani jednego dnia swobodnie po świecie nie bujałam... I cóż...

Znów nie dokończyła, ale ręce jej podobne do rąk szkieletu, nad otwartą szkatulką rozwarte i drżące, zdawały się zapytywać: co w podróży tej pozostawiła i co z niej przywiozła?...

* * *

Marzy mi się nieraz, że kiedyś w niewidzialnej strefie duchowych dziejów ludzkości, istnieje mgławica jakaś ogromna i niezgłębiona, złożona z dusz, które życie dostało w postaci pąka pięknego kwiatu, a wypuściło z swych objęć poszarpane i zmięte. Duszo zmęczona, niewynagrodzona, lecz w tę wymarzoną mgławicę, może ona kiedyś utworzy świat nowy i lepszy...

Romanowa.

Więc i ta nawet kobieta miała kiedyś nad głową błękit wiosenny, a w sercu słońce szczęścia! Więc i takie nawet pylinki ludzkości, malutkie i szare, posiadają wspomnienia swe, o których z głośnym rubasznym śmiechem mówią dopóty, dopóki w oku ich nie zakręci się łza. Proszę! Ktoby się był spodziewał, że ta Romanowa wiodła kiedyś życie szczęśliwe i wesole, któremu nawet nie brakowało odrobiny poezyi. Ona i poezya. Dziwny związek dwu sprzecznych z sobą składników, który, aby w retoricie życia mózż dostrzedz, trzeba by chyba oko w drobnowidz uzbroić.

Znałam ją już od lat kilku, niemniej, gdy opowiadała mi przeszłość swoją, przypatrywałam się bacznie i ciekawie całej powierzchowności jej, a szczególnie grze zmarszczek jej twarzy. Jakkolwiek od lat już kilkunastu przebywała w mieście, nie przyswoiła sobie nigdy całkowitego ubrania miejskiego. Posiadała sztukę wyszukiwania na rynkach miejskich owych spódnic grubych i sztywnych, które z farbowanych na barwy różne lnu i konopi tkają na krośnach swych kobiety wiejskie, a które w języku miejscowym noszą nazwę *somodziału*. W *samodziółowej* zatem spodnicy, sztywnej i mieniającej się czerwonymi i sinymi pręgi, w grubem i ciężkiem obuwiu na ogromnych stopach, w kaſtanie, po miejsku już nieco skrojonym, i perkalowej, kwiecistej chustce, po wiejsku znów związanej na głowie w ten sposób, że tworzyła czepek, ukazujący z przodu dwa pasma siwiejących włosów, stała przedemną rozgadana, śmiejąca się, szczęśliwa tem, że pozwolono jej gadać...

gadać... gadać. Była kiedyś przystojną, ale teraz twarz jej z ciemną skórą, czołem wązkiem i pomarszczonem, z pomarszczonemi policzkami i zwiedłemi usty, przypominała zgniecioną kartę starego żółtego papieru. Mały zadarty nos rzucił na twarz tę wyraz głupowatej trochę wesołości, a siwe, małe oczy, z pod gęstych wypukłych brwi błyszczące były i bardzo żywe. Ręce jej objawiały życie spędzone w ciężkiej i nieustannej pracy. Zdawała na nie patrząc, można było mniemać, że okrywały je rękawiczki tego odcienia orzechowej barwy, która nosi nazwę *koloru Bismark*. Były one dziwnie grube w dłoniach, o węzłowatych palcach, wiecznie poznaczone czarnymi i czerwonymi bliznami, świadczącymi o częstem ich stykaniu się z ogniem i kipiátkiem. Ręce te u piersi splótszy i siwemi oczyma błyskając, opowiadała:

— *Bywalo*, proszę pani, zimową porą, jak go *smotrytiel* po siano posyła, założy do sań parę koni, do dyszla dzwonek przywiąże... i woła na mnie: „Ewka, chodź, a żywo! razem pojedziem!” *Smotrytiel* czasem z sieni krzyczy: „Roman! a po co ci ten dzwonek?” „Żeby wilki w lesie nie napadli”—odpowiada.— Ale ja wiedziałam, że to wcale nie dla wilków, tylko dlatego, że ja strasznie lubiłam z dzwoniem pocztowym jeździć. Drugiemu możeby i nie pozwolili żonki brać z sobą, ale jemu co innego. Drugiego takiego pocztyliona na żadnej *stancyi* (stacyi) od naszej aż do samego Wilna nie było. Najlepszą czwórkę koni jemu zawsze dawali. Kiedy gubernator albo jaki wielki generał przejeżdżał, nikt go nie wioził, tylko Roman. Kiedy pan jaki przejeżdżał, to, *bywalo*, *smotrytiela* prosił: „tylkoż Romana mi dajcie!” Bo to, proszę pani, wysoki był, *piakny*, jak dąb mężczyzna, brunet taki, jakby jemu kto włosy i wąsy smolą posmarował, silny w rękę taki, że niech Pan Bóg broni, i niepijący. Wódki na Wielkanoc chyba pokosztuje, albo czasem piwa szklanek wypije, ale nikt go nigdy pijanego, tak jak innych,

nie widział. Konie lubił jak dzieci; po całych dniach, *bywało*, to czyści zwierzęta te, to karmi, to poi, a kiedy nic już koło nich do roboty nie ma, to tak sobie przy nich w przeorynie stanie, grzywy im głaszczcze i mówi do nich, jak do ludzi... Czasem i mnie od roboty odwoła:

„Ewka! a chodźno tu!” Co robić? choć od gotowania, albo od balii odejdę, a do stajni idę. On mnie za rękę i do przeoryny ciągnie. „Patrzajno—mówi — jakie u tej bestyi oczy mądre!” A koń patrzy się na niego, jak człowiek, i pysk mu na ramieniu kładzie, jak pies. „Przynieś-no mu kawałek chleba” — mówi. — Pójdę, *bywało*, do chaty i przyniosę. A co robić? Kiedy on tak te zwierzęta lubił. Stoim tedy w przeorynie, on z jednej strony konia, ja z drugiej. „Daj mu chleb sama” — mówi. — Daję. Kota tam w stajni trzymali, takiego wielkiego, burego, co, *bywało*, jak zobaczy chleb w ludzkim ręku, z góry po drabinie złazi, na żłobie końskim siada, miauczy i w oczy patrzy. „Dajże *kryszkę* (troszkę) i *kotu*” — mówi. — Ja troszkę chleba to *koniu* dam, to *kotu* i śmieję się, jak waryatka, a on nie śmieje się, tylko to na mnie, to na te bestye patrzy i taki szczęśliwy, że aż mu oczy błyszczą. Inne *pocztyliony* kłóca się, *bywało*, na dziedzińcu, albo w karczmie piją, albo biją się w swoich chatach z żonkami, a on ciągle tylko mnieby przy sobie trzymał i swoje konie pieścił... Strach, jak on te bestye lubił...

I ją snadź lubił on bardzo, a ona wiedziała i pamiętała o tem, tylko mówić nie chciała, albo nie mogła. Pewniej, że nie mogła; przygarbiła się trochę, na wążkiem jej czole zmarszczki poruszyły się jak fale, żółte powieki mrugnęły kilka razy prędko... prędko...

— Ale cóż tam było wtedy, jakeście saniami razem po siano jeździli?...

Wyprostowała się, wilgotne jej oczy błysnęły, zaczęła znów śmiać się.

— Czysty to śmiech był, proszę pani... cha, cha, cha, cha... Parę koni, *bywało*, założy, tłustych, wykarmionych, jak szkło błyszczących, dzwonek do dyszla przywiąże i krzyczy: „Ewka! chodź-no tu, a żywo!” Ja na to, jak na lato! *Cap, lap*, chustkę na głowę, przed chatę wylatuję i starej Kaśki wołam, żeby dziecko i stawy gotującej się dopilnowała...

— A któż to była ta Kaśka?

— Wdowa po kowalu, proszę pani, taka stareńka... stareńka i bardzo biedna... Jak jej mąż umarł, przy córce zamężnej, co za chłopca wyszła, mieszkała, aż zięć z chaty wypędził... do syna kowala mieszkać poszła, a syn rozpił się, w świat poszedł i zginął bez *wiadomości żadnej*... starą matkę porzuciwszy... Pan Bóg wie, co z nim stało się... Czy zmarł gdzie pod płotem, zwyczajnie jak pijak, czy może i okradł kogo, to go do turmy wzięli i daleko zesłali... To ta Kaśka, zwyczajnie, podziać się gdzie nie mając, na naszej *stancyi* żyła... Smotrytielowi i pocztylionowym żonkom posługiwała, a latem krowy pasła... Oj, pani moja... biednaż ta Kaśka była na swoje stare lata, biedna!

Tu rękę podniosła, policzek na dłoni wsparła, a na twarzy jej odmalowało się takie przerażenie, że zmarszczki jej nawet jakby w niem osłupiały. O przyczynie przerażenia tego, które ją ogarnęło, wiedziałam dobrze.

— Pewno w tej chwili o Michałku swoim pomyślałaś?

Twierdząco wstrząsnęła głową.

— Moja droga pani, moja najdroższa pani, co z nim będzie? co z nim stanie się? Czy on tak samo zmarnuje się, jak ten syn Kaśki?...

Pragnęłam odpowiedzieć przecząco, ale nie mogłam. Wołałam zwrócić ją znów ku jej przeszłości.

— Więc wołałaś starej Kaśki, aby ci dziecka i stawy dopilnowała...

Jak u wszystkich natur pierwotnych, wrażenia i humory najsprzeczniejsze, budziły się w niej i następowały wzajem, z szybkością dla ludzi ucywilizowanych niepojętą. Słoneczne wspomnienie rzuciło znów na twarz jej żywą grę rysów i zmarszczek. Znów, śmiejąc się, mówić zaczęła:

— Taki, proszę pani, z tego Romana mego był psotnik i śmiechulski, że tylko jemu byle śmiać się i dokazywać... *Bywało*, ja w chustce na głowie przed próg wyskoczę i Kaśki wołam, a on przyskoczy, wpół mnie schwyci i jak małe dziecko na saniach posadzi... Chustka mi z głowy spadnie, śmieję się tak, że aż mi *duch zabiera* i ani obejrzę się, jak on na saniach stanie, na konie krzyknie i haj! lecim... Ja siedzę, on stoi, w jednej ręce lejce trzyma, w drugiej bat... ale bata on na konie nie używał, tylko wesprze się, *bywało*, na nim, żeby mocniej stać, bo stojąc jeździć strasznie lubił i tak, *bywało*, wyprostowany, słuszny, piękny, jak ten młody dąb, co choć wiatr dmie, jego ani ruszy, leci i ani drgnie. Czasem tylko na mnie spojrzy i zagada: „a co, Ewka, nie zimno tobie?“ i znów na konie: „hej, hej, dzieci, hej, hej!“ aż po drodze i polu rozlega się... *Najpierw*, proszę pani, to my tak drogą pocztową trzy wiorsty przelecim... dzwonek dzwoni, kopyta końskie po śniegu *czach-czach, czach-czach!* Słońce, choć to zima, świeci, niebo wszędzie takie błękitne, pole z jednej strony i z drugiej strony takie białe, białe, że aż oczy mroczą się, drzewa przy drodze *migają* i wróble, krzycząc, zrywają się przed końmi...

Oczy jej zaiskrzyły się i policzki zapłonęły. Z rubaszną żywością giestykulować i poruszać się zaczęła, rękoma ukazując niby te pola, drzewa i wróble, o których opowiadała, a postacią naśladując to wyprostowaną postawę Romana, to rwanie się koni, to własne ówczesne rozweselenie i rozchichotanie.

— Potem, pani moja, braliśmy się z gościńca na prawo, jak dziś pamiętam, że na prawo, i wjeź-

dzialiśmy w las, w którym siennica stała. Tu już nie można było tak lecieć, jak przez gościniec, bo droga była wąska i kręciła się między drzewami. Roman do koni przemówi: „wolniej, dzieci, wolniej!” i choć lejców ani przyciągnie, konie wolniej iść zaczynają. Mowę jego bestye te rozumiały. Wtedy, *bywało*, i on przy mnie na saniach siądzie, nogi wyciągnie, bat przy sobie położy i po lesie ogląda się. Strasznie las lubił, bo synem leśnika był, w puszczy hodowanym i w ośmnaście lat, po ojcu osierociawszy, pocztylionem został. Siedzi tedy, *bywało*, i ogląda się. „Patrzaj, Ewka — mówi — jakie te drzewa wysokie, hej, aż pod niebo rosna!” „Aha!” — mówię. — A on znów: „Patrzaj, Ewka, co śniegu na gałęziach... ot zdaje się, że złamią się zaraz!” „Aha!” — mówię. — Patrzę, pani moja, i dziwuję się, że drzewa takie wysokie i śniegiem oblepione... A on znów: „Patrzaj, Ewka, jak tam słońce przez gąszcze prześwieca się i śnieg błyszczący”. Prawda, że błyszczał, aż oczy mrużyły się. A cicho tam było, pani moja, jak makiem posiał. Ani wiaterku najmniejszego, ani głosu ludzkiego znikąd nie słysząc... Czasem tylko sucha gałąź gdzieś zatrzeszczy i złamie się, albo wrona zleci na drzewo i zakracze. Końskich kopyt nawet nie słysząc, tak pomaleńku sobie stępują i sań nie słysząc, tak suną się po śniegu, jak po puchu. A Roman do mnie: „Śpiewajmy!” — mówi. — Ja na to, jak na lato: śpiewajmy! Dużo on bardzo piosenek ślicznych umiał, od swego ojca, co w wojsku kiedyś służył, i od swojej matki, co po dworach służyła, nauczył się i mnie ponauczał. Jak zawiedziem tedy jednym głosem: „Stój, poczekaj, moja duszko...” albo: „Bywaj, luba, zdrowa”, to te śpiewanie nasze po całym lesie rozlega się, i zdaje się, że aż pod niebo idzie, i zdaje się, że go te wysokie, takie wyprostowane i śniegiem oblepione drzewa słuchają. U Romana lejce tak wolno wiszą, że aż ciągną się po ziemi, konie jak dzie-

ci pomaleńku, równiuteńko sobie idą, a my, objawszy się w pół i po lesie patrząc, śpiewamy i śpiewamy, jak te, nie przymierzając, dwa ptaki... Wtem, jak oberwie się z gałęzi kawał śniegu, jak spadnie jemu na głowę, a mnie na sam nos, jak rozsypie się nam niby grad po plecach i po kolanach... ja w krzyk, on w śmiech... i śpiewanie nasze skończone. Roman lejece w garść, znów na saniach stoi i na konie: hej! hej! A tu i na polankę wjeżdżamy, gdzie siennica stała. Wtedy oboje z sań wyskoczym i do roboty! Silna byłam, pani moja, jak chłop... to też, kiedy mąż siano na sanie składa, dobrze mu, *bywało*, ku pomocy jestem. On nosi i ja noszę, on składa i ja składam, a wciąż na *wyprzódki* biegamy, to od sań do siennicy, to z siennicy do sań, aż ułożym furę taką, jak wielka góra. Wtedy Roman do mnie: „No, Ewka, a co teraz z tobą będzie?” — mówi. — Niby to straszy, że już dla mnie miejsca nie ma. „Piechotę pójdziesz do domu!” — mówi. — „To i pójde—mówię — wielka bieda!” A on mnie w pół i na sianie posadzi, że aż utopię się w niem i tylko głowę moją widać. „Siedź, babo, a trzymaj się, żebyś z tej wysokości nie spadła!” — mówi. — Sam przy mnie siądzie i tak już, pomaleńku, do chaty wracamy...

— A biedy wielkiej w chacie waszej nie było?

— Ej nie, proszę pani; bogactwa nie było, ale i biedy nie było. Statkowaliśmy i pracowali oboje, to i nie zazналиśmy głodu. *Bywało*, na obiad kapustę i groch, albo barszcz i kartofle gotuję, na wieczere znów kartofli albo bobu zwarzę i czasem sło—niną okraszę. Wieprzaka co roku karmilam, na Boże Narodzenie były z niego kielbasy i kiszki, a na Wielkanoc Roman od ekonomy, albo od chłopca którego prosię kupował i, za nogi trzymając, do chaty przynosił... To i czegoż więcej żądać było?

Istotnie; groch i kapusta, barszcz i krupnik, bób i kartofle, raz w rok prosię pieczone—czegoż więcej żądać było można? Romanowa z najgłębszem prze—

konaniem twierdziła, że nic nad to do życzenia mieć nie mogli. Pamięć jej opowiadała, że przy tym sposobie żywienia się była ona w porze owej doskonale szczęśliwą. Roman szczęśliwym był także, ale nie-doskonale, bo stokrotnie pragnął posiadać kawałek ziemi.

— Ot tak, proszę pani, żądał on kawałka ziemi, że mu to ani w dzień, ani w nocy z głowy nie wychodziło. Raz powrócił z kądziś i ledwie *jarmiak* zdjął, mówi: „Ewka, jaką ja chatę tam za miasteczkiem widział! tylko co, widać, ktoś ci ją zbudował, bo nowiuteńka, dach jeszcze żółty, cztery okienka z czerwonymi szlakami naokoło i drzwi na czerwono pomalowane, ganeczek, dziedziniec, płotek z łozy, ogród warzywny, kawałek pola—wszystko jest. Ot, żeby to my kiedykolwiek taką siedzibę mieli. Oj!“ I może pani nie uwierzy, ale jak Boga kocham, prawdę mówię. Z dziesięć mil tego dnia ujechał, zmókł na ulewnym deszczu tak, że koszulę, w której jeździł, aż wykręcać musiałam, kieliszek wódki nawet dla rozgrzania się wypił, a snu mu z powodu tej chaty nie było. Położył się i z początku zasnął, ale potem ciągle mnie budził: „Ewka — odzywa się — czy ty śpisz?“ „Nie, a co?“ — mówię. — „Żebyś ty widziała tę chatę! Koło okien czerwone szlaki na łokieć szerokie, przy samym lesie stoi i jak miarkowałem po miedzach, że trzy morgi gruntu przy niej. Ot, żebyśmy to mieli kiedy trzy morgi gruntu! Oj!“ — przewracał się i wzdychał wciąż do tej chaty, jakby, za pozwoleniem pani, do kochanki. Wieczorem, *bywało*, kiedy już wszystko około koni robi, a nigdzie nie jedzie, przychodzi ze stajni do domu, bierze Michałka na ręce, po izbie go nosi, aż pod sufit huśtając, tak, że chłopiec rączynami o belki za każdym razem opiera się, albo, znów śpiewa sam i jego śpiewać uczy, a potem zaczyna swoje, o własnej chacie i o gruncie. „Żeby mi Bóg dał — do chłopca mówi — we własnej chacie cię hodować!

żebym ja kiedy mógł na własnym gruncie orania cię uczyć! Żebym ja oczy przy śmierci zamykając myślał, że ty gospodarzem po mnie w swojej chacie zostajesz! Oj!" Westchnie, *bywało*, chłopca mnie odda, a sam w kącie izby siada, twarz ręką podpie-ra i chmurzy się, jak niebo na deszcz. Wtedy ja z dzieckiem zawsze przy nim siadę i pocieszam go, mówiąc: „Może Pan Bóg da!“ „Może!“ — odpowiada i zaczyna różne projekty układać. Żeby tak gdzie lepszą służbę dostać, do wielkiego jakiego majątku na leśnika pójść, czy co? Żalność mu prędko przechodziła, ręk nie opuszczał i zawsze miał nadzieję: „Jeszcze my, Ewko, młodzi — mówi — byle statek i pracowitość były, wszystkiego *dochrapać* się można“. A ja w to i wierzyłam. Kiedy on tak mówił, wi-dać prawda była. I sama, *bywało*, o własnej chacie rozgadał się. Łuczywo zapalone i w szczelinę pie-ca wetknięte pali się jasno niby pochodnia, przy piecu stara Kaśka siedzi, konopie kręci albo motki zwija i bób gotowany żuje; my też na ławie, za sto-łem, nad misą bobu siedzimy, a chłopak nasz, spory już, pucaty, rumiany, w koszulinie czystej naprzeciw nas, na stołku niby siedzi, a na stole leży i z wy-trzeszczonemi oczyma słucha, co my gadamy. A my bób jedząc, o naszej chacie, cha, cha, cha! tej, do której jeszcze ani słominki nie było... Jakto my, proszę pani, na własnym gruncie gospodarzyć bę-dziem, wiele tego siać, a wiele tamtego, jak sobie dwie izby ładnie ustroim, wieprzaków trzech karmić będziemy i owieczek kilka, dwie krówki, klacz ze źre-bięciem... Czasem aż pokłócim się z sobą o nasze przyszłe gospodarstwo... Ja kur żądam i kaczek, a on mówi: „głupstwo te twoje kury i kaczk! Ja ich trzymać nie pozwolę, bo szkody robią!“ „Otóż będę trzymać!“ — mówię. — „Otóż nie będziesz!“ „Będę!“ — krzyczę, a on jak stuknie kułakiem w stół, to aż misa podskoczy i chłopiec rozplacze się. Wia-

domo, mężczyzna, siłę swoją znał. A ja znów, *bywalo*, cała struchleję i tylko chłopca płaczącego tulę, a na męża już i spojrzeć boję się. Ale u niego złość prędko mijała. Krzyknie raz, drugi, przez kilka minut nachmurzony siedzi, a potem: „Ewka, dajno mi chłopca!“ I wszystko już skończone. Tylko kiedy czasem dzwonek wtedy odezwie się przed *stancyą*, a *smotrytiel* zawoła: „Roman, konie zakładać!“ Roman wstaje z ławy, klnąc pocztę i pocztylionowskie życie. „Żeby ich dyabli porwali! — mówi — z żoną i z dzieckiem posiedzieć nie dają! Wlecz się teraz na całą noc, żeby ich!...“ A ja mu *jarmiak* podając i czerwonym pasem go przewiązując, z pociechą: „Poczekaj *kryszkę!* — mówię — z własnej chaty nikt cię na całą noc wyganiać nie będzie!“ Aha! własna chata... komu ją Pan Bóg daje, a komu nie daje... i memu Romanowi dał... tylko bardzo ciasną ..

Po ciasną istotnie chatę dążyć miał pocztylion, gdy raz, sześć koni do karety przejeżdżającej pani jakiejś założywszy, wpadł do izby, wołając:

— Ewka! paradny *jarmiak* włożyć kazali! Dawaj! — Ubierał się śpiesznie, przejeżdżającą panią była żona dygnitarza jakiegoś; *smotrytiel* kłaniał się jej uniżenie, a na pocztyliona o pośpiech wołał. Noc zapadała jesienna, czarna, dżdżysta i świszcząca wichrem. Stacya miała opętanych mil cztery i przed przybyciem do drugiej rzekę dużą nie mostem, ale promem przebywać wypadało. Romanowa, według zwyczaju dopomagając mężowi do śpiesznego ubierania się, wzdychała: „w taką ciemną noc! przez rzekę!“ — „Głupstwo! — odpowiadał — albo to ja pierwszy raz w ciemną noc i przez rzekę pojedę! Ot, jedna tylko bieda! konie lejcowe, te, co to tydzień temu kupione, ręki mojej jeszcze nie znają i narowiste. Dali mi je do poprawienia, ale bestye jak stawały dębem, tak stają. Jeżeli człowiekowi długiego czasu potrzeba, aby od złych nałogów odwyknąć, to cóż zwierzęciu“. — Kiedy powiedziałszy to, stanął

przed palącym się w piecu ogniem, całkiem już ubrany, to w długim *jarmiaku* swym z czarnego aksamitu, w czerwonym pasie, ze świecącym medalem na piersi i futrzaną czapką, z fantazyą na krucze włosy włożoną, wydawał się tak wysokim, silnym i pięknym, że Ewka, o trwodze swej zapominając, wpatrzyła się w niego, jak w cudowny obraz. Dobrze uczyniła, że długo na niego popatrzyła, bo nigdy więcej nie miała go już widzieć. W dwie niespełna godziny potem, jak uściskałszy ją i dziecko, wyszedł z izby, ostrzegając, aby pamiętała na noc drzwi chaty dobrze zamknąć, na kozieł karety wskoczył, lejce w garść schwycił i na konie zawołał: „hej! hej! dzieci, hej, hej, hej”; w dwie niespełna godziny potem, jak kareta świecąc zapalonemi latarniami, z głuchym turkotem oddaliła się od stacyi i zniknęła w deszczowej i wietrznej ciemności, zalegającej drogę pocztową; w niespełna dwie godziny potem, u przewozu, gdy prom przepłynął rzekę przybić już miał do brzegu, w deszczowej i wietrznej ciemności powstały straszne krzyki. Coś się tam okropnego z promem, z końmi i z ludźmi stawało. Karetę jednak, jadącą w niej panią i jej lokaja uratowano. Dwa konie tylko zadusily się i pocztylion utonął.

Romanowa splasnęła rękoma.

— Ot, tobie i chata z czerwono pomalowanemi drzwiami! ot, tobie i kawałek własnego gruntu! Wyciągnęli go z rzeki, na czerwono pomalowali mu trumnę i w żółtym piasku wykopali dół..

Ciężka łza ciekła po grubej i ciemnej skórze jej policzka; zgarbiła się, trzęsła głową i wilgotnemi oczyma żałośnie patrzyła kędyś, daleko. Nagle, oczy jej oschły i błysnęły tak, jakby miała lat dwadzieścia, jak błyszczyć musiały wtedy, kiedy to Roman, konie do sań założywszy, wołał: „Ewka, razem pojedziem!” Wyprostowała grubą kibić swą, i ręce pod fartuch zakładając, z widoczną niecierpliwością pytać mnie zaczęła, co ma na wieczerzę gotować. Z nogi na

nogę przestępowała i aż drżała, tak jej się chciało co prędzej za drzwi wyskoczyć. Jednak gawędzenie, opowiadanie, żalenie się i chichotanie było jej namiętnością. Uszczęśliwiał ją każdy, kto jej gawędzić z sobą pozwalał. Dlaczegoż teraz tak niecierpliwie rozmowę ze mną przerwać pragnęła? Zobaczyła snadź przez okno kogoś, czyj widok oczy jej osuszył, kibić zgarbioną wyprostował i nogi porywał do szybkiego biegu. Zobaczyła przez okno młodego, wysokiego chłopca, który w surducie poplamionym, wysokich butach i czapce, krzywo nieco na głowie włożonej, dziedziniec przebywał, dążąc ku wiodącemu do kuchni, bocznemu gankowi domu.

Przez dziedziniec szedł krokiem zamaszystym, z głową tak podniesioną i takimi ruchami ramion, jakby każdemu, kogoby spotkał, zapowiedzieć chciał: „do trzech ze mną nie gadaj!” Zawadyactwo i burda były z ruchów i miny jego. Gdy wchodził na schody ganku, zachwiał się parę razy i zaklął grubym, rubasznym głosem. Twarz Romanowej zachmurzyła się znów i po chwili stała się nawet bardzo posępną. Wyraz bólu nappełnił szare jej oczy, trwoga, z przerażeniem granicząca, zatrzęsa wargami. Niemniej pilno jej było iść, pilniej jeszcze niż przed minutą, gdy zdala tylko spostrzegłszy nadchodzącego, dostrzedz jeszcze nie mogła, w jakim przybywał usposobieniu.

W kilka minut potem w kuchni rozlegał się i aż na dziedzińcu słyszeć się dawał grubiański, trochę ochryply, z łajaniem i przekleństwami pomieszany, o coś u kogoś dopominający się głos, któremu od chwili do chwili głos kobiecy odpowiadał:

— Cicho, Michalku, cicho, cicho!

* * *

Przy jednej z ulic Ongrodu wznoszono wielką kamienicę. Wysoki parkan z desek ogradzał ulicę

od świeżego i już prawie do wysokości dachu zbudowanego muru. Pomiędzy parkanem a murem wznosiły się szkielety mularskich rusztowań, sterczały drabiny, na chodniku, okrytym rozbitymi ceglami i wapiennym pyłem, stały drewniane naczynia z rozrobioną gliną i wapnem.

Dość często, w porze dnia tak wczesnej, że na ulicy znajdowała się mała jeszcze liczba przechodniów, przed wznoszącą się kamienicą, o parę kroków od parkanu z desek, stała kobieta wysoka, gruba, w ciężkim skórzanym obuwiu, w sztywnej samodziłowej spódnicy i szarej chustce, zarzuconej na głowę. U ramienia jej wisiał kosz spory, zamknięty, napelniony zapewne przedmiotami, nabytymi w rzeźni i na rynku. Stała przed parkanem z desek, twarz w górę podnosiła i ku szczytowi rusztowań patrzyła.

U szczytu tego pracowało kilkunastu robotników mularskich, układając cegły i żywo poruszając kielniami i ramionami. Ale ona na jednego z nich tylko patrzyła. Odosobniony nieco od towarzyszy swych, w białym fartuchu, osłaniającym go dokoła od szyi aż do stóp, stał on na rusztowaniu najwyższym i gorliwie, zręcznie, wprawnie pracował. Robota jego była taką, że spełniał ją stojąc; wysoka więc, silna i zgrabna jego postać, jako też głowa, czarnymi włosami okryta, z wypukłością rzeźby zarysowywały się na tle białawych obłoków. Inni robotnicy gwarzyli pomiędzy sobą, z opuszczonemi rękoma co chwilę odpoczywali, czasem zawodzili krótkie, lecz donośne kłótnie. On nic do nikogo nie mówił i nie odpowiadał; z niejakim wdziękiem, przez siłę i doskonałą wprawę wytworzonym, nieustannie poruszał ramieniem w kielnię uzbrojonem, i tylko czasem śpiewać sobie zaczynał głosem silnym i czystym; rzucał w powietrze kilka nut różnej piosenki i wnet ją urywał.

Kobieta z dużym koszem u ramienia, z podnie-

sioną głową, wpatrywała się w młodego robotnika tego, a im dłużej patrzyła, tem rozkoszniejszy uśmiech rozlewał się po jej twarzy, ciemną, grubą, pomarszczoną skórą obleczonej, rozweselonej małym, zadartym nosem, świecącej dwojgiem oczu małych, szarych, bardzo żywych. Gruba, duża chusta, którą była okryta, zsunęła się jej całkiem na plecy, ukazując głowę w białym, przybrudzonym czepku. Potem i czeppek przekrzywił się i zsunął na tył głowy, a z pod niego na wążkie i w grube fałdy pomarszczone czoło, rozsypały się rudawe i mocno posiwiałe włosy. Patrzyła wciąż i uśmiechała się coraz szczerzej, dobroduszniej, rozkoszniej. Coraz liczniej ukazujący się na ulicy przechodnie zatrzymywali się obok niej i za nią, podnosili także głowy i z rozwierającymi się od ciekawości ustami poszukiwali w górze czegoś nadzwyczajnego, czemu by ta kobieta tak uparcie przypatrywać się mogła. Ona zgromadzających się dokoła niej ludzi nie widziała. Popychali ją oni i uderzali łokciami, ona tego nie czuła. Patrzyła. Przez otwór w parkanie wybiegł niewielki pies, kundel, w czarne i białe plamy, a ujrawszy ją, przybiegł uradowany, przednimi łapami wspiał się o jej kolana i rękę jej polizal. Psa tego spostrzegła i wzrok ku niemu spuszczaając, poglaskała go grubą, czerwonymi i czarnymi bliznami pokrytą ręką.

— Żużuk, Żużuk! — mruknęła — pana swego pilnujesz! dobry Żużuk!

Wtem z góry rozległ się głos mężczy:

— Czemu mama do domu nie idzie? Ludzie tylko schodzą się tu przez mamę, jak na widowisko jakie!

Znów twarz swą, oblaną rajskim uśmiechem, w górę podniosła.

— Przyjdiesz, synku, na obiad?

Młody robotnik mularski zstąpił był po rusztowaniu o kilka łokci niżej i przechylony nieco ku dołowi, rozmowę z matką rozpoczął.

Żużuk, ujrawszy go, z radosnem skomleniem rzucać się zaczął na parkan.

— Niech mama będzie spokojną, przyjdę z pewnością...

— Przyjdiesz?—wahającym głosem zapytała się jeszcze.

Ale on schwycił znów kielnię swą i już na nią nie patrzył. Raz tylko spojrział jeszcze w dół i zawołał:

— Żużuk!

Pies zrozumiał rozkaz i z podwiniętym ogonem położył się u stóp rusztowania. W kłębek zwinięty, leżał on tam całemi godzinami, od czasu do czasu tylko podnosząc głowę i sennym wzrokiem szukając w górze swego pana. Ilekroć młody robotnik brał zwawy i długotrwały udział w jakiejś dokonywanej się w mieście mularskiej robocie, Żużuk miał pozór najszcześniejszego pod słońcem psa. Wybornie snadź żywiony i czule pieszczony, spokojnie wylegiwał się u stóp rusztowania i wesolo potem, ze sprężystymi skoki i zuchwałem szczekaniem biegł ulicami miasta, ślad w ślad za powracającym od roboty wysokim, zgrabnym chłopcem, w białym fartuchu i czapce ubielonej wapnem, a zawsze z fantazyą, więc krzywo trochę włożonej na czarne włosy. W tych porach, w których Żużuk doświadczał niezmaconego dobrobytu i szczęścia, szczęśliwą też bywała i owa kobieta, która we wczesnej i porannej godzinie, z ciężkim koszem na ramieniu, oddawała się przed wznoszoną kamienicą niewypowiedziane bлогіm kontemplacyom. Zamieniwszy kilka słów z synem i poglaskawszy Żużuka, odchodziła krokiem tak zwawym i sprężystym, jak gdyby miała lat dwadzieścia. Tu i owdzie zatrzymywały ją znajome jej kobiety, kucharki, tak jak ona, albo żony ubogich mieszczan, rzemieślników. Wtedy, na chodniku, albo pośród rynku, słyhać było rozhowory głośnie, śród których

głos Romanowej brzmiał wesołością rubaszną i gadatliwą. Śmiała się i rozmachiwała rękoma.

— Jak Boga kocham — dowodziła — najlepszy z niego w całym mieście robotnik! Chlewiński, kiedy zaczyna co budować, ledwie go po rękach nie całuje, żeby do niego, nie zaś do kogo innego szedł na robotę. Co drugi przez cały dzień robi, to on w dwie godziny, jak za siebie, zarzuci. W ojca wrodził się. Silny taki, że strach i robota mu pali się w ręku. Za zwierzętami, tak samo jak ojciec przepada i taki zupełnie ojcowska natura... dalibóg ojcowska...

Jejmość chuda i żółta, wielką chustką okryta, piskliwym głosem odpowiadała:

— Daj Boże! daj Boże! pani Romanowa! daj Boże. Tylko, że podobno nieboszczyk wódki nie znał...

Romanowa czuła się tem napomknięciem kумы niemile dotkniętą.

— I on tak samo znać jej nie będzie—wołała— jak Boga kocham! nie będzie! Już miesiąc minął, jak do ust nie wziął... pracuje... Chlewiński płaci mu po rublu na dzień... Czy to żarty? Pieniądze te mnie do schowania oddaje... „Mama, mówi, mnie piękny tużurek kupi i palto, a potem jeszcze i zegarek srebrny... będę sobie ubierał się jak pan!” Ot, zobaczycie, pani Wincentowo, że on o swoich pieniądzech prędko wiedzieć nie będzie. Wzbogaci się strasznie, pierwszym majstrem w Ongrodzie zostanie... Jak Chlewiński, własne domy będzie miał.

— Daj Boże! daj Boże! — piskliwym głosem powtarzała kuma, a złośliwie uśmiechała się. Ona, której mąż, garniarz, pijakiem był, wiedziała dobrze, co o tych wielkich nadziejach Romanowej mniemać należało.

— Memu — powiadała—nic nie pomaga... Już mu i emetyku do wódki wlewałam i proszek jakiś, co mnie kabalarka dała, sypałam, zawsze to samo.

Co zarobi, to w gorzałce utopi... w domu taka bieda, że choć ty z dziećmi giń i przepadaj...

Końcem chustki otarła załzawione oczy; Romanowa patrzyła na nią z obudzonym nanowo niepokojem, który jednak wkrótce przemijał. Świetlany obraz silnej i zgrabnej postaci syna, wysoko, wysoko zarysowującej się na tle białawych obłoków, w oczach jej pozostał i nie dopuszczał do nich trwogi, ani łez.

Garncarz Wincenty i syn jej—co za porównanie! Tamten był zawsze robotnikiem lichym, pracować nie lubił i nie umiał. Mały, krępy, z czerwonym nosem i wiecznie mokremi oczyma, wyglądał na łajdaka i był nim od najmłodszych lat swoich. A jej Michałek taki słuszny, piękny, do ojca, jak kropla wody do drugiej kropli, podobny, tak jak ojciec i wesoly i śmiały, robotnik w całym mieście najtęższy, psy i koty nawet jak dzieci lubiący, miałby marnie przez wódkę przepadać? Oho! jak Bóg Bogiem, tego nie będzie! Bieda była, ale już przeszła. Chłopiec pohulał trochę i ustatkował się już na zawsze.

— Niech Pan Bóg pocieszy! Niech Najświętsza Panna dopomoże!—ze współczuciem szczerem, ale też i z wewnętrznym tryumfem żegnała wyżółkłą, rozżaloną kumę i biegła dalej. Wbiegła do kuchni, koszyki stawiła na ziemi, chustkę zrzuciła z głowy i zwało, z zapalem brała się do swych zajęć. Z natury i przyzwyczajenia niepospolicie pracowitą była, a choć jej już pięćdziesiąt lat życia przeminęło, zachowała jeszcze sporo tej siły, z jaką niegdyś mężowi w ciężkich jego robotach dopomagała. Wodę wiadrami, choćby zdaleka nosić, drzewa narąbać, w każdej chwili dnia i nocy, w mróz piekący, czy w deszcz ulewny na drugi koniec miasta zbiegać, było dla niej drobnostką, pełnioną zawsze raźnie i szybko.

Po słonecznym początku życia pozostał jakby w jej duszy promień weselości. W owych porach,

w których Żuzuk i ona szczęśliwymi się czuli, usta jej nie zamykały się ani na chwilę. Krzątała się około ognia i rondłów, dolewała, dosypywała, kosztowała, siekała mięso, walcowała ciasto i z włosami zebranymi pod biały czepek, z rękawami kaftana zawiniętymi po łokcie, z policzkami od ognia rozczzerwienionymi,, gadała, gadała...

Ktokolwiek z domowników, którakolwiek z kum i znajomych, woziwoda, żydówka roznosząca owoce, słowem każdy, kto zjawiał się w kuchni, był dla niej słuchaczem pożądanym. Miała-bo też opowiadać o czym i czem się chlubić. Kiedy w dwa lata po śmierci męża do miasta z dzieckiem przywędrowała, ile to ona nacierpiała się nędzy i tęsknoty serdecznej przeniosła. Ze wsi do miasta! Ani wy ludzie nie wiecie, ile w przenosinach takich utrapień jest i smutków wszelkiego rodzaju. Idzie sobie przez miasto kobiecina biedna, po ślizkich albo piekących kamieniach w podartych trzewikach stąpa, strwożenie wielkie ogłupia oczy jej, które kiedyś może i roztropne były, między chudymi policzkami usta marszczą się do płaczu, za rękę, skrzywione też do płaczu, dziecko prowadzi. Gdyby ją kto zapytał: „Dlaczego i po co tu przybyła?” Odpowiedziałyby, że gdy męża nie stało, nędza ją gnała z chaty do chaty, ze dworu do dworu, aż tu przygnały powieści ludzkie o lepszych losach, które w mieście znaleźć można, i pamięć na dawne rozmowy z mężem o tem, że dziecko na człowieka wykierować trzeba. A jakżeby go ona tam na wsi na człowieka wykierowała? Pastuchem najprzód, a potem parobkiem byłby i koniec! W mieście zaś, o! wcale co innego. Tam, ojciec marzył dla syna o własnej chacie i kęsie własnej ziemi. Tu, matka, włócząc się po nieznanach zrazu ulicach miejskich, głodna, źle odziana, przelekniona i stęskniona, przypatrywała się kamienicom wysokim i myślała:

— Ej, żeby tak on kiedy własną kamienicę miał.

Więc przedewszystkiem do faktorki, przez krewną jakąś, w mieście mieszkającą, następczonej, z prośbą o służbę. Służba znalazła się, z pensją malutką, z jedzeniem niedostatecznym, z okrutną zależnością od ludzi obcych, i nieokrzesa, nieumiejętną wieśniaczką gardzących. Potem może będzie lepiej.

Gdzietam! Długo było bardzo źle. Nacierpiata się strasznie: i złego obejścia się, i obelżywych wyrazów, i ciągłych z domu do domu przenosin, i przymusowego bezrobocia, połączonego z głodem, chłodem, trwogą o przyszłość własną i dziecka.

Wspomnienia, o! te wspomnienia znikłego szczęścia, własnego ogniska, rodzinnych stron... Chociaż ich tem imieniem nazwać nie umiała, chociaż znaczenia wyrazu: wspomnienie, nie zrozumiała by nawet, piekły ją one tak samo, jak piekłyby tego, kto by był w stanie opisać je ślicznym wierszem. Nic a nic nie wiedziała o Włochu, Alighierim, który ten rodzaj męki ludzkiej określił nieśmiertelnym wierszem, ale kiedy sfukana i nową zmianą miejsca zagrożona, trochę głodna, samotna, jak ten bocian, któremu piorn gniazdo roztrzaskał, w ciasnej i zimnej kuchence, przy lampce, palącej się bladą i cuchnącą iskrą, siedziała łokciami o stół wsparta i na wzór wszystkich ludzi żalonych kołysała się to wtył, to naprzód, wtedy myśl Alighieriego wypowiadać była zwykła językiem własnym, strofą piosnki, której ją jeszcze matka, żona ubogiego ogrodnika, w dzieciństwie nauczyła. Nie śpiewała przecież, tylko, wzdychając, mówiła, a raczej mruzczała:

— Oj dolo moja, dolo, gdzież się podziała,
Czyś w wodzie utonęła, czy z wiatrem zleciała?

— W wodzie utonęła, oj, w wodzie, w wodzie
dola moja utonela!

Za piecem coś zaszeleściło, senny głos jakiś zamruczał. Znękana kobieta zrywała się ze stołka, chwyciła lampkę i biegła za piec. Tam, na ziemi leżał siennik, a na sienniku spało dziecko, chłopak spory już, z cerą bladawą, ładnymi rysami twarzy i gęstwiną czarnych włosów, rozrzuconą dookoła głowy. Z mocno ściśniętymi pięściami, w grubej koszuli u piersi rozwartej, z bosemi nogami wysuniętymi z pod jakiejś starej, sukiennej szmaty, spał jak kamień. Kobieta schylała się nad uśpionym chłopcem i przyświecając sobie lampką, przypatrywała się mu oczyma, które prędko osychały z łez, a napelniały się uczuciem zachwycenia.

Lata przechodziły, los jej poprawiał się nieco. Jakim sposobem zdołała nauczyć się sztuki kucharskiej, nigdy się jej nie ucząc? Ani ona, ani nikt powiedziećby nie potrafił. Zmieniła coprawda z powodu nieumiejętności swej, miejsc z dziesięć, ale tu zobaczyła to, tam owo, dochodziła sama, odgadywała, kombinowała, z książek uczyć się nie mogła, bo czytać nie umiała. Tak, nie umiała czytać i wogóle nic wcale nie umiała. Jednak nauczyła się sztuki swej jakotako, i otrzymywała służbę w domach nieco zaможniejszych, lepiej opłacaną, u ludzi też lepiej wychowanych i więcej ludzkich. A wtedy już i Michałek dorastać zaczynał i do szkółki miejskiej uczęszczał. Potem, u garncarzy Wincentowstwa na chrzcinach, miała niewysłowione szczęście pana Chlewińskiego, pierwszego w mieście majstra mularskiego, napotkać i poznać.

Majster Chlewiński przychodził do garncarza na chrzciny już z łaski tylko, albowiem był to człowiek ubierający się w cienki surdut i srebrny łańcuch od zegarka, posiadający dwa domy drewniane wprawdzie, ale własne i w jednym z nich zajmujący mieszkanie z bawialnym pokojem, ozdobionym kanapą i firankami u okien. Mularstwem przecież trudnił się jeszcze gorliwie, znaczne zyski z niego ciągnąc. Do

tego wspaniałego majstra baba przyczepiła się, jak smoła. Chodziła za nim, błagała, jęczała, całe dzieje swoje w najpatetyczniejszy sposób mu opowiadała, do żony nawet jego poszła i w ręce ją ucałowała, aż dopięła swego.

Majster Michałka jej za ucznia mularskiego przyjął. Ona oczyma wyobraźni widziała już chłopca swego w takim cienkim surducie, w jakim Chlewiński chodził, i posiadaczem dwóch własnych domów. Późnemi wieczorami, kiedy sama we wpół ciemnej kuchni siedziała, przed oczyma jej stawał wysoki, piękny pocztylon, w czarnym długim jarmiaku i czerwonym pasie, a ona ze łzami w oczach, a szerokim uśmiechem na ustach do niego mówiła:

— A co, widzisz, jak ja synka naszego ślicznie wychowała i wykierowała! Nie doczekałeś się ty chaty własnej, będzie ją miał on!

Niewielka kuchnia, której blisko połowę zajmowała maszyna kuchenna, a jedyne okno wychodziło na wązkie przejście, śmieciem spiętrzone, a wysokim płotem od sąsiedniego dziedzińca odgradzone, bywała widownią scen rozmaitych, pomiędzy którymi zdarzały się i wesole. Ze zgrabną postawą i czarnemi włosami ojca syn Romana wziął po matce małe i szare oczy, które, szpecąc go trochę, wyrazem swym zdradzały zachodzące w nim samym sprzeczności. Były one błyszczące i żywe, ale nie jak u matki dobrodusze i trochę głupowato wesole, lecz namiętne i hulaszce. Malował się w nich burzliwy niepokój, połączone z wielką chciwością uciech. Można by rzec, że w tych błyszczących, wciąż zmaconych i niespokojnie od oczu ludzkich uciekających źrenicach przejrzały się męty miejskie i obraz swój w nich pozostawiły. Wzamian uśmiech jego był szczery, świeży, odkrywający dwa rzędy białych zębów, rzucający mu na twarz wyraz słodyczy i uczciwości. Kiedy, idąc do matki, przechodził przez dziedziniec w mularskim fartuchu swym i ubielonej czapce, albo w nie-

dziele i święta w czystym surducie i za kolana długim obuwiu, z ruchów jego zgrabnych i dziarskich i twarzy jaśniejącej zadowoleniem poznać w nim było można pracowitego i uczciwego robotnika, któremu nie brakowało ani chleba, ani zapracowanej i pewność siebie budzącej niezależności. Idąc, pogwizdywał, a nieodstępny Żużuk biegł obok niego lub przed nim w wesołych podskokach. Gdy przekraczał próg kuchni, rozlegać się w niej zaczynały donośne śmiechy. Ani matka, ani syn nie umieli śmiać się półgłosem, a ten pocieszny Żużuk nabawiał ich zawsze wesołości niepomiernej. Wpadłszy za panem swym do kuchni, rozpoczynał on najprzód z miejscowym kotem przezabawne gonitwy i walki, które jednak kończyły się prędko, bo Michałek, za psami przepadając, lubił także koty, i nad dobrym swoim znajomym mruczkiem ulubieńcowi swemu długo znęcać się nie pozwalał. Usiadł na ławce i kota na kolana swe wzięwszy, psu za karę na dwu łapach stać rozkazywał. Żużuk stał na dwu łapach i o litość wzywającami oczyma dokoła kuchni wodził, a Romanowa z warząchwią lub durszlakiem przy maszynie kuchennej stojąc, kładła się niemal od śmiechu. W gruncie rzeczy śmiech ten jej nie tyle był obudzonym przez Żużka, ile stanowił wyraz duskonatego jej w tej chwili uszczęśliwienia; uszczęśliwienie wzrastało jeszcze, gdy, po ukończeniu obowiązkowych zajęć, zasiadała z synem do obiadu.

Przy białym sosnowym stole, u okna umieszczonym, zasiadali oboje, a Michałek Żużkowi siadać też rozkazywał:

— Siadaj jak pan!—wołał.

Kundel, w białe i czarne łaty, siadał na stolku, jak pan, plecami o ścianę wsparty, z pyskiem zadartym dumnie; lecz było to na krótko, bo mu w tej pozycji zapach potraw długo utrzymać się nie pozwalał. Wciągał w nozdrza miły ten zapach i wspinała postawę pana na pokorę psa zmieniając, wy-

prostowany jak struna i z błagającym wyrazem oczu, na dwóch łapach stawał. Z drugiej strony, bury kot siedział na ramieniu Michałka i patrząc w jego talerz, głośno mruczał. Romanowa, z pełnemi jedzenia usty, od stołu do maszyny kuchennej i napowrót biegła, usługując synowi. Karmiła go, jak wróblica małe wróblątko, w usta mu niemal jedzenie wkładając.

W szarej godzinie, pod płytą maszyny ogień kuchenny dogasał czerwonymi iskrami, a jeżeli to było w niedzielę lub święto. Michałek wyciągał się jak długi na porządną pościelą zasłanem łóżku matczynem. Ona na stołku siadała przy nim, pies u nóg jej usypiał i kot na ciepłej jeszcze płycie spał, mrużąc głośno. Matka i syn gawędzili. W głowie młodego robotnika roily się różne szlachetne ambicje. Do wojska go nie wezwano, bo był u starej matki jedynakiem. Więc przyszłość cała przed nim była wolna i obiecująca mnóstwo rzeczy, których pragnął tak, że na wspomnienie ich aż drżał z niecierpliwości. Przedewszystkiem, za rok najdalej, postara się, aby cech mularski udzielił mu urzędowo tytuł czeladnika. Dotąd prostym i najemnym robotnikiem był, gdy czeladnikiem zostanie, do godności majstra już tylko krok jeden. Cechmistrz Chlewiński zręczność jego w rzemiośle zna, lubi go bardzo i jedną tylko rzecz ma mu do zarzucenia. No! ale tej rzeczy nigdy już nie będzie... Co było, to przeszło, a teraz nie będzie on myślał o głupstwach, tylko o tem, aby jak najprędzej *wyzwolić się* na majstra. *Majstersztyk*, czyli jakąś doskonałą robotę mularską, będącą niby egzaminem wyzwalającego się czeladnika, robi on taki, jakiego panowie cechowi nigdy jeszcze nie widzieli. Będzie to piec z mechanizmem i ozdobami własnego jego pomysłu. Z twarzą ku sufitowi zwróconą i nogami na poręcz łóżka zarzuconemi leżąc, a rękoma szeroko rozmachując, długo i z zapalem opowiadał o piecu tym matce, która nic wcale ani

mechanizmu, ani ozdób wymyślonego przez syna *majstersztyku* nie rozumiejąc, z podziwu i uwielbienia dla synowskiego rozumu, szeroko otwierała oczy i usta. On na jej łono wylewał dalej błogie rojenia swoje. Kiedy już majstrem zostanie, będzie mu wolno posiadać własne swe narzędzia, na swoją rękę robotników najmować i podejmować się wielkich robót. Kamienice bogatym ludziom i urzędowe budynki na swoją rękę, tak jak teraz Chlewiński, budować zacznie i zarabiać ogromne pieniądze. Pięć lat nie minie, a domek sobie, choć drewniany, kupi, ożeni się i matkę do siebie weźmie. Ożeni się zaś nie z kim innym, tylko z córką majstra Chlewińskiego, która teraz podlotkiem jeszcze jest i do guwernatki chodzi. Ta Zośka Chlewińska czternaście lat może ma teraz, czy co? a taka już *piękna*, że człowiekowi aż ćmi się w oczach, kiedy na nią patrzy. Swawolnica też straszna; ile razy przyjdzie on do jej ojca, szczebiocze z nim jak sikorka i z Żuzukiem jego bawiąc się, śmieje się do rozpuku. Figle mu też stroi różne: czapkę chowa, do fartucha kokardki kolorowe przypina, a jak ją onegdaj matka zato strofować zaczęła, lzy jej w oczach zakręciły się:

— Widzi mama—odpowiedziała—ja pana Michała bardzo lubię!

Słuchając opowiadania tego, Romanowa tajała z radości. Śpiesznym szeptem i z cichym, rajskim chichotem zapytywała:

— A matka co jej na to? co na to? a *baćko* (ojciec) co jej na to?

— Matka akurat wtedy naleśniki w kuchni smażyła, zaśmiała się i mówi: „to może pana Michała na naleśniki zaprosić, kiedy ty jego tak lubisz?” A Chlewiński przez kuchnię do domu wtedy powracający, poklepał mnie po ramieniu i odpowiedział: „Żebyś, panie Michale, rad moich słuchał i dobrze sprawował się, możebyś kiedy zięciem i został. Czemu nie? Córek mi Pan Bóg dał cztery. Za gra-

fów ich nie powydaję, a z ciebie, jeżeli tylko sam zechcesz, pierwszy w gubernii majster kiedyś być może!” Dziewczyna, usłyszawszy to, jak koza za próg skoczyła, ale kiedym *mimo* ich domu przechodził, to przez okno tak zaśmiała się do mnie, że mnie aż zachciało się płakać...

I teraz westchnął ciężko.

— Ot—rzekł—puste słowa! Albo to Chlewiński córkę swoją mnie da!

Romanowa, która z zachwycenia wielkiego zsunęła się ze stołka i na ziemi usiadła, oburzyła się:

— Oho! nie da!—z przekąsem zawołała—czemu by nie miał dać? Wielka figura! Ty, żebyś chciał, mógłbyś i z księżniczką jaką ożenić się!

W głosie jej brzmiało głębokie przekonanie o prawdzie tego, co wypowiadała.

— Bardzo edukowana będzie! do guwernantki chodzi!

Baba z zapalem trzepać zaczęła.

— A ty nie edukowany? a ty nie chodził do szkoły? Czytać i pisać po polsku i po rusku umiesz, liczyć umiesz i—Bożeż mój, Bożeż, czego ty nie umiesz! Wszystko umiesz!

Chłopiec nie odpowiedział. Myślała, że zasnął i pocichutku wstawszy z ziemi, na palcach odeszła, zamierzając także do chwilowego spoczynku na ławce się ułożyć. Ale on dalekim był od snu.

Podniósł się wkrótce i usiadł.

— Pójdę, mamó—rzekł.

Słowa te, zda się, poderwały Romanową z ławki, na której już leżała. Siadła także i wyprostowała się jak struna.

— Pójdiesz, synku? a dokąd?

Wahającym się głosem odpowiedział:

— Tak sobie... pójdę... przejść się...

Przyskoczyła do niego.

— Nie idź, synku; no, nie idź! posiedź jeszcze trochę... Samowar zaraz nastawię i herbaty ci zrobię. Jak Rozalia państwu kolację poda, przyjdzie tu z nami siedzieć... W *gospodarza i woza* grać będziem... a potem, wyśpisz się dobrze na mojem łóżku i jutro rano ztąd do roboty pójdiesz...

Obejmowała go ramionami, błagała, aby został. W zmroku napelniającym kuchnię, widać było trwożne migotanie jej oczu. On stał nieruchomy i chmurny. Spuścił głowę, zamyślił się. Po chwili przecież podniósł twarz i z zuchowatą rubasnością zawołał:

— Ot, pójdę i koniec! Czy to ja dziecko jestem, ażebym miał trzymać się maminej spódnicy. Niech mi mama z moich pieniędzy trzy ruble da!

Kobieta splasnęła rękoma.

— Znów! — krzyknęła.

Wtem do ciemniejącej kuchni przyplłynęły basowe, powolne dźwięki kościelnych dzwonów. Na Romanową jakby natchnienie jakieś spłynęło.

— Ot i na nieszpory dzwonią! prosiłam o pozwolenie, żeby pójść dziś na nieszpory! Pójdę! chodź ze mną, synku, na nieszpory!

Milczący i chmurny wziął z ławki czapkę swoją i gdy matka stary, watowany paltot i dużą chustkę śpiesznie na siebie zarzucała, szerokimi krokami ku drzwiom zmierzał. Ona pewną była, że już bez niej wyjdzie, ale brakowało jej w gardle głosu, aby go wołać i wstrzymywać. Dzwony kościelne huczały wciąż poważnym basem, do którego wmieszał się dźwięk wiolinowy, jasny, wołający, wołający.. Michałek oderwał rękę od klamki i około głowy i pierś uczynił gest szybki i szeroki. W zupełnej prawie ciemności stał i zaledwie domyśleć się było można, że przeżegnał się. Romanowa to spostrzegła.

— A widzisz! — zawołała — dyabła od siebie krzyżem św. odpędzasz! Pan Bóg woła! Słyszysz, jak Pan Bóg woła!

Wskazujący palec wyciągnęła w stronę, z której dochodziły dźwięki dzwonów.

— No, chodźcie, mamó, razem!

Razem wychodzili na ulicę i do kościoła dążyli. Żaden z wielkich tryumfatorów ludzkości nie pysznił się tak ze zwycięstw swoich, jak pyszniła się wtedy Romanowa. Szła chodnikiem zamaszysto i prędko, łokciami i całą swą grubą osobą niemilosiernie szturchając i rozpychając przechodniów, na całe gardło śmiejąc się i gadając. On także na ulicy fantazyi i zuchowatości nabierał. Pogwizdywał sobie i śmiechowi matki rubasznym swym, ale dźwięcznym, bo młodym śmiechem wtórował. Czasem łokciem w bok ją uderzył.

— Niech mama patrzy... Zośka Chlewińska z matką i starszą siostrą...

Usta sobie dłonią zakrywał i oczy wytrzeszczał tak, jakby zgrabnego i ładnego istotnie podlotka pożreć chciał niemi. Pani majstrowa z córkami szły także na nieszpory. Były to panie już *kapeluszone*, ale zresztą skromne w ubraniu i nosów do góry nie zadzierające. Michałek usiłował zająć im drogę przed kościołem i bardzo nisko, nie bez pewnych jednak zamiarów elegancyi, czapkę przed niemi zdejmował. Z pod skromnego kapelusika szafirowe oczy podlotka śioglarnie i serdecznie ku niemu zerkały, pani majstrowa zaś uprzejmem kiwaniem głowy Romanową witała. Pomiędzy nią a kucharką zachodziła wprawdzie wielka różnica społecznej pozycyi, ale Chlewińska nie zupełnie jeszcze zapomniała, że była córką ubogiego dorożkarza, a mąż jej w chwili zaślubienia jej znajdował się na niskim hierarchicznym stopniu mularskiego czeladnika. Romanowa wstępowała na wschody kościoła powoli już, poważnie, z podniesioną głową. Wydymała ją całą duma niezmierna. Ot, kto ona taka! najlepsza sługa w całym Ongrodzie; w bogatych domach służy, takiego syna ma, i takie majstrowe przyjaźnią się z nią, jak z róż-

wną! Ot, co ona za jedna! Ale w kościele, przed bocznym ołtarzem, na kolana padała i bez książki do nabożeństwa (nie umiała czytać) modliła się pokornie, żarliwie, ze łzami w oczach i głośnymi westchnieniami. Czołem uderzała o kościelną podłogę, albo jak długa rozciągała się na niej krzyżem. „Ojcze nasz, któryś jest w niebie“ — mówiła i przez chwilę płacziwe chlupanie dalszemu ciągowi pacierza przeskadzało. Z ramionami rozpostartymi leżąc, twarz swą ciemną, pomarszczoną, glupowatą z nad cegieł podłogi podnosiła i w górę słała spojrzenie pełne takiej wiary i takiego namiętnego błagania i takich wielkich, przy świetle świec woskowych, srebrnie gorejących łez, że zdawało się, iż musi ono przebić kopułę kościelną i wdrzeć się do świecącego nad nią wieczornymi gwiazdami nieba. Za nią Michałek czasem stał i pacierze szepcząc, z widoczną jednak dystrakcją po kościele zerkał, uśmiechami i kiwaniem głowy witając znajomych płci męskiej i żeńskiej; czasem zaś klękał, modlił się z żarliwością od matczynej nie mniejszą, bił się co moment pięścią w piersi i nawet trochę płakał. W pierwszym wypadku prawie napewno wnosić można było, że przez tydzień jeszcze, dwa, albo nawet trzy tygodnie, codzień on będzie po gorliwej pracy do matki przychodził, z nią i pokojową Rozalią wieczorami w gospodarza grał, Żużuka pieścił i dla Zosi Chlewińskiej koty i koguty z gliny lepił, odpowiednio je z wierzchu malując. Ale kiedy półgłosem i z ferworem wielkim trzepał pacierze, a od bicia się jego w piersi aż echo rozchodziło się po kościele, był to znak zły. Ogarniały go snadź wtedy potężne pokusy, od których bronił się w kościele żarliwą modlitwą i skrucą. Wtedy też z twarzy jego zniknął ten uśmiech szczerzy i świeży, który ją czynił młodzieńczą i pociągającą, szare, mętne źrenice uciekały od ludzkich oczu, posępniał i często, bez przyczyny, w złość wpadał. Kipiało w nim coś, z czem wal-

czyć usiłował, a Romanowa, z rękoma splecionemi u piersi, z wargą drżącą, z mrugającemi szybko powiekami patrzyła na niego i ciągle, ciągle myślała o wązkim, błotnistym zaułku, pośród którego żółto świeciły szklane, muślinową firanką z wewnątrz zasłonięte drzwi.

* * *

Drzwi te i obok nich znajdujące się okno świeciły wieczorami jak dwoje żółtych mrugających oczu. Odpowiadało im o kroków kilkadziesiąt wyżej nieco połyskujące i bledsze światelko latarki. Była to w tem miejscu latarnia jedyna. Zresztą, zaułek z dwoma rzędami rzadkich małych domków i rozdzielających je długich parkanów, zalegała gruba ciemność, w której niewyraźnie czerniały domki milczące i szczelnie zamknięte, parkanów wcale nie widać było, a u stóp latarniowego słupa połyskiwały mokre kamienie bruku i pomiędzy kamieniami stojące wody. Ku szklanym drzwiom, oświetlonym z wewnątrz żółtem światłem, prowadził stopień drewniany, wysoki i nadpróchniały. Na stopniu tym, w kłębek zwinięty, leżał w ciemności i na deszczu niewielki pies, w czarne i białe łaty. Sierść jego była mokrą i najeżoną, kurczył się i drżał z zimna. Głodnym być musiał, bo leżał tu już tak od samego rana, od czasu do czasu tylko, z przestraszem odskakując na stronę przed ludźmi, którzy przez drzwi te wchodzili i wychodzili, lecz wnet po zamknięciu się drzwi zajmując znów poprzednią pozycję. Była to pozycja bardzo niewygodna, bo nie tylko na deszcz, padający przez dzień cały, ale i na gęste krople wody z dachu spływające, wystawiona. Pies jednak nie opuszczał jej. Czasem westchnął, albo pysk podjąwszy, krótko i żałośnie zawył, czasem też zdawał się ucha nadstawiać na głosy ludzkie, rozlegające się we wnętrzu budyn-

ku, jakby wśród nich znajomy sobie głos rozpoznawał, czy rozpoznać pragnął.

We wnętrzu budynku gwarów wielkich zazwyczaj nie bywało. Zbierające się tam towarzystwo bawiło się zapewne w izbach oddalonych nieco od zaulka i których okna wychodziły na dziedziniec wązki, pusty, ze wszech stron parkanem otoczony. Ztamtąd też, mętnie i niewyraźnie, do uszu nasłuchującego psa dochodziły stukania kul bilardowych, rozpoczynane i niekończone śpiewanie, krótkie wybuchy ochrypłych śmiechów i rozmów. Nagle pies zerwał się na wszystkie cztery łapy. Tuż za oświetlonemi drzwiami, do których tulił zmokły i drżący od zimna grzbiet swój, usłyszał głos swego pana, zmieszany z kilku innymi głosami. Zawrzała tam kłótnia zawzięta; slychać było uderzenia, upadek na ziemię ciężkiego jakiegoś ciała, brzęk rozbitego szkła, zanoszący się śmiech paru głosów, grubiańskie łajania i przekleństwa kilku innych, aż z impetem i trzaskiem wielkim rozwarły się drzwi ze szklanemi szybami, a z nich wypadł i po wysokim stopniu na bruk zaulka stoczył się człowiek wysoki i silny, bez czapki i paltota, chwiejący się na nogach i pięściami ku gwałtownie zamkniętym drzwiom wygrażający. Widocznie wypchnięty został. Twarzą zwrócony ku żółtym światłom, za którymi znów zrobiło się cicho, wygrażał pięściami i belkoczącym głosem wykrzykiwał przekleństwa i groźby. Pies zeskoczył z drewnianego stopnia i ze spuszczoneym ogonem przytulil mu się do nogi. Chłodne powietrze i odkrytą głowę jego skrapiający deszcz drobny otrzeźwiły nieco szynkownego gościa. Przestał krzyczeć i wygrażać, i zataczając się trochę, zaczął iść zautkiem. Nie był jeszcze zupełnie pijanym i wiedział, dokąd i poco idzie. Belkotał nieustannie, to mrużąc niewyraźnie, to głosem podniesionym prawiąc o jakiejś kompanii, którą ugaszczał, a która niegodziwie się z nim obeszła. Przyrzekał też odplacić

jej zato, gdy tylko wróci. Kilka kroków uszedłszy, przed słupem latarni stanął i wrzeszczeć zaczął:

— Mamol dajcie pieniądze!

Blade światło latarni padało mu na głowę, okrytą gęstwiną czarnych, rozczochranych włosów i na twarz ze ściągłemi, ładnemi rysami, oszpeconemi w tej chwili ciemnymi rumieńcami i błędnem migotaniem oczu. Przez całe pięć minut rozmawiał ze słupem latarni.

— Niech mama odda moje pieniądze — bełkotał.

Potem z wielkiem uniesieniem krzyknął:

— Pieniądze oddaj!... czy słyszysz?

I znów coś niezrozumiałego mruczał, z takimi ruchami i gestami, jakby usiłował słup latarniowy o czemś przekonąć i ku czemuś skłonić. Nagle rozwidniło mu się trochę w głowie. Poznał omyłkę swoją, splunął, zaklął i poszedł dalej. Z zaułka skręcił na dość szeroką, widniejszą nieco ulicę i szedł samym jej środkiem, w mroku, rozwidnianym zrzadka rozstawionemi latarniami. Włókł się raczej, niż szedł, bo nogi pod nim chwiały się i zataczały, a jednak postawa i gesty jego wyobrażały nieograniczoną pewność siebie. Przechodniów w tej porze na ulicy prawie nie było; czasem jednak przemknął po chodniku niewyraźny i śpieszący cień ludzkiej postaci. Wtedy on prostował się, przystawał i oglądając się za przechodzącymi, wygrażał im zaczynał. Bardzo stanowczo oświadczał, że nie boi się nikogo i że gdyby nawet sam generał albo *kniaź* podszedł teraz ku niemu, onby mu powiedział: „*paszól procz!*” Generałów i *kniaziów* nie było prawdopodobnie pomiędzy temi cieniami ludzkich postaci, które, na widok pijanego zawadyaki przyśpieszały kroku i szybko w bramach domów, albo na skrętach ulicy zniknęły. On szedł dalej, chwiejający się, lecz nieustraszony, a tuż za nogą jego włókł się i pełzał prawie pies ze zmokłą sierścią, z pyskiem ku ziemi zwieszono-

nym i podwiniętym ogonem. W zmroku, przerzynanym światłami latarni, zwierzę ukazywało się, to znów znikalo, podobne do małego, drżącego cienia pokory i smutku. Tak człowiek i pies wchodzili na dość obszerny dziedziniec i wstępowali na boczny ganek stojącego w głębi jego domu. Człowiek z całej siły uderzał pięścią w zamknięte drzwi, ale po raz drugi nigdy uderzać nie potrzebował, bo cicho i prędko otwierały się one natychmiast. Ktoś tam czuwał widocznie i przybycia jego oczekiwał, aby jak najprędzej wpuścić go do wnętrza i przez to hałasowi wszelkiemu zapobiedz. Bez czepek, ani chustki na głowie, z rozczochranemi włosami, bosa, w samodziałowej spódnicy swej i grubej koszuli, cicha jak grób, Romanowa drzwi otwierała i starannie potem zamknawszy je, lampką z wysokim kominikiem przyświecała w ciemnej sionce niepewnym krokiem syna. Cicha jak grób, stawiała lampkę na kuchennym stole i ręce u piersi splatając, zwracała się ku wchodzącemu, za którym, pełznąc prawie, wsuwał się Żuzuk i wlatywał ostry powiew chłodu.

Jak kwadrans temu przed słupem latarni, tak teraz przed nią przybyły stawał i spokojnie znów mówił:

— Mamo! dajcie pieniędzy.

Ona szklanym wzrokiem na niego patrzyła i ani słowa na ustach jej, ani, zda się, oddechu w jej piersi nie było. On głos podnosił nieco:

— Niech mama odda moje pieniądze!

Grubą, czerwoną dłonią swą z rozpostartemi palcami uderzał się w piersi i pochylony ku niej, z błyszczącemi oczyma, nagłym szeptem belkotał:

— Jak Boga kocham, mnie potrzeba... mnie koniecznie potrzeba!... Jeżeli nie oddacie, pójdę i powieszę się! U mnie tam jest wesola kompania... ja ją na traktament zaprosilem... Wypchnęli mnie za drzwi, bo nie miałem już czem ich traktować... Be-

stya Szlomka na kredyt nie daje... To wstyd! aż mnie w gardle wyszło ze wstydu. Ten kum maminy, Wincenty, krzyczał, że ja hołysz... Pokażę mu, jaki hołysz... Przedemną panowie czapki zdejmują... Chlewiński mnie w ręce całuje, żebym jego córkę za żonę brał... o! a on mówi, że ja hołysz... hołysz on sam, galgan, pijanica...

Tak mówił przez dobre pięć minut. A ona nic, ani słowa, ani tchnienia. Patrzyła tylko na niego i powieki jej szybko mrugały. On niecierpliwit się i za rękaw koszuli targać ją zaczął. Wtedy ona kiwała głową i cicho mówiła:

— Ty znów pijany...

Na przypuszczenie to oburzał się i stanowczo mu zaprzeczał:

— Chyba mama pijana... ja wódki jeszcze w gębę nie brał... Ja jestem najlepszy robotnik w Ongrodzie, przedemną panowie czapki zdejmują. Chlewiński mnie po rękach...

I nagle przerywając sobie, a rękę z rozpostartymi palcami, którą tłukł się w piersi, w pięść ścisnąc, ochryplym głosem krzyczał:

— Pieniądze oddaj, czy słyszysz? Co to? czy ja do swoich zapracowanych pieniędzy prawa nie mam! Otwieraj! bo jak nie otworzysz, siekierę chwycę i tak kufer lupnę, że w trzaski się rozleci...

Kobieta zerwała się z miejsca, skokiem tak ciężkim, że aż drżały od niego stołki kuchenne, do kufra przypadłszy, siadła na nim. Bosemi stopami w podłogę wparta, siedziała prosta, w twarz syna wpatrzona, bez głosu, tylko z piersią dyszącą ciężko. Zdawało się, że ciałem swem krwawicę syna przed nim samym osłonić usiłowała. On miotał się przed nią, rozmachiwał rękoma, to szeptał przekonująco, to wydawał krótkie wykrzyki. Sto razy głośno krzyknął lub zatupał, z ust jej z przeciągłym syczeniem wychodził jeden tylko przyciszony, błagający wyraz: „cicho! cicho! cicho!”

Z oczyma blyszczącemi jak u rozgniewanego zwierzęcia, chwycił ją za ręce i z kufra ściągnąć usiłował. Wtedy i jej małe szare źrenice rozplomieniały się także. Silną swą pięścią uderzała go w pierś, tak, że niepewnie na nogach stojący, zataczał się pod przeciwległą ścianę. Wnet jednak przyskakiwał znów, a z nim razem i Żużuk, który mniemając zapewne, że ktoś panu jego krzywdę wyrządzić próbuje, z pod progu zrywał się i w obronie jego, szczekając, stawał. Hałas, złożony z tupotania nóg męzkich, z pijanych wykrzyków, ze szczekania psa, wzmagał się coraz bardziej, a siedząca na kufrze kobieta jednostajnym wciąż, przeciągłym syczeniem powtarzała: „Cicho! cicho! cicho!“

Nakoniec, wzruszeniem niezmiernem sił pozbawiona, przejęta trwogą, aby ludzie, hałas usłyszawszy, nie wpadli tu i wstydu jej nie zobaczyli, zsuwała się z kufra na ziemię i twarz rękoma zakrywawszy, głośno płakać zaczęła. Wprzód powtarzała wciąż: „cicho! cicho! cicho!“ teraz sama zawodziła i szlochała, bez pamięci już o niczem, głośno i jękliwie. Jak śmiać się, tak i płakać cicho nie umiała. Ale ten głośny płacz jej sprawiał na Michalku szczególne wrażenie. Przysiadł na ziemi obok matki i także poplakiwać zaczął. Pięści do oczu przyciskając, żalił się:

— Ja nieszczęśliwy chłowiek jestem... zgubiony... ze wszystkim zgubiony... Ze mnie ludzie śmieją się i za drzwi mnie wypychają... Nikt mnie nie żaluje, nikt nademną litości nie ma... biedny ja na świecie sierota... biedny, nieszczęśliwy... bez ojca i bez swojej chaty... i matka na mnie płacze... chyba mnie już i Pan Bóg przenajświętszy przeklnie, kiedy matka nademną, synem swoim, łzami kapie...

Ujrzawszy go płaczącego i żalów jego słuchając, Romanowa tajała jak śnieg na słońcu. Ręce mu na szyję zarzucała i twarz jego łzami oblewając, mówiła:

— Prawda, oj prawda, że ty sieroteczka mój biedny, bez ojca hodowany i własnego kąta niemający...

— Kiedy mama pijakiem mnie nazywa — żalił się dalej.

Ona przez łzy chichotać zaczynała.

— Oj, to ja synku, tak sobie, ze strachu żartowała... Jaki ty pijak! Tak tylko źli ludzie mówią, mnie i tobie wstyd chcąc zrobić... Ty najlepszy robotnik i najpiękniejszy kawaler w Ongrodzie... tyby z księżniczką ożenić się mógł... Chlewiński niemal w ręce cię całuje, żebyś do niego na robotę szedł...

Patrzac wtedy na nich i rozmowy ich sluchajac, moznaby myslec, ze oboje pijanymi byli. Tak zreszta i bylo. Placz i skargi syna upajaly ja jak trunk. Czasem, gdy tak oboje czulili sie i poplakiwali, on, trunkiem wypitym w cieple kuchni rozmarzony, pochylal glowe na kufer lub na matczyne kolana i usypial. Wtedy ona, o! jak szczesliwa, z niepomierna siła swoja bezwladne ciało jego na łóżko wyciągala, koldra go otulala, buty mu z nog sciągala i sama, lampkę zadmuchnawszy, kladła sie na wazkiej, nagiej lawce, przykryta tylko stara welniana chustka. Żuzuk szczesliwy takze, zwijal sie w kłebek w kącie kuchni, przy samym piecu, kot spal na plycie, głośnie mruczac, a tam, hen, w ciemnym, błotnistym zaułku, dwa żółte, mrugajace swiatełka blyszczaly w zupelnej ciszy; nikt ku nim tej nocy nie dazył. Wypadki takie bywaly jednak rzadkie. Najczesciej Michalek, po rozrzewnieniu chwilowem, z ciezkością, lecz z gwałtownymi gestami podnosil sie z ziemi i znów do matki o pieniądze wołal. Z sercem tajemnem od czulości i żalu, wiecznie lekajac sie, azeby ludzie nie uslyszeli i nie nadeszli, drzac, wstawala takze, otwierala kufer i paczke asygnat synowi w dloni wpychala. Chlipala i powtarzala znów: „Cicho! cicho! cicho! sieroteńku mój biedny! Cicho już! cicho!”

W parę minut potem ulicą i zaułkiem, prowadzącemi do szynku Szlomy, szedł znów chwiejający się i zawadyacko gestykulujący pijak, a za nim pies ze zmokłą sierścią i spuszczoneym pyskiem włókł się, podobny do małego, drżącego cienia pokory i smutku.

Następowały potem dni, często tygodnie, w których zgrabnego i dzielnego robotnika nikt nigdzie w mieście nie widywał; natomiast, u drzwi to tego, to owego szynku, zawsze widzieć było można psa w czarne i białe laty, strzegącego stanowiska swego z wytrwałością, granic nie znającą. Wychudły, smutny, z sierścią mokrą albo najeżoną, od czasu do czasu tylko odchodząc dla pożywienia się na śmietniku jakim, zwijał się on w kłębek, albo w znużeniu wielkiem łapy wyciągnawszy, tęskniami oczyma spoglądał na drzwi i ścianę domu.

W tym samym czasie i Romanowa także zmieniała się do niepoznania. Blyszczące i żywe oczy jej przygasaly, osłupiałem spojrzeniem spoglądając z pod brwi ściągniętych i zjeżonych; na policzkach i czole osiadały czerwone plamy. Rażna zwawość jej ruchów zmieniała się w ociężałe i senne suwanie się po świecie, gadatliwość ustępowała miejsca grobowemu milczeniu. O synie jak grób milczała, a jeśli ją ktokolwiek zapytaniem do muru przycisnęła, zdobywając się na pewną i nawet zuchwałą minę, kłamała. Powiadała, że go Chlewiński na wieś wysłał, aby tam w zastępstwie jego dyrygował budowaniem wielkiego pałacu. W oczach słuchacza, czy słuchaczki niedowierzanie spostrzegłszy, długo i z niepospolitą żywością wyobraźni o tym pałacu, przez syna jej budowanym, opowiadać zaczynała. Miały tam być sufity i piece takie, jakich nikt jeszcze nigdzie nie widział i jakie jeden tylko Michałek jej na całym świecie robić umie. Takiego pałacu, jak ten, który on teraz tam, o dziesięć mil od Ongrodu buduje, niema w całej *Polszcze*, ani nawet w Paryżu. Opowiadając, przejmowała się tak dalece mularską

chwałą swego syna, że zaczynała sama we wszystko, o czem mówiła, wierzyć. Oczy jej błyskały znów, głos podnosił się i opadał, kibić od uczuwanej dumy wydymała się i grubiała.

Nagle urywała wspaniałą swą opowieść, powieki jej mrugać, a wargi drżeć zaczynały; porywała wiadro i bez żadnej potrzeby biegła po wodę, albo wypadłszy z kuchni, kryła się w ciemnej drwalni, z której, po kilku zaledwie minutach, z brzemieniem polan w ramionach wychodziła. Czarodziejski pałac razem z rusztowaniem, na którym z gorliwością i wdziękiem poruszał kielnią młody, wysoki robotnik, przed omamionemi na chwilę oczyma jej rozsypywał się w gruzy. Innym więc razem innego kłamstwa próbowała. Mówiła, że sama wysłała Michałka na wieś, do swojej familii. Ciotki tam ma, które za nim przepadają, i stryjecznych braci, gospodarzy dostatnich, których chłopiec odwiedzać czasem musi, bo strasznie lubią i ją i jego. I jak o pałacu owym, tak i o tej familii swojej szeroko i długo ludziom rozpowiadała. Znów wpadała w złudzenie, sprawiane własnemi słowami, znów uszczęśliwienie i duma rozplomieniały twarz jej i wydymały postać, i znów bez żadnej potrzeby biegła do drwalni i, za stosem polan ukryta, zalamywała ręce aż w stawach trzeszczały i przyciszonym głosem zawodziła:

— Oj, niema u mnie ani ciotek, ani *bratów*, ani familii żadnej, ani żadnej duszy swojej.. Oj, biedna ja na tym świecie, opuszczona sierota, na dziecka rodzonego zgubę patrząca!

Niezaczepiona, milczała i tylko do tych, ku którym największe czuła zaufanie, zbliżała się i tajemniczo szeptała:

— Co z tego będzie? co z tego będzie?

Policzek swój, tak w porach owych czerwone-mi plamkami ocentkowany, jakby nań wielkie krople krwi trysnęły, na dłoni opierając, osobie, przed którą

stała, patrzyła w oczy wzrokiem śmiertelnie zranionego zwierzęcia.

— Te szyby tam... w zaułku... to, proszę pani, *czyste* wilcze oczy! Kiedy mnie Roman po lesie woził, raz w nocy, patrzę, co tak świeci się między zaroślami? Roman do mnie: „To wilk!“ — mówi. — Ja aż trząść się zaczęłam od strachu, a on śmieje się. Jak Boga kocham, śmiał się, wilka zobaczywszy. Niczego nie lękał się. „Nie bój się—mówi—ucieknie bestya od dzwonka!“ I to prawda, że uciekł od dzwonka. Ale ja teraz, jak idę tym zaułkiem, a te drzwi i to okno zobaczę, to zaczyna mnie tak trząść, jak wtedy, kiedy wilka w zaroślach wśród nocy zobaczyłam... Wilcze oczy! czyste wilcze oczy!

Z wyrazu twarzy jej odgadnąć można było myśl, której wypowiedzieć nie umiała, że miejski wilk ten dziecko jej zjada, a ona mu go z paszczy wydrzeć nie może. Próbowwała wydierać. Wieczorem, gdy nic już do roboty nie miała, zarzucała chustkę na głowę i do miasta wybiegłszy, godzinami całemi chodziła po zaułku. Pod parkanami i ścianami małych domków chodziła w jedną i drugą stronę, zatrzymując się często przed dwoma żółtymi światłkami, krążąc dokoła nich, nasłuchując u okna, podchodząc ku drzwiom. Pomimo ciemności, Żużuk poznawał ją i ku jej ręce wspinając się lub podsłakując, skomlał zcicha i żałośnie. Gdy szła, szedł za nią i za nią też powracał. Czasem, obie te zasmuczone istoty chodziły tak jedna za drugą przez dobrą część nocy, lecz bywały i takie wypadki, w których kobieta, z energicznie zdecydowanemi ruchy i dumnie napuszczoną postawą, wchodziła do szynku, a za nią, więcej niż kiedy pokorny i zmaleć usiłujący, wsuwał się pies. Co tam za temi drzwiami i tem oknem robili, nie wiadomo; lecz po kwadransie lub więcej kobieta wychodziła, dla stłumienia zapewne płaczu, końcem chustki, którą na głowie miała, usta sobie zatykając, a zwierzę wybiegało, skomlać prze-

rażliwie, z jedną łapą podniesioną i skurczonym grzbietem. Po każdej z tych niefortunnych prób wydzierania dziecka z paszczy miejskiego wilka Romanowa stawiała się na czas jakiś czemś nakształt automatu, poruszającego się siłą rozpędu, lecz w którego głowie nie było myśli, ani pamięci o niczem. Ona, w pełnieniu zajęć swych tak gorliwa zazwyczaj, zaniedbywała je w stopniu, który wymagał pobłażliwości niemałej. Nie przez lenistwo przecież czyniła to, lecz przez ogarniające ją co chwila roz-targnienie i zamyślenie, które u niej przybierały pozór sennej oglupiałości. Bywała to też oglupiałość brudna. Nie myła się wtedy, nie czesała i wcale nie ubierała. Rozczochrane włosy opadały jej na twarz z pod splewiałej chustki lub brudnego czepka. Kaf-tan rozwierał się u piersi, na nogi wkładała stare ka-losze, w których chodziła cicho, jak widmo, i powoli, jak przez sen. I tylko czerwone plamy, usiewające żółtkłą jej cerę, i załamywanie rąk częste, milczące, a tak silne, że aż w nich stawy trzeszczały, postać tę brudną i oglupiałą przyoblekały jaskrawem świa-tłem wielkiego cierpienia.

Nagle i najniespodziewaniej, pierwszego lepszego ranka, zjawiała się oczom ludzkim w metamorfo-zie nowej. Znów żwawa i sprężysta, w kwiecistej chustce lub białym czepku na głowie, umyta, ucze-sana, czytym fartuchem w pasie przewiązana, twarz miała świeżą i rozpromienioną, oczy błyszczące, us-ta rozwarte w nieustannej mowie i dośnym śmie-chu. Wtedy nawet, gdy milczała, zadarty nos jej i ruchliwe zmarszczki na czole zdawały się śmiać i cieszyć. W przeddzień wieczorem albo wśród no-cy Michałek przyszedł do niej. Przyszedł w stanie, który go czynił do człowieka niepodobnym.

Obdarty, bosy, wódką cuchnący, z włosami zjeżonymi słomą i pierzem, ale całkiem prawie trzeź-wy, przyszedł i u drzwi stanął. Postawę miał wino-wajcy, który nie śmie kroku naprzód postąpić, a wej-

zenie błędne, w kąty kuchni uciekające, czasem zdające się wzywać litości. Ona, ujrawszy go takim, z wielkim krzykiem, w którym słyhać było i śmiech i płacz, rzuciła się mu na szyję i ku ławie kuchennej za rękę ciągnęła. Gdy usiadł już i czapkę mnąc w jednej ręce, drugą z roztargnieniem gładził Żuzka, zaczynała krzątać się po kuchni. Przedewszystkiem całą pościel swą za piec wносиła i tam na ziemi zaścielała. Nie mógłże on przecież bez przyzwoitej odzieży, z nabrzmiałemi policzkami i sińcami na czole ukazywać się ludziom! Będzie więc mieszkał za piecem dopóty, dopóki nie odnowi się od stóp do głowy. Pomagała mu rozebrać się z łachmanów, w jakich przybył, i ułożywszy go na pościeli swej za piecem, zajmowała się nastawieniem samowara i odgrzewaniem jedzenia, które codziennie na wypadek powrotu jego chowała. Herbatę i jedzenie niosła mu za piec i tam, w zmroku, do którego wkradał się tylko błydy promień lampy, zaczęli z sobą rozmawiać.

Rozmawiali cicho, szeptem prawie. Słyhać było przytem brzęk łyżeczki, o szklanke uderzającej.

Gdyby kto wtedy zajrzał w głąb szerokiego zapiecka, ujrzałby kobietę, siedzącą na ziemi w bladym świetle i łyżeczkę z herbatą przytykającą do ust wyciągniętego w ciemności mężczyzny. Poila go, jak niemowlę, a po twarzy jej, szerokim uśmiechem rozjaśnionej, ciekły łzy. Czasem wielka, czerwona ręka z grubemi palcami wyciągała się z ciemności, brała jej rękę, i usta, których nie widać było, składały na niej głośny pocałunek. Tak trwało godzinę lub więcej, aż głos mężki, senny, mówił:

— Mamo! proszę nakarmić Żuzuka!

Kobieta wyskakiwała z za pieca i dawała Żuzukowi resztki krupniku, okraszonego kilku kośćmi, a gdy pies zjadał je z chciwością, uśmiechając się, głaskała go po stwardniałej i błotem zlepionej sierści.

Nazajutrz do osób, którym wprzód mówiła

o owych wilczych oczach i które zapytywała: „co z tego będzie?” zblizala się znów, ale już z wyrazem tajemniczej radości na twarzy. Żywo i szeroko giestykulując, z tryumfującym wejrzaniem, stłumionym szepem mówiła:

— Wszystko już dobrze! Przrzekł, jak Boga kocham, przrzekł, że już nigdy nie będzie... I dotrzyma! Co teraz, to już, jak Bóg na niebie, dotrzyma! O! już ja go znam i wiem, że teraz to już dotrzyma!

Co najprędzej, w pierwszej wolnej chwili, biegła do miasta i za wszystkie oszczędności swe— a miewała je często, nic wcale dla siebie nie potrzebując— kupowała synowi całkowite ubranie: surdut, palto, czapkę, a często i buty. Wszystko to kupowała u tandeciarzy, więc bardzo tanio, a w ten sposób oporządziwszy syna, po paru dniach przebywania jego za piecem, szła z nim na prymaryę i, jak wyrażała się, doprowadzała go do spowiedzi. To doprowadzenie do spowiedzi powtarzało się niezmiennie po każdym powrocie Michalka, z długiej, choć nie-dalekiej wędrówki. Łagodny wtedy i dający powodować sobą jak dziecię, chłopiec spowiadał się, klęcząc, modlił się żarliwie, bił się w piersi swoją czerwoną pięścią, potem razem z matką wychodził z kościoła. Ona prowadziła go do swej kuchni i tam, bez świadków, przypatrywała się mu uważnie od stóp do głowy. Znów był takim, jak wprzódy. W promieniu wschodzącego słońca, albo w smudze białego światła, bijącej od śniegu w okno kuchenne, stał słuszny, zgrabny, silny, porządnie ubrany, ze swoim szczerym i świeżym uśmiechem na ustach, z prostem i światłem wejrzaniem roztropnych, ognistych oczu. Nie rzucała się mu wtedy na szyję, tylko powoli do niego podchodziła i po ramieniu jego dłoń przesuwała, a twarz ku niemu podnosząc, mówiła:

— No, synku, a teraz idź starać się o robotę.

Giest jej był pieśczośliwy i miłosny, ale postawa i brzmienie głosu miały w sobie uroczyść, która w chwilach innych zdawała się być kobiecie tej całkiem niedostępna. Możliwyby mniemać, że w kilku tych wyrzeczonych wyrazach mieściło się wszystko, czego wysławić nie umiała: przebaczenie, zapomnienie, błogosławieństwo...

O robotę nie było mu trudno. Szedł do Chlewińskiego, a ten przebaczał mu wszystko. Zamożny majster widoczną słabość miał do tego ładnego chłopca i doskonałego robotnika.

Słabość dla Michałka miała też pani majstrowa, i dzielili ją wszyscy prawie, którzy go znali. W dobrych tygodniach swoich pracowity aż do niezmordowanej gorliwości, grzecznym był, usłużnym i tak wesołym, że go znajomi śiglarzem i szalapatem nazywali. Na imieninach i chrzcinach różnych tańczył zgrabnie i niezmordowanie, jak nikt inny; kiedy w zapusty u którego z panów poprzebierani mieszczanie przedstawiali historię króla Heroda, on przebierał się za dyabła i skokami, a także dowcipami swemi śmieszył aż do kolek w bokach całe towarzystwo. A ileżto u Chlewińskich bywało uciechy i śmiechów z tych glinianych kotów i kogutków, które dla panny Zofii lepił i tak ślicznie malował, że wyglądały jak żywe! Grał także na harmonijce i śpiewał różne pieśni, silnym i czystym barytonem. Wogóle, dla mieszczan i służby domowej okazywało się wyraźnie, że gdzie pan Michał był, tam było wesoło i bardzo przyjemnie. Wesołość też i przyjemność wyrażały na widok jego szafirowe oczy i ładny buziaczek jednej z córek Chlewińskiego, która z podlotka wyrosła już na wysmukłe i w całej pełni kształtów rozwinięte dziewczę.

Raz robotnik mularski wracał od roboty swej o zmroku prawie, gdy, mijając kamienicę jakąś, usłyszał na chodniku żalosne, ciche miauczenie. Po gniewnym niepokoju, który ogarnął idącego w ślad za

nim Żużuka, domyślił się, że było to odzywanie się kota. Wszedł na chodnik, popatrzył w ciemny załom muru i rozpoznał istotnie paromiesięczne kocię, wyrzucone tu śnać przez kogoś na słotę jesienną. Pochylił się, podjął z ziemi zziębłe i głodne stworzenie i, trzymając je na dłoni, a okrywając końcem grubego fartucha, patrzył na nie przez chwilę.

— Biedny ty! — uśmiechnął się do kocięcia — ale co ja z tobą zrobię! Do matki zaniosę, czy co?

Podniósł twarz i oko w oko spotkał się z rumianym buziaczkiem i szafirowemi oczyma Zosi Chlewińskiej. Szesnastoletnia mularzówna zarumieniła się tak, że aż jej uszy pokraśniały. Nieśmiała jednak nie była.

— Co to takiego pan Michał w ręku trzyma? — stojąc pośród chodnika, zagadła.

On zmieszał się bardzo. Rzecz dziwna! ten chłopak tak śmiały, gdy szło o spraszanie na traktament wesołej kompanii, ten zawadyaka i szaleniec, gdy mu gorzalka zaszumiała w głowie, wobec dziewczynki tej, skromnej a przyjaźnie na niego patrzącej, zmieszał się i języka w gębie zapomniał. Po kilku zaledwie sekundach, zrywając z głowy czapkę i jękając się, wyrzekł:

— Dobry wieczór pannie Zofii!

Chciał ukłonić się elegancko, ale nogi formalnie w ziemię mu wrosły, więc tylko niezgrabnie głową kiwnął.

— Dobry wieczór, dobry wieczór! — zaszczębiotła znów mularzówna — ale co to takiego pan Michał z ziemi podniósł i w ręku teraz trzyma?

— To jest, proszę panny Zofii, kocię! — wyjąknął.

Ucieszyła się widocznie i wyciągnęła ręce. Choć była w kapeluszu i zgrabnym paltocie, rękawiczek jednak nie nosiła. Małe, czerwone od zimna rączyny, wyciągnęła po przedmiot, wspólnie ich teraz zajmujący.

— Al — krzyknęła — jaki ładny!

— Ładny, ale nie wiem, co z nim zrobić?

— Niech pan Michał mnie to kocię daruje!

— Czy panna Zofia hodować będzie to brzydactwo?

— Będę! Jaki pan Michał dobry, że zlitował się nad tem maleństwem i podniósł je z ziemi...

— A jaka panna Zofia dobra, że życzy sobie to hodować...

— Ja bardzo wszystkie stworzenia lubię...

— I ja *tyż*...

Rozmawiając tak, patrzyli sobie w oczy. Dziewczyna wsunęła kocię w szeroki rękaw swego paltota i pyszczek jego do różowych ust swych przykładła. Teraz fala rumieńca oblala czoło mężczyzny i popłynęła aż pod czarne jego włosy.

— Co jabym, zdaje się, dał za to... — zaczął i urwał.

— Za co?

— Za to, żeby panna Zofia i mnie *tyż* trochę lubiła...

Spuściła na chwilę oczy, ale wnet podniosła je znów. Wyraz determinacyi spłynął na jej młodziutką twarz. Cicho, jak wprzódy, odpowiedziała:

— Ja pana Michała bardzo, bardzo lubię i od dawna już, od dziecka. Ale lubiłabym jeszcze daleko więcej, gdyby pan Michał... gdyby pan Michał... gdyby...

— Gdyby co? gdyby co?

— Gdyby pan Michał był... był zawsze taki, jak teraz... I ojciec i mama bardzo tego pŕagną, żeby pan Michał nie był... nie był...

Przytknęła znów pyszczek kocięcia do ust swych i zaledwie dosłyszalnie dokończyła:

— Żeby pan Michał nie był nigdy innym, jak teraz...

Zrozumiał i płomienne rumieńce uderzyły mu do twarzy.

— Panno Zofio! — szepnął — jak Boga kocham, jak mnie to życie miłe, przysięgam, że będę już zawsze taki, jak teraz...

Nie wiadomo, jakim sposobem czerwona rączka mularzówny znalazła się w wielkiej, wapnem obielonej ręce mularskiego robotnika. Uścisk to był silny i serdeczny. Bez słowa pożegnania rozbiegli się w przeciwne strony. Za nim w wesółych podskokach podążył Żużuk; ona w rękawie paltota unosiła zziębłe i wynędzniałe kocie.

Przez całe kilka miesięcy Romanowa, Żużuk i jedna z córek jednego z najdostojniejszych majstrów Ongrodu, byli bardzo szczęśliwi. Potem...

Mularskie rzemiosło, dobrze opłacające się swym pracownikom, posiada jednak tę niedobłą stronę, że przez kilka miesięcy w roku zajęcia im nie daje. Od marca do października, najdłużej do listopada, pracuj ile pożądasz, ale gdy wielkie deszcze jesienne i śniegi zimowe spadną, zakładaj ręce i próżnuj, choćbyś nie wiem jak i dlaczego pracy potrzebował! Niektórzy biorą się na sposób, budują garncarskie piece i w zimowych miesiącach garnki lepia. Spróbował zrazu czynić tak i Michałek; w późnej jesieni szedł na robotę do garncarza. Ale nie udała się mu ta próba. Szopa, zamknięta i duszna od palących się w niej ogniów, włożenie do rozpalonych pieców, gnębiły ruchliwą jego naturę, pożądaną przy pracy powietrza, przestrzeni, szerokich rozmachów dla silnych ramion i hulaszczej duszy. Przytem rzemiosło garncarskie wydawało mu się czemś poniżającym i odpowiednem tylko dla niedołęgów i biedaków. Słowem, w obrzydzenie je wziął i przez cztery albo pięć miesięcy w roku żadnej wcale roboty nie miał. Romanowa bardzo dobrze pamiętała, że po raz pierwszy upił się w ciągu tych właśnie miesięcy bezrobotnia. Miał wtedy lat 19. Bóg-że wie, co go po raz

pierwszy ku wilczym oczom pociągnęło! Podobno garncarz Wincenty zaprosił go do Szlomy na traktament, a potem przez czas pewien dziewczka jakaś, bezwstydnem swem, lecz czarnem i ognistem okiem przyciągała go tam niekiedy. Przez czas pewien bywało to tylko niekiedy; potem przybyły znajomości różne, stosunki, możność i ochota do zbierania i zapraszania wesolych kompanij. Wesole kompanie stały się namiętnością Michałka; pysznił się tem, że był w stanie spraszać je i częstować, i tem, że lepiej od innych w bilard grał, i tem jeszcze, że kobieca część tych kompanij przepadała za nim. W bilard grał, hasał i hulał po szynkowych izbach, a można hasać i hulać, nie pijąc piwa zrazu, potem wódki, a potem tego już trunku, będącego dla szynkowych gości napojem bogów, który wyrabia się z zapalonego spirytusu i ściekających do niego kropli cukru, topionego nad sinym płomykiem.

Przed matką i Chlewińskim Michałek czasem usprawiedliwiać się próbował.

— Człowiek pracujący rozrywki potrzebuje.. — mówił.

W zimie zaś, kiedy roboty nie miał, powiadał o nudzie, która go tak paliła, że gdyby nie poszedł do szynku, utopiłby się, albo powiesił.

Miał wielu kolegów, którzy nie nudzili się tak, jak on. Gdy Romanowa zwracała na to uwagę jego, odpowiadał:

— Wielka rzecz! kapcany i niedołęgi! I pracować nie umieją, i bawić się nie potrzebują. Mleko u nich w żyłach płynie, a u mnie krew, jak ogień.

Słowa te nasuwały kobiecie myśli, z którymi rady sobie dać nie mogła. Szumując rosół, siekając kotlety, obierając jarzyny, myślała, rozważała, kombinowała i ani rusz zrozumieć nie mogła... jak to może być...

— Jak to może być — mówiła do tych, wzglę-

dem których zaufanie miała — żeby on przepadał dlatego, że lepszy od drugich... Kapcan jakiś i niezdarą śpi sobie cały wieczór za piecem i nie grzeszy, a on przez tę ognistość swoją i najlepiej pracuje i najwięcej Pana Boga obraża...

Czasem wpadała na pomysły, które nasunąć jej mogły tylko niezmierne wytężenie myśli. Z policzkiem na dłoni opartym, ze wzrokiem od zamyślenia aż osłupiałym, mówiła:

— Jednakowoż, czy to *uczone* i *bogate* panowie nie mogą tak jakoś zrobić, żeby dla biednych i *durnych* ludzi inne zabawy były, jak te u Szłomy?...

Po owem spotkaniu się Michalka z Zosią Chlewińską, zaszłam na wiosnę, Romanowa długo ani myśli, ani trosk takich nie miała. Przez całe lato i część jesieni chłopak jak wół pracował, naprawdę już, z polecenia Chlewińskiego, do wiejskiego jakiegoś dworu na robotę wyjeżdżał, grosiwa sporo w kufrze matczynym zgromadził i następnej już zimy wyzwolić się na czeladnika postanowił. Cechmistrz Chlewiński sam go do tego namawiał, w ostateczne ustakowanie się jego uwierzywszy.

— Za rok — powiadał — na majstra cię wyzwolimy, a za parę lat jeszcze, jeżeli rozum w głowie mieć będziesz... no...

Nie kończył pan majster mowy swej, tylko uśmiechał się filuternie i jedną ręką bujnego, płowego wąsa pokręcając, drugą pobrzękiwał swym srebrnym łańcuchem od zegarka. Do znajomych swoich mawiał:

— Ten Michał, to moja prawa ręka. Zdatna bestya, aż strach! Żeby tylko to... nie to... wolałbym go dla Zośki, niż jakiego kiepskiego panicza! Ale może Bóg da... że to... tego... młodość, wyszumi się!

W listopadzie Michałek nie miał już żadnej roboty i tylko w kuchni matczynej przez kilkanaście

wieczorów lepił dla panny Zofii rycerza z gliny. Teraz, gdy była dorosłą, nie wypadalo już jej kotami i kogutami obdarzać. Rycerz—to co innego. Postawił go sobie na komodzie, w bawialnym pokoju. Na nieszczęście, rycerza z gliny ulepić i cały ubiór, a także zbroję ładnie na nim wymalować, przechodziło artystyczne zdolności mularza. Lepił, lepił, malować próbował i sam spostrzegł, że robota jego zupełnie do niczego podobną nie była. Po gniewnem ściąganiu brwi i grubem brzmieniem głosu poznać można było, że już zaczynało w nim burzyć się coś i buntował. Przesiadywał jednak w kuchni całę prawie dnie i wieczory, wlaził za piec, spać usiłując, Żużuka nowych sztuk uczył, do pokojowej Rozalii, nieszpętniej dziewczyny, czule oczy robił i gonitwy z nią po kuchni wyprawiał, z matką święte i świeckie pieśni śpiewał, słowem, próbował wszystkiego, coby go zająć mogło. Chmurzył się przecież coraz posępniej, jadł coraz mniej, głos jego grubiał, a gesty stawały się porywcze.

Nakoniec, pewnego wieczora, rycerza, który już był w piecu garncarskim należycie wypalony, ale który ostatecznie podobniejszym okazywał się do barana z jednym rogiem, niż do rycerza ze sterczącą dzidą, o ziemię cisnął, z matczynego kufra coś wyjął, czapkę schwycił i wyszedł..

Znalazłszy się na ulicy, szedł zrazu prędko, potem powolniej i przeciw zwyczajowi swemu z głową spuszczoną. W ciemnym zaułku żółtawo błyszcząły, jak zwykle, okna i szklane drzwi Szlomy. Czarno zarysowujący się w ciemności wysoki mężczyzna dążył do dwu tych światelek i, zbliżywszy się ku nim o parę kroków, gwałtownym ruchem zwrócił się w tę stronę, z której przychodził. Z końca zaułka wrócił znów, przed dwoma świecącemi punktami stał parę minut i poszedł dalej. Tak kilka razy zbliżał się ku wilczym oczom i oddalał się od nich, stawał przed niemi, minawszy je, zdawał się od nich uciekać, aż

nakoniec, z determinacją, nagle wskoczył na stopień drewniany, tu jeszcze sobie czapkę na bok głowy przesunął, gwałtownie ręką drzwi otworzył i za nimi zniknął. Na stopniu drewnianym pozostał i niebawem w kłębek zwinął się pies, który też za nim przyszedł.

Na drugi dzień wypadła niedziela. Spory plac przed kościołem okryty był śniegiem, w nocy spadłym, bladym blaskiem słońca i szarym tłumem ludzi. Nabożeństwo niedzielne skończyło się przed chwilą. Ludzie różnych stanów, opuściwszy kościół, przechadzali się po placu, albo stali grupami, rozmawiając i przypatrując się ruchliwemu tłumowi. Młodziutka mularzówna wychodziła z kościoła. O kilkadziesiąt kroków wyprzedziła matkę i siostry, i z wysokich schodów kościelnych zbiegła, lekka, świeża, wesoła. Bardzo wesołą była, bo wiedziała, że, jak bywało każdej niedzieli, u dołu schodów ktoś zajdzie jej drogę, ukłoni się pięknie, spojrzy na nią ognicie i starać się będzie przez matkę jej lub ojca zauważonym zostać, w nadziei, że pozwolą mu iść z sobą przez ulicę miasta, a może i na niedzielne kolduny, albo smażone kielbasy zaproszą. To ostatnie zdarzyło się od pewnego czasu dość już często i sprawiało mularzównie wielką uciechę. Zbiegała więc ze schodów lekko i wesoło, czerwoną kokardką, którą dziś skromny kapelusik swój przyozdobiła, zdaleka świecąc. Okrągłe jej policzki kraśniały puszystym rumieńcem brzoskwini, czerwone rączki nawpół tylko chowała w rękawach taniego futerka. Nagle rozpromienione jej oczy rozwarły się szeroko i na całej twarzy rozlał się wyraz przykrego zdziwienia. Kto to taki stoi tam, na ostatnim stopniu schodów, widocznie na nią czeka i śmieje się ku niej brzydkim, nieprzyzwoitym śmiechem? Była pewną, że zobaczy młodego chłopca, w grubym, lecz czystym i zgrabnym paltocie, w czapce krzywo trochę na czarne

włosy włożonej, z postawą skromną, grzeczną, trochę nawet elegancką.

Zobaczyła człowieka w poplamionym surducie, obłożonem obuwiu, z czapką zsuniętą na tył głowy i śmiesznie daszkiem sterczącą, z twarzą zaczerwienioną, mgławerni oczyma i tym jakimś okropnym, wstrętnym uśmiechem na ustach. Zbladła trochę, przygryzła ponsową wargę i ze łzami, które nagle zakreśliły się jej w oczach, rzuciła się w stronę schodów przeciwną tej, w której on stał i wyraźnie na nią oczekiwał. Ale on szybko przyskoczył ku niej i, rozpychując ludzi w twarz jej zaglądał.

— Ja na pannę Zosię czekałem—nie zdejmując czapki, zaczął głosem dziwnie zgrubiałym i trochę ochryplym.

Nie odpowiadając, szybko chodnikiem iść zaczęła. Przyciskała się tak do kościelnego muru, że aż ubielila sobie całą połowę futerka. Nie patrząc na nikogo, z pod powiek widziała, że ludzie, których tam pełno było, zaczynali patrzeć na nią i na niego. On szedł wciąż przy niej, dziwnie jakoś wahając się na nogach i ani trochę nie zniżając głosu, wciąż mówił

— Jak Boga kocham, ja na pannę Zosię całą godzinę przed kościołem czekałem... U mnie wesola kompania jest, ale ja wszystko porzuciłem, żeby pannę Zosię zobaczyć... Niech panna Zofia tylko posłucha! Piękniejszej dziewczyny, jak panna Zofia, w całym Ongrodzie niema...

Dziewczę spłonęło ciemnym szkarlatem i, więcej jeszcze cisnąć się do muru i kroku przyśpieszając, wyjąkało:

— Niech pan Michał da mnie pokój! proszę sobie iść odemnie! proszę... proszę... mnie dać pokój. †

Łzy płynąć zaczęły po rozpalonych jej policzkach, z całej siły jednak wstrzymywała się od płaczu i z pod energicznie w tym celu mrógających powiek zobaczyła wielką, czerwoną rękę z rozpo-

startemi palcami, którą towarzyszył jej uderzał się w piersi.

— Jak Boga kocham — krzyczał — niech mnie w ten moment piorun ubije, jeżeli ja kiedy pannie Zofii co złego zrobić zechcę. Ja pannę Zosię kocham nad życie, nad bogactwo, nad wszystko...

Kilkanaście najbliższych znajdujących się osób wybuchnęło głośnym uśmiechem na te oświadczenia miłosne, grubym i ochryplym głosem pośród miasta i tłumy ludzi wykrzykiwane.

Mularzówna, na podobieństwo gonionego przez charty zająca, uczyniła zwrot szybki i napowrót ku kościołowi biec zaczęła. Zapewne spodziewała się ztamtąd odsieczy, w postaci rodziców i rodzeństwa. Ale on, spostrzegłszy, że ucieka od niego, za rękę ją schwycił.

— Ho, ho! — krzyknął — co z tego to nic nie będzie! Jak Boga kocham, nie puszczę! Co to? czy ja prawa do ciebie nie mam? Ja twój kochanek, a ty moja kochanka! My już przed Bogiem przenajświętszym małżonkami! Jeżeli ty uciekać odemnie będziesz, ubiję! jak Bóg na niebie, ubiję! Ty moja i nikt nas nie rozłączy... żeby tam generał jaki, albo księżę brać ciebie chciał, nie dam! ubiję! a nie dam! jak psa ubiję!

Czerwoną rękę z rozpostartymi palcami bijąc się w piersi, albo w powietrzu wygrażając, krzyczał coraz donośniej i grubiej, z całych sił wrywając się, ku sobie ciągnął. Coraz zwiększająca się gromada ludzi otaczała ich, śmiejąc się z pijaka, litując się nad dziewczyną, albo drwiąc z niej także; ktoś donośnie przywoływał policyanta, który też, przez plac przebiegając, pośpieszał ku miejscu, gdzie tłoczyli się ludzie i rozlegały się krzyki męskie i kobiece, bo i mularzówna, wrywając się i szamocząc, krzyczała także i głośno płakała. Ale, zanim policyant do miejsca tego dobiegł, sam majster Chlewiński, przerażony, jak najczerwieńsza piwonia zaczer-

wieniony, tłum rozepchnął, pijaka uderzeniem pięścią w pierś na otaczających ludzi rzucił, a obu ramionami córkę ogarnawszy, bezwiednym ruchem, jakby ją przed oczyma ludzkimi chciał ukryć, połą baraniej szuby swej głowę i plecy jej osłonił. Tuż za niemi nadbiegła otyła nieco, sapiąca, przełęczniona majstrowa i, jak kura skrzydłami, ramionami trzepocząc, rzuciła się także ku dziewczynie, trzęsącej się od płaczu i twarz na piersi ojcowskiej chowającej. Dwie starsze siostry, jedna malutka siostrzyczka i mały brat w gimnazyalnym mundurku otoczyli ją ścistem głonom. Chlewiński ze łzami w oczach zwrócił się do gromady ludzi, która stała i gapiła się jeszcze, odezwał się:

— Oj wy! bydło, nie ludzie! czy to nikt z was obronić nie mógł dziewczyny, kiedy jej taka krzywda stawała się!

W tłumie, złożonym z rzemieślników, robotników, służących, kilka osób mruknęło:

— Ktoby tam chciał wdawać się w kłótnię z pijakiem! silny taki, że wołu ubić mógłby!

Kto inny tłumaczył się:

— Dziesiątnika przecież zawołałem...

Lecz byli i tacy, którzy śmieli się i teraz. Garnarcz Wincenty, niezupełnie trzeźwy, jak zwykle, i który oddawna zazdrościł Chlewińskiemu dostatków jego i znaczenia, mokremi oczyma swemi w oczy mu patrząc, na całe gardło zaryhotał:

— Dobrze ci tak! Nie trzeba było pozwalać dziewczynie z pijakiem romansować!

— Ale! — zaśmiało się kilku lokajów i robotników—toż on mówił, że ona jego kochanką jest, a on jej kochankiem! Widać prawo ma tak mówić! To i cóż? Niech majster wytrząśnie sakiewkę, posag córce da i—wał do ślubu!

Scenie tej policyjanci koniec położyli. Chlewińscy, o których jednostajnie obawiać się było można, aby apoplektycznego ataku nie dostali, razem z roz-

plakanemi starszemi i młodszemi dziećmi uprowadzili do domu Zośkę, która, pomimo silnej budowy swej i dobrego zdrowia, mdlała prawie z żalu i wstydu.

Tego samego dnia, nad wieczorem, Chlewiński wpadł do kuchni Romanowej. Moznaby powiedzieć, że przez te kilka poprzedzających godzin schudł i postarzał. Rumiane policzki jego wydłużyły się, białe, niskie czoło okryło się zmarszczkami, bujny wąs, wciąż targany, groźnie nad wargami sterczał. Zamiast, jak zwykle bywało, wejść z powagą, powoli i uprzejmie, choć nieco z góry, powitać kucharkę, wpadł z hałasem, drzwi za sobą zatraskując, i bez słowa powitania zwrócił się do kobiety, która na widok jego z kufra powstała i, jak słup nieruchoma, ze splecionemi u piersi rękoma stanęła.

— Przyszedłem — zaczął — aby imości zapowiedzieć, aby imość synkowi swemu zapowiedziała, aby synek imości progu mego nigdy już w życiu swoim nie przestępował. I niech mnie nawet nigdzie nie nawinie się na oczy... a jeżeli córkę moję, trzeźwy czy pijany, kiedy jeszcze zaczepi, to daję słowo honorowego człowieka, że mu publicznie w pysk dam i jeszcze go do sądu zapozwę, albo tak zrobię, żeby go gmina własnym kosztem na Syberyę wysłała... ot! niech to imość sobie pamięta i niech synek imości progu mego przestępować nie śmie...

Sapał, giestykułował, po kuchni rzucał się, krzyczał. Powaga i układność dostatniego majstra i poważnego cechmistrza zniknęła w nim ze szczeniem przed gniewem obrażonego chlebobdawcy i zranionego ojca.

— Taki „szkandal” wyprawić memu dziecku... memu... memu dziecku... I za co? Za dobre serce moje? za sprzyjanie moje? zato, że mu zarobek dawał? że go w domu moim jak krewnego przyjmował? Pfuj! lotr jaki!

Spluwał, i znów gadać i rzucać się po kuchni zaczynał.

— Dziewczyna tak jak zgubiona — krzyczał — ludzie jej za lat kilka „szkandalu” tego nie zapomną. Wszyscy teraz myślą, że ona z nim romans miała, i klóć jej tem w oczy będą! Za mąż pójdzie, a jeszcze mąż, gdy zechce jej dokuczyć, tym niebywałym romanssem i tym „szkandalem” klóć jej w oczy będzie!

Ocierał chustką zachodzące łzami oczy i znów powtarzał:

— Za co? za cò? za co on moje dziecko takim nieszczęśliwym zrobił!

Kobieta stała wciąż przy kufrze, jak słup nieruchoma, ze splecionemi rękoma. Twarz jej okryła się żółtą bladością, powieki mrugały, wargę drżała. Od kilku godzin wiedziała o wszystkim, co przed kościołem zaszło; spodziewała się tego, co ją teraz spotykało.

Kiedy Chlewiński, wykrzyczawszy się i wyskarżywszy, we wszystkie kąty kuchni już splunął i, po raz setny powtarzając, że Michałka na oczy swe widzieć nie chce, ku odejściu miał się, Romanowa poruszyła się z miejsca swego i, ciężko stąpając, od progu drogę mu zaszła. Tu pochyliła się i kolana jego ramionami objęła.

— Panie! — zaczęła — dziękuję za wszystko, co pan dla niego robił i zrobić jeszcze chciał. Ja wiem... ja rozumiem... ja kolana pańskie, za niego przepraszając, całuję!

Łzy jak groch spadały na stopy majstra, który zmiękł trochę, podniósł ją i w głowę pocałował.

Kiedy w kilka dni potem Michałek, według zwyczaju swego, w pół pijany przyszedł z szynku i u matki o pieniądze swe upominać się zaczął, ona okazała się inną, niż dotąd w wypadkach podobnych bywała. Nikt nie wiedział, ile wysień kosztowało ją przyobleczenie się w tę surowość, z jaką teraz syna spotkała. Nie pociągnęła go już ani na ławkę, ani za piec, ale odrazu głosem podniesionym lając zaczę-

ła. Krzycząc, łając i rozmachując rękoma, wyrzucała mu krzywdę wyrządzoną mularzównie i poróżnienie się z majstrem, któremu zawdzięczał wiele; opowiadała o gniewie majstra i wszystko, co mówił on, powtarzała. Michałek teraz dopiero przypomniał sobie zajście przed kościołem, i pomimo stanu, w jakim się znajdował, wiadomość o stanowczem zerwaniu z nim ojca Zośki ubodła go do żywego. Otworzył zrazu usta i, plecami o ścianę oparty, pochylił głowę. Lecz pogńębienie to trwało krótko; zastąpił je niebawem szal gniewu, podsycany żalem, którego doświadczył. Zaczął kłać straszliwie, obrzucając majstra obelżywymi nazwami. Wykrzykiwał, że nikogo nie boi się, że sam sobie panem jest, że Chlewińskiego przez dach kościoła przerzuci, a z córką jego ożeni się, bo żyć bez niej nie może i kochankiem jej jest, a ona jego kochanką...

Krzywda, którą gadaniem takim wyrządzał niewinnej dziewczynie i córce swego dobrodzieja, oburzyła w Romanowej uczucie sprawiedliwości. Przytem sztucznie zrazu podniecając się, stopniowo wpadała w gorączkę gniewu, wzmaganą może strasznym uczuwanym bólem.

— Ty znów to samo! — wrzasnęła i, podniosły ramię, w twarz syna uderzyła.

Pierwszy to raz, od czasu, gdy malutkiem jeszcze był dzieckiem, uderzyła go. On, tracąc do reszty przytomność, porwał się do niej z zaciśniętymi pięściami, ale w tej chwili pomiędzy nim a nią zjawił się mały i bardzo ruchliwy pośrednik. Był nim Żużuk, który, jak zwykle, za panem swym przyszedłszy, w kącie kuchni wyszukał kość jakąś i gryzł ją zawzięcie, lecz, ujrawszy pana swego w niezwykłym jakimś zatargu, rzucił się ku niemu i, na Romanowę czekając, wił się i skakał, jakby go tem zasłaniać i bronić usiłował. Skacząc tak i szczekając, wplątał mu się pomiędzy nogi i poruszeniem ich, i bez tego niepewnym, przeszkadzał. Jedno mgnienie

oka—i stała się rzecz okropna. Otrzymałą wiadomością i uderzeniem matki rozwścieczony pijak, z oczyma krwią zaszlemi, pochylił się, psa za kark pochwycił i za siebie go cisnął. Zwierzę z łoskotem uderzyło się o róg maszyny kuchennej, przeraźliwie jęknęło, konwulsyjnie kilka razy drgnęło i pozostało na ziemi z wyciągniętymi łapami, bez ruchu.

— Psa zabiłeś, waryacie! — krzyknęła Romanowa.

Przeraźliwy pisk Żuzuka i te słowa matki otrzeźwiły go nieco. Obejrzał się, spojrział i rzucił się ku zabitemu zwierzęciu. Na ziemi usiadł, Żuzuka na ręce wziął, targał go, cucił niby, najczulszemi wyrazami go wołał, aż nakoniec, zwłoki psa na kolanach swych położywszy, rozplakał się jak dziecko. Silne wrażenie, jakiego doświadczył, otrzeźwiło go całkiem. Po kwadransie płakania podniósł głowę i patrząc na matkę, rzekł z przejmującą boleścią w głosie:

— Teraz, mamu, już amen. Nic ze mnie nie będzie. Kiedy ja mogłem Żuzuka mego zabić, to kiedykolwiek człowieka i zabiję. Na *katorżnika* wiadać wyjdę i po wszystkim.

I znów zaczął, na ziemi wciąż siedząc, płakać i sztywniejące zwłoki Żuzuka pocałunkami okrywać. Wtedy ona siadła przy nim i, jak dawniej bywało, nie szczędziła mu pociech i pieszczot. Znów nastawiła samowar i poić go próbowała herbatą, której jednak pić on nie chciał. I spać tej nocy nie mógł; jęczał za piecem i wciąż coś o Żuzuku mruczał, lkając czasem. Strasznie żałował psa; straszniej jeszcze bolało go zerwanie z Chlewińskim. Przez całe trzy dni z za pieca nie wyłaził, wstydząc się, smucąc i o własnej przyszłości zupełnie wątpiąc. Na czwarty dzień Romanowa do kościoła z nim poszedłszy, znów go do spowiedzi doprowadzała i znów ku ludziom, względem których szczególne miała zaufanie, podchodziła z tajemniczym uśmiechem na ustach, radośnie szepcząc:

— Teraz to już przestanie, jak Boga Kocham, przestanie! Żeby tylko jakim sposobem Chlewińskiego przeprosić... to już wszystko dobrze będzie. Już ja nie taka, żebym jemu łatwo uwierzyła, ale jak Bóg jest na niebie, tak teraz to już przestanie!

Teraz przecież miała ona dopiero wstąpić na szczyt swej Golgoty. Zamordowanie psa zaciężyło Michałkowi na sumieniu i otworzyło w piersi jego najzjadliwszego robaka — zwątpienie o samym sobie. Ile razy przechodził koło kościelnego muru, przy którym tak ciężko obraził kochaną dziewczynę, tyle razy brała go nieprzewyciężona prawie chęć zawrócenia się ku szynkowi Szłomy. Chęć tę przewyciężał wprawdzie czasem, ale na krótko. Zima była; roboty żadnej nie miał. I przyjemności żadnej nie miał, bo jedyna uczciwa i porządnie żyjąca rodzina, która go dotąd chętnie w domu swym przyjmowała, drzwi swe przed nim zamknęła. Nie miał też już swej dawnej fantazyi i pewności siebie. Spostrzegając zaczął, że dobrze prowadzący się robotnicy unikali go, a majstrowie mularscy, mijając go na ulicy, pogardliwie albo szydersko na niego patrzyli. Ambicyi miał dużo, i te oznaki ludzkiego lekceważenia bodły go okrutnie. Zwątpił całkiem o sobie, zaniebdał się; trzeźwym nawet będąc, chodził w surducie poplamionym i wykrzywionych albo podartych butach. Trzeźwym będąc, o Chlewińskich nigdy przed nikim, nawet przed matką, najmniejszym nawet słowem nie wspomniał, i gdy kogokolwiek z rodziny tej na ulicy spotkał, przechodził prędko ze spuszczo-nemi oczyma. Zoşkę tylko starał się widywać zdaleka i tak, aby ona go nie spostrzegła. Ujrawszy ją, gdy biegła ulicą, albo w klęczącej postawie modliła się w kościele, wpatrywał się w nią, jak w tęczę, rozkochanemi i żalosiemi oczyma. Skoro jednak przypuszczał, że spostrzedz go ona może, uciekał i krył się w bramę jakiego domu lub w ciemny kąt

kościola. Zato, ilekroć był pijany, o niczem więcej nie mówił tylko o niej. Na ulicy, w szynkach, w kuchni matczynej wykrzykiwał jej imię, oświadczając miłość swoją dla niej i odgrażając się, że jej nikomu nie da, że ją sobie zabierze, ojca jej zabije, a ją zabierze, ją zabije, a nikomu innemu jej nie da. Zdawać się mogło, że razem z wódką pił myśl o tej dziewczynie i żał nad jej utratą, i dopóki mu trunek z głowy nie wywietrzał, myśli tej i tego żalu, wyrażającego się w formie oświadczeń i pogroźek, pozbyć się nie mógł.

Teraz zresztą rzadko już głowa jego wolną była od dymu gorzałki. Gdy pieniędzy zarobionych przez lato nie stało, żądał on od matki, aby mu swoje oddawała. Raz, spełniając pogroźkę dawną, siekierą rozbił jej kufer; innym razem, usiłującą uspokoić go, porwał za włosy, i plecy jej obił pięścią. Gdy bił ją, ona ani nie jęczała, ani broniła się, tylko w zwykły sobie przeciągły i błagalny sposób powtarzała:

— Cicho! cicho! cicho!

Pragnęła, aby to przynajmniej, że on ją bił, w tajemnicy przed ludźmi pozostało. Nazajutrz lub w parę dni potem, rozrzewniona i już uszczęśliwiona, widziała go leżącego u nóg swoich. Wytrzeźwiawszy, przypominał sobie czyn swój, do nóg matki jak długi padał, stopy jej i kolana całując, i wciąż powtarzając, że teraz to już z pewnością amen, i nic z niego nie będzie. Ona go wtedy w ramiona brała, jak dziecko kołysała i pocieszała, herbata znów poila i upewniała, że Pan Bóg zlituje się... On już w to nie wierzył; w możliwość zwalczania dyabła, który go opętał, nie wierzył. Całując i przepraszając matkę, płakał jak bóbr, a potem na dni kilka za piec wchodził. Wylazłszy z za pieca, czas jakiś waleśał się po mieście lub przesiadywał w kuchni, ze skurczoną postawą i posępną twarzą... po-

tem znikał znów, a powracając, żądał od matki pieniędzy... pieniędzy...

Zkąd ona miała brać tyle pieniędzy, ile on żądał ich teraz od niej? Przeciagle i błagalnie szepcząc: cicho! cicho, synku! cicho już! cicho! oddawała mu wszystko, co zarabiała i cokolwiek od kogo kiedy otrzymywała, tak, że przy końcu zimy, zamiast trzewików, których nie miała już za co kupić, nosiła podarte kalosze, a na łóżku jej, zamiast dostatniej pościeli, która niedawno jeszcze piętrzyła się na niem, pozostał tylko wór wypchany sianem, i za koldrę służąca dziurawa chustka. Wyglądała teraz strasznie. Wychudła bardzo i zarazem ocieślała i jakby zgrubiała, podobną stała się do niezgrabnego i sennie poruszającego się słupa. Rzadko czesane i do reszty siwiejące włosy z pod spłowiałej chustki bezładnie spadały na pomarszczone czoło, zapadłe policzki i nagą, kościstą szyję. Z tą postacią i z temi włosami, w obłoconej u dołu spódnicy, podartych swych kaloszach i kaftanie, wiszącym na niej jakby na słupie, miała sama pozór pijaczki. Wyglądałaby też na szkaradną czarownicę, gdyby nie te jej oczy, z pod brwi zsuniętych spoglądające na świat z bezdenną żalością, i nie to od chwili do chwili łamanie rąk, tak silne, że aż stawy w nich trzeszczały, i w którym czuć było mocowanie się z wewnętrznymi krzykami rozpaczy. Nie tylko przecież nie wydawała krzyków rozpaczy, ale nigdy, przed nikim słowem najmniejszym nie poskarżyła się na syna. Nie broniła go już wprawdzie wymyślanemi historyjami o pałacach i familiach, ale też i nie obwiniąta. Jak grób milczała.

Nadeszła wiosna. Po kilkodzielnem siedzeniu za piecem Michałek rzekł do matki:

— Pójdę starać się o robotę.

— Idź, synku, idź i niech ci Bóg Przenajświętszy dopomoże.

Nie miała już za co sprawić mu nowego odzie-

nia i z żalością, zmieszaną ze wstydem, ściagała go wzrokiem, gdy wychodził na ulicę, łachmanami prawie okryty. Surdut miał na sobie poplamiony, czapkę brudną i buty tak podarte, że ledwie mu z nóg nie spadały. Poszedł, z dwoma majstrami się widział i roboty nie dostał. Jeden z majstrów przyjął go nie chciał, utrzymując, że ma już dostateczną liczbę robotników, z drugim pokłócił się, bo mu się zdało, że pogardliwie z nim się obszedł. Nazajutrz wywłócił się znów na miasto, mówiąc, że do trzeciego jeszcze majstra pójdzie. Ale ona wiedziała dobrze, że i ten trzeci na robotę go nie weźmie. Przez dzień cały zamyślała się nad czemś głęboko, i widać było, że układała w głowie swej jakieś plany. Obiad zgotowała fatalnie, zamiast soli sypała do potraw cukier i odwrotnie. Gdzie jej tam było teraz myśleć o smaku zupy i sosów! Dziwiła się nawet temu, jak ludzie mogą dbać o takie rzeczy. Sama nic przez dzień cały w usta nie wzięła, i tylko z twarzą okrytą czerwonymi plamami myślała nad czemś i coś w głowie swojej układała. O zmroku zarzuciła chustkę na głowę i na miasto wybiegła. Skierowała się ku domostwu Chlewińskich, ale gdy przed bramą jego stanęła, nogi jej zadrżały, że aż na drewnianej ławeczce, dla nocnego stróża tam umieszczonej usiąść musiała. Posiedziała chwilę, poczem wstała i na dziedziniec weszła. W głębi dziedzińca stał niski, ale dość duży dom drewniany, który Chlewińscy wynajmowali lokatorom różnym, spory dochód z tego mając. Sami mieszkali w niewielkiej oficynie, naprzeciw której stały drwalnie i chlewki, z przyczepioną do nich drugą i także komuś wynajętą oficynką. Kilka tedy rodzin mieszkało na tym dziedzińcu, porządnym parkanem i ładnie pomalowaną bramą oddzielonym od ulicy miasta, nienależącej wprawdzie do głównych, ale dość ludnej i często turkoczącej kołami przejeżdżających dorożek. W bawialnym pokoju Chlewińskich, przyozdobionym ka-

napa, gięte krzeselka stały rzędem pod jedną ścianą, pod drugą politurowaną komodę okrywały różne tania graciki, wśród których sterczały dwie świece stearynowe w posrebrzanych lichtarzach. Muslinowe firanki wisiały u dwu niewielkich okien, zastawionych zielonemi roślinami, papierowe obicie w czerwone centki okrywało ściany, podłoga była pomalowana na czerwono i bardzo czysta. Przed kanapą, dokoła stołu, na którym kipiał samowar i paliła się lampa, cała rodzina majstra piła herbatę, jedząc przytem razowy chleb z masłem i wędzoną kiełbasę. Gospodarz domu bez surduta, w kamizelce i rękawach kolorowej koszuli, siedział rozparty na kanapie, majstrowa stała przy samowarze, jedna ze starszych dziewczyn poila herbatą najmłodszego braciszka, druga zatapiała się w jakiejś szydełkowej robocie, chłopcy w gimnazyalnych mundurkach siedzieli z obu stron ojca, pożerając ogromne porcje jedzenia; Zośka trzymała na kolanach małą siostrzyczkę, która z kolei miała na swoich kolanach tłustego kota. Dość więc, spokojnie i ludno było w tej skromniutej bawialni i razem jadalni; przez okna, nie zasłonięte jeszcze okienicami, ukazywał się dziedziniec, zieleńający już marcową trawą i obłany światłem wschodzącego księżyca.

Jednak oprócz osób, licznem kołem otaczających stół z samowarem i lampą, była w pokoju tym jedna jeszcze kobieta, cień raczej kobiety, pokorny, cichy, zdala od światła lampy u pieca stojący. Dawniej, gdy wchodziła tu o tej porze, pani majstrowa witała ją uprzejmem kiwaniem głowy, pan majster zaczynał grubo trochę, ale przyjaźnie z niej żartować, panienki szczebiotały jak sikorki, a Zośka obejmowała ją nawet za szyję i w oba policzki ucałowywała. Zapraszano ją do stołu i częstowano herbatą, a ona, dumna i wdzięczna, zaczynała gadać, gadać i śmiać się z całego swego uszczęśliwionego serca. Teraz zaledwie o kilka kroków od drzwi

postąpić ośmieliła się i nikt jej do zbliżenia się nie zapraszał. Stała przy piecu i zcicha przemówiła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Wszyscy odpowiedzieli: na wieki! i zdaleka, obojętnie głowami kiwnęli. Chlewiński, na kanapie rozpostarty, zachmurzył się i zapytał:

— A czego chcecie?

Zcicha, pokornym i błagalnym głosem prośbę swą wypowiedziała i choć majster z niechętnie wydujących ust wnet wyrzucił porywcza, odmowną odpowiedź, nie odchodziła. Stała jak w ziemię wryta, oczyma dokoła pokoju wodząc. Pokój ten budził w niej dziś większe, niż kiedykolwiek, zachwycenie.

— Ot dostatek—myślała—ot spokojność święta, ot raj! A ja myślała, że i on kiedyś taki dom i taki dostatek, i takie wszystko będzie miał.

Usta jej wykrzywiły się jakby do płaczu, cicho załamała ręce i powoli, z trudnością, mówić znów zaczęła:

— Pani! Niech pan zlituje się! jemu nikt roboty nie da!...

— A niech go dyabli wezmą!—sarknął majster—co mnie do tego? ja go znać nie chcę!

W pokoju zapanowało ciężkie milczenie. Wszystkim snadź obecność Romanowej przykreść sprawiała; nikt przecież zgnębionej kobiety obrażać nie chciał. Ona, stojąc niewzruszenie, znów oczyma po pokoju wodziła.

— Bożeż mój! — myślała — jednym ludziom na świecie tak, a drugim inaczej... Mnie zdawało się, że i ja kiedyś z nim razem w takim domu żyć będę...

I znów przemówiła:

— Pani! żeby jego ojciec z grobu teraz wstał, położyłby się napowrót do trumny.

Nikt nie odpowiedział. Majster niemiłosiernie targał swój srebrny łańcuch, majstrowa głośno sapała,

jedna z panienek, podniósłszy twarz z nad roboty, litosny wzrok na kobietę pod piecem stojącą zwróciła, gimnazyści otwierali szeroko okrągłe swe oczy, Zośka pochyliła nisko głowę i czoło ukryła w puszystej sierści kota. Kobieta przemówiła znów:

— Pani! czyż to już tak wszystko skończy się... On pić przestanie... jak Bóg jest na niebie przestanie. Już ja nie taka, żebym jemu łatwo wierzyła, a wiem, że teraz to już przestanie. Żeby tylko on u pana robotę dostał! On jednego pana kocha i wstydzi się... Taki robotnik... Niech pan zlituje się...

Taki robotnik! Była to słaba strona Chlewińskiego. Rzeczywiście, taki robotnik! Mocniej jeszcze targnął łańcuch swój, czuprynę dłonią rozczochrał. Chlewińska półgłosem do męża przemówiła:

— Żeby tylko do Zośki pretensyi nie miał... to możeby można było...

Ale w tej chwili Zośka z kolan swych siostrzyczkę wraz z kotem zsunęła, z krzesła zerwała się i z twarzą zalaną łzami przed ojcem na klęczki upadła. Ręce jego i kolana całując, głosem od płaczu przerywanym mówiła:

— Tatku! niech tatko zlituje się! On może poprawi się... tatku, to okropność, żeby on tak już zapadł.. On pewno, tatku, pewno poprawi się... Niech tatko pozwoli jemu przyjść do nas... niech tatko spróbuje...

Aż zanosila się dziewczyna od płaczu, a była to ulubienica całej rodziny. Na lzy jej nikt tu obojętnie patrzeć nie mógł. Starsze siostry popodnosiły głowy i na ojca patrzyły, majstrowa jednego z gimnazyastów, ulubienca ojcowskiego, w ramię pchnęła.

— Nuże, Ignaś, proś ojca!... — a sama nalewała szklankę herbaty, z zamiarem podania jej tej niešťczęsnej... tej matce...

— Ej, tatku! — zawołał srebrnym głosem dwunastoletni uczeń — czy to tatko Pan Bóg, żeby mógł

wiedzieć, czy kto poprawi się, czy nie poprawi! A jak przez tatkę człowiek przepadnie, to co będzie? A? I Zośka...

Otóżto. Najważniejszą rzeczą było to, że Zośka płakała i że łajdaczyna ten zdatnym był do roboty, jak sam dyabeł. Ignaś miał rację. Nie darmo był on pierwszym uczniem w swej klasie. Czy to kto Panem Bogiem jest, aby mógł wiedzieć, co z kim jeszcze będzie!

Podniósł pan majster głowę, córkę do piersi przygarnął i na kobietę stojącą u pieca daleko już łaskawszem okiem patrzył. Namyślał się jeszcze, nie mówił nic, ale po sposobie, w jaki poruszał wąsami, poznać było można, że rozrzewnionym czuł się.

Nagle wszyscy podskoczyli na krzesłach swych, majstrowa krzyknęła: Jezus Marya! a majster: co to jest! Zośka zerwała się na równe nogi z twarzą bladą jak płótno, a stojąca u pieca kobieta drgnęła od stóp do głowy, rękoma chwyciła się za głowę i z pokoju wypadła. Przyczyną tego powszechnego przestrawienia było gwałtowne zadzwonienie szyby, rozbitej kamieniem, który na środku pokoju upadł. Zarazem gruby, ochryply głos na dziedzińcu krzyczeć zaczął:

— Zośkę mi dajcie! czy słyszycie, wy...

I z ust człowieka w obdartem odzieniu, zataczającego się po dziedzińcu, posypał się na majstra i jego rodzinę grad obelżywych, karczemnych wyrazów.

— Kiedy ja ją kocham — krzyczał — to wy jej przedemną chować nie śmieście! Ja taki sobie pan jak i drugi! Dziewczynę wezmę i po wszystkim, a kto mnie sprzeciwiać się będzie, *ubiję*, ot tak!

Przy ostatnich wyrazach drugi kamień w okno uderzył i druga szyba rozbiła się z brzękiem.

— Zośka! — krzyczał pijak — chodź tu do mnie! Ja twój kochanek, a ty moja kochanka! Jak nie

przyjdiesz, wszystkie okna powybijam, drzwi wylamię, ojca i matkę twoją *nbiję*... a ciebie wezmę!

I znów szyba brzęknęła pod uderzeniem kamienia.

W domu majstra zrobił się popłoch nieopisany.

Zośkę siostry w najodleglejszym od dziedzińca pokoiku chowały, sobą ją zasłaniając, służąca i dzieci płakały, majster z żelaznym kruczkiem do rozgrzebywania węgla ku drzwiom się porywał, wstrzymywany przez sapiącą strasznie i rozsłochaną żonę.

— Zabije cię kamieniem, albo ty go zabijesz tem żelazem i kryminał będzie!—obejmując męża ramionami, krzyczała.

Iгнаś wyskoczył z domu przez okno do ogrodu i pobiegł po policyantów.

Na dziedzińcu zaś zgromadzał się coraz większy tłum ludzi. Z głównego domu, z oficyny, z sąsiednich dziedzińców, hałasem i brzękiem tłuczonego szkła zwabieni, zbiegali się ludzie różnych płci, stanów i wieków. Przechodnie uliczni stawali przed otwartą bramą i przypatrywali się scenie, której szczegół każdy wyraźnie oświeślał blask księżyca. Wysoki człowiek, w podartej odzieży i bez czapki, z rozczochraną gęstwiną czarnych włosów, zataczał się tam, krzycząc, łajając, o dziewczynę jakąś wciąż upominając się i od czasu do czasu rzucając w okna kamienie, z kieszeni surduta wyjmowane. Dwaj policyanci ze szpadami u boków ująć go usiłowali, ale on opierał się im z siłą niepospolitą. Odpierał ich łokciami i oślepiał uderzeniami w twarz, a nogą odpychał kobietę, włóczącą się u stóp jego. Była to Romanowa, która z krzykiem okropnym do stóp mu upadła.

— Michałku! synku! zlituj się nademną, nieszczęśliwą! idź ztąd, idź, idź ztąd!

Kolana jego obejmowała. On zataczał się w różne strony dziedzińca, a ona za nim na klęczkach czołgała się, za kolana go chwytając, ramiona ku

niemu podnosząc, na Boga Przenajświętszego i na prochy ojca zaklinając, aby krzyczeń i bić szyby przestał i szedł ztąd sobie... gdziekolwiek już, gdziekolwiek, byle ztąd!... Potem sił jej już do mówienia zabrakło; pelznąć za nim i wciąż kolana jego obejmować usiłując, szeptała tylko, a raczej bez tchu syczała:

— Cicho, cicho, cicho! o Boże mój, Boże, cicho, synku, oj cicho!

Jeden z policyantów, pięścią pijaka na ziemię obalony, z trudnością dźwigał się z ziemi, gdy nagle koła powozu zatrzymały się przed bramą, ludzie rozstąpili się, na dziedziniec śpiesznie, choć z powagą wszedł człowiek w wojskowym ubraniu.

— Policmajster! pan policmajster! — zaszemrano w tłumie.

Przejeżdżający ulicą zobaczył tłum, usłyszał krzyki i jęki, wyskoczył z powozu, a teraz, ujrawszy w oficynie, którą zbliżka mijają, potłuczone szyby, podwładnych swych, borykających się z człowiekiem jakimś i jakąś kobietę z jękami na klęczkach pelzającą po dziedzińcu, donośnym głosem, na pijaka wskazując, zawołał:

— Związać!

— Co! — rozmachując rękoma i cofając się nieco, krzyknął pijak — mnie związać!

Romanowa zerwała się z ziemi i ramionami otoczyć go usiłowała.

— Synku, nie sprzeciwiaj się! — jęczała — synku, na rany Chrystusa Pana, milcz, wszak to generał, czy słyszysz? sam pan generał!

Jeden jeszcze kamień świsnął w powietrzu, ale tym razem ugodził nie w szybę żadną, tylko w ramię wysokiego i urzędową czynność swą pełniącego urzędnika. W parę minut potem skrępowano mu ręce i cała gromada *dziesiętników* wiodła go do policyjnego biura, a wkrótce powozem policmajstra, w celu tym wysłanym, nadjeżdżał sędzia śledczy.

Godzina nie upłynęła, księżyc oświetlał jeszcze ulice miasta, gdy skrępowanego więźnia prowadzono ku miejscowej turmie. Przy dokonywanem w biurze policyjnym badaniu zrozumiał on, co uczynił, co się z nim stało, co go czekało i wytrzeźwiał całkiem. Przed wejściem w drzwi więzienne obejrzał się i długiem, żalosem spojrzeniem ogarnął kobietę, która z chustką zsuniętą na plecy i głową odkrytą, jak grób milcząca, szła przez całe miasto za gromadą wiodących go policyantów. Popatrzył na nią, pokiwał głową i, łagodny już jak baranek, wszedł do więzienia, a ona na ciężkie i żelaztmem skrzypiące drzwi, które zamknęły się za nim, rzuciła się z takim rykiem płaczu, że nawet pozostali na ulicy policyjanci, litością zdjęci, długo odpychać ją od nich nie śmieli.

W kilka miesięcy potem, na mocy odnośnych artykułów prawa, za czynną obelgę, wyrządzoną wysokiemu urzędnikowi w czasie pełnienia przezeń urzędowych czynności, Michałka wysłano do rot aresztanckich na lat pięć.

Jednak i po upływie tych lat pięciu nie wrócił on już do Ongrodu. Co się z nim stało, nie wiadomo. Zjadł go zapewne całkiem wilk miejski.

Romanową bardzo nieprędko potem raz jeszcze widziałam. Siedziała w kruchcie kościelnej na ceglanej podłodze, z czerwonymi piętami, wyglądającymi ze szmat, któremi owinięte były jej nogi, z grubym kijem, u nóg leżącym, w łachmanach. Zupełnie podobna była do innych starych żebraczek, które tam zazwyczaj przesiadywały, i tem tylko wyróżniała się pomiędzy niemi, że oczy jej z za opadających na nie pasem białych włosów, wyglądały jak dwie krwawiące się rany. Wypalił je ogień kuchenny i wygryzły łyzy. Zresztą w kruchcie kościelnej mroz ją piekł, wilgoć dławiała, koleżanki - żebraczki

mi ze szmat, któremi owinięte były jej nogi, z grubym kijem, u nóg leżącym, w łachmanach. Zupełnie podobna była do innych starych żebraczek, które tam zazwyczaj przesiadywały, i tem tylko wyróżniała się pomiędzy nimi, że oczy jej z za opadających na nie pasem białych włosów, wyglądały jak dwie krwawiące się rany. Wypalił je ogień kuchenny i wygryzły łyzy. Zresztą w kruchcie kościelnej mróz ją piekł, wilgoć dławila, koleżanki - żebraczki pięściami w boki, a kijami w pokaleczone nogi ją uderzały...

Hej! hej! jakże daleko za nią pozostała ta droga pocztowa,, po której w dnie zimowe jeździła, gdy słońce świeciło, pole było białe, niebo błękitne, dzwonek dzwonił, konie po śniegu biegły czach-czach, czach czach, a mąż. jak młody dąb na saniach stojący, zwracał się ku niej z troskliwem pytaniem: „Ewka! czy ci nie zimno?

Tadeusz.

Chwedora, żona parobka Klemensa, zamiotła glinianą podłogę izby, śmiecie zgarnęła do kąta, nie myśląc wcale o wyrzuceniu ich za próg, obierziny kartofli wsypała do cebrzyka, napelnionego pomyjami, a umieściwszy pod ławą to pożywienie, przeznaczone dla krowy, drewnianą deską zasunęła otwór pieca, w którym dwa spore garnki zawierały zgotowany już obiad dla niej i dla jej rodziny.

Ale Chwedora wnet musiała wyjść z chaty, bo najęła się na dzień ten do pielenia dworskich ogrodów warzywnych, a mąż jej, Klemens, od godziny już w pobliżu dworu orał ziemię pod zasiew jesienny.

Była to chłopka młoda, wysoka, silna, ze skórą twarzy i rąk grubą i ciemną, lecz w tej porze dnia czystą jeszcze, bo tylko co po wodę poszedłszy, umyła się pod studnią. Przez tę grubą i ciemną skórę jej policzków przebijały się silne rumieńce; z nizkiem czołem, małym zadartym nosem i grubemi wargami, jako też z szerokimi bary i dużemi płaskimi stopy—nie była wcale piękna, lecz były z niej zdrowie, siła i hoźść. Strój jej składał się z krótkiej i pstrej spódnicy, z szarawej grubej koszuli i pasiastego szerokiego fartucha, przewiązanego kilkakrotnie stan okalającą, w domu z różnobarwnych nici utkana, sztywną taśmą. U szyi jej błyszczał brązowy, poświęcony medalik, a głowę okrywała chustka w czerwone kwiaty, tak z tyłu czaszki zawiązana,

że nad czołem widać było dwa szerokie pasma włosów gęstych, czarnych, ale zrudziałych i bez połysku.

Gdy na czas nieobecności swej urządziła już swe gospodarstwo, pochyliła się nad stojącymi na ziemi glinianymi naczyniami i z jednego z nich nalewając mleko do małego garnka, wołać zaczęła:

— Tadeusz! Tadeusz!

Trudno było zgadnąć, do kogo stosowało się to wołanie, bo napozór nikogo, prócz niej, w izbie nie było. Ale był to tylko pozór. Po chwili na szerokim tapczanie, służącym tu za łóżka, pod *radnem*, czyli wielkim kawałem szarego płótna, okrywającym siennik i sianem wypchaną poduszkę, poruszać się zaczęła żywa jak^{oś} istota. Zrazu obecność jej zdradzały tylko szelesty poruszanego siana, oraz wzdymanie się i opadanie grubych zgieć radna.

Potem nad tapczaniem i radnem wzbił się czarny rój niezliczonych brzęczących much, a z pod płótna wydobywać się zaczęły dwie małe, ciemne stopki i dwie również małe, okrągłe rączki, aż rąbek radna uchylił się całkiem i w spływającym na tapczan wązkim pasie słonecznego światła ukazało się dziecko, którego pierwszym gestem było zatopienie obu rąk w rozczochranych włosach, a pierwszym krzykiem, wpół płaczkliwym, wpół śmiejącym się:

— Mamo!

Gdyby jej był zaraz przy sobie nie zobaczył, byłby najpewniej wrzasnął płaczem na całą izbę; ponieważ jednak szła właśnie ku niemu z garnuszkiem w ręce, zdecydował się na śmiech głośny i radosny.

— Dajcie, mamo! dajcie! dajcie!

W słonecznym świetle i brzęku much, których mnóstwo na nim i nad nim latało, siedział na poduszce wypchanej sianem, utopiony w grubych zwojach radna. Czupryнка jego jasna jak len i bardzo rozczochrana, jeżyła się w strony wszelkie, oczy

świeciły jak turkusy, a pływały jeszcze we mgle rozspania, usta ponsowe wierzchy warg miały czarne, jak u murzyna. Wczoraj, dla rozrywki zapewne, tłustą, Ignącą ziemią umalował sobie na czarno wargi, brodę i koniec nosa. Policzki dziwnym trafem zostały nietkniętymi i z pod ogorzeliń swej, okrągłe i pulchne, tryskały rumieńcem różowym jak zorza.

Urodził się „na Gromniczną” i miał dwa lata i dwadzieścia dwa tygodnie wieku swego. Od roku przeszło nie ssał już piersi matczynej, natomiast co dziennie, jak w tej chwili, przypinał się z całej mocy do brzegu garnka, który matka przy ustach mu trzymała i pił mleko powoli, z lubością, z rozstawionymi krótkimi palcami rąk, z wydobytym z pod radna nagiem kolanem i z głuchem postękiwaniem, objawiającem doskonale zadowolenie i głęboko uczowaną błogość.

Był to Tadeusz.

Wypiwszy mleko, miał widoczny zamiar zanurzyć się znów z głową w grube fale radna, ale Chwedora krzyknęła nań, aby natychmiast wstawał, bo jeżeli nie, to wybije go *dziaha*.

Wprawdzie, gdy tak surowym głosem krzyczała, w siwych jej oczach migotała pieszczota, a kąty ust drgały uśmiechem; niemniej przecież Tadeusz w mgnieniu oka zsunął się z tapczana i wyskoczył na środek izby, albowiem „dziaha” była jedyną, znaną mu dotąd klęską ziemskiego żywota.

Narzędzie to przedstawiało się przecież w dość wdzięcznej postaci owej różnobarwnej i sztywnej taśmy, która po kilkakroć owijała grubą kibić jego matki; lecz gdy tylko Chwedora rozwiązywać ją i odwijać zaczynała, Tadeusz gotów był wnet uczynić wszystko, czegokolwiekby od niego żądano.

Bosy tedy i w krótkiej koszuli, rozczochrany i z uczernionym końcem brody i nosa, wyskakiwał

on teraz po izbie, rozpędzając dokoła siebie roje much i zabiegając wciąż przed matkę, która starannie nakrywała garnki z mlekiem i z dużego bochna krajala małą porcyę chleba. Chowając porcyę tę za koszulę, rzekła:

— Nu! *chadziem*, synku! ¹⁾.

— Do taty?—zapytał.

— Do sadu—odpowiedziała.

Brała go z sobą zawsze do żniwa i pielenia. Cóż z nim uczynić miała? W chacie pozostawiać? Musiała przecież izbę zamknąć, a dziecko więzić trudno. Na dziedziniec folwarczny puścić go samego, aby jak piesek bez dozoru czułgał się po pokrzywach, żal jej było.

Więc zabierała go z sobą; ale o robieniu mu jakiegokolwiek toalety przy wyprowadzaniu go w świat szeroki ani pomyślała. Toaleta Tadeusza dokonywała się najregularniej w świecie, raz na tydzień, w poranek niedzielny i wtedy już nadzwyczaj energicznie, starannie, z pomocą balii pełnej wody i ogromnego grzebienia, nie bez obustronnych krzyków syna i matki, a czasem i interwencji *dziahy*.

Dziś zaś był piątek, więc czystość tak koszuli, jak twarzy i całego ciała Tadeusza, rozpoczynała szósty dzień swego istnienia i naprawdę już wcale nie istniała.

Nic to. Czepiając się spódnicy matczynej, biegł on przez dziedziniec folwarczny, dziwnie drepcząc małemi stopkami, aby dorównać szerokiemu krokowi matki.

Perlita rosa błyszczala jeszcze na krzewach i trawie folwarcznego dziedzińca, który, pomimo zamieszkujących go ptaków i zwierząt, pogrążony był w ciszy i wyglądał pusto.

Wszyscy ludzie wyszli już ztamtąd do roboty.

¹⁾ *Chadziem*—pójdźmy, w narzeczu białoruskiem.

Szerokie wrota stodoły, stajen i obór szczelnie były pozamykane, tu i owdzie zaledwie nad jakim kominem wzbijał się słupem dym, złoty od słońca, albo jakaś pozostała w domu gospodyni, w progu stanawszy, na trawę i rosę buchnęła z balii strugę pomyj, czy mydlin, lub donośnie zawołała kury, aby im rzucić wymiecioną gdzieś z kąta garść przeszlorocznego pośladu.

Prędko idąc, Chwedora ozwała się:

— Bóg miłosierny piękną daje pogodę!

Tadeusz nie odpowiedział nic na tę uwagę matki, bo nie myślał wcale o tem, że pogoda była piękną. On tylko czuł ją w sobie. Całe jego dziecińskie ciało pojąc rozkoszą, wzbierała w nim ona żądza życia i ruchu. Za bramą szli przez chwilę drogą wysadzoną topolami, aż stanęli oboje i spoważnieli nagle.

Na twarzy Tadeusza spoważnienie to odmowało się przez nadzwyczajne wytrzeszczenie oczu i szerokie otworzenie się na czarno umalowanych ust. Ale twarz matki jego wyrażała pokorę i pobożność.

Stali u stóp kapliczki, złożonej z wysokiego podmurowania i wznoszącej się na podmurowaniu drewnianej niszy. U brzegu niszy, wśród bukietów ze sztucznych i świeżych kwiatów, stał posąg Najświętszej Panny, z drzewa niezgrabnie wyrzeźbiony, z jaskrawo pomalowaną twarzą, bardzo stary. Nad głową posągu połyskiwała korona z posrebrzanej blachy, a od szyi aż do stóp spływał mu płaszcz z czerwonego aksamitu, pozłocistą taśmą dokoła obszyty.

Kapliczka ta była wysoką i w ten sposób zbudowaną, że ku drodze zwracała się profilem, a otworem niszy ku dworowi, nad którym z wysokości swej panowała, na każdym niemal punkcie jego widzialną będąc.

Chwedora z pobożnie schyloną głową przeże-

gnała się trzy razy i coś zcicha poszeptała, potem, schyliwszy się, wzięła Tadeusza na ręce i podniosła go ku niszy.

— Bozia! — trwożnie jakoś wymówiło dziecko.

— Aha! — odpowiedziała matka — przeżegnaj się, synku.

Ale że sam jeszczeby tego uczynić nie potrafił, wzięła rękę jego w swoją i przenosząc ją ze spocznego czoła na odkrytą pierś synka, ze skrucną i prośbą w głosie mówiła:

— W imię Ojca i Syna...

Przez parę minut stali oboje ze wzrokiem utkwionym w posąg. W oczach dziecka malowała się ciekawość, połączona z zadziwieniem; na ogorzałą, ciemną twarz Chwedory wybił się wyraz pokornej, gorącej prośby, nappełnił oczy jej wzniesione w górę i głęboką zmarszczką przerznął niskie czoło.

Podnosiła wciąż dziecko wysoko, najwyżej, jak tylko mogła i nie mówiąc nic, niewyraźną może myślą błagała Najświętszą, aby je miała w swojej opiece.

Jedynem było, po kilku latach małżeństwa przyszło na świat jak anioł pokoju, bo Klemens od kąd miał syna, szanować zaczął jego matkę i nigdy już pomiędzy nimi ani kłótni nie bywało, ani nawet trwogi o przyszłość. Ojciec dla miłości dziecka za przysięgł, że wódki ustami nie dotknie i dotrzymał przysięgi.

Chłopi zazwyczaj kochają bardzo swe dzieci, szczególnie zaś i najbardziej synów.

Wtem, gdzieś w pobliżu, rozległ się głos mężki.

— Hooo! hooo! nuże! hooo!

Wołanie to płynęło cichem, złotem powietrzem, basową, przeciąglą nutą. Chwedora oderwała wzrok od niszy i spojrzała na pole. W pobliżu płotu, rozdzielającego ogródki warzywne z polem, wysoki, silny chłop, naprzód nieco podany, szedł za pługiem,

ciągniętym przez parę koni i basowo, przeciągle, trochę ponuro wołał na konie:

— Hooo! hooo! nuże! hooo!

Matka i syn poznali odrazu Klemensa. Tadeusz zaczął wierzgać, zrywać się i wrzeszczeć:

— Do taty! do taty! do taty!

— Nie można, synku! nam trzeba do sadu!

Jeszcze tych słów nie domówiła, gdy twarz dziecka, jak ziemia ulewnym deszczem, zalaną została łzami. Tylko co szczęśliwy był i wesoly, jak młode źrebię pośród bujnej łąki, teraz płakał ulewą łez, a wrzeszczał tak, że aż wróble na topolach przelekły się i ze strachu rozszczebiotały się przeraźliwie. Okropnie, namiętnie zachciało mu się taty. Jednak Chwedora, dla poskromienia zachcianki syna, nie udała się tym razem do argumentu *dziahy*. Owszem, szczęśliwy uśmiech rozwarł grube jej wargi i przycisnęła do piersi wrzeszczące i wierzgające dziecko.

— *Dobre już, dobre!* — mówiła — *oj ty durniu maleńki!* Zawołam ja do ciebie taty, poczekaj zawołałam! Niechaj do synka przyjdzie!

Stanąwszy przy płocie warzywnego ogrodu, donośnie zawołała:

— Klemens! hej, Klemens!

Kilkanaście tylko zagonów dzieliło ją od orzącego chłopca, który podniósł głowę i również donośnie zawołał:

— Chwedora? a *czego chcesz?* (czego chcesz).

-- *Chadzi!* — wołała, jednym ramieniem przytrzymując u piersi dziecko, a drugim dając mężowi wzywające znaki — *chadzi tutki, chutko!* (prędko) *chadzi!*

Konie pośród zagona zatrzymał i ciężkim, szerokim krokiem przebywszy małą przestrzeń, stanął z przeciwnej strony plotu.

— *Czego?*—zapytał.

Lecz Chwedora odpowiedzieć jeszcze nie zdążyła, gdy Tadeusz, wyrwawszy się z jej objęcia, no-

gami o płot zaczepiony, rękami chwycił koszulę ojca. Akrobatyczne to ćwiczenie nie odbyło się bez spowodowania znacznych nieporządków w skromnej toalecie malca. Pomiedzy dwojgiem wysokich i silnych ludzi nagie ciało dziecinne przez chwilę świeciło na słońcu jak posążek z połączanego bronzu. Klemens zdjął dziecko z plotu, wziął je w żylaste ramiona i z pochyloną nieco głową patrzył mu w twarz. Rozszczębiotany, z uradowanemi gestami, Tadeusz opowiadał ojcu, że krówka Białuśka poszła na paszę, kiedy jeszcze on spał, a kundel Rubin tak czekał na jakiegoś żebraka, tak czekał, że aż pan *wekomon...* pan *wekomon...* i zupełnie już nie wiedział, coby takiego powiedzieć chciał o panu ekonomie, natychmiast pytać zaczął, czy go także dziś na konia posadzi, tak, jak to był uczynił „jutro”, nie „wczoraj”, nie! ani jutro, ani wczoraj, tylko za „dwa tygodnie...”

Patrząc na syna, Klemens zapytał żonę:

— *Czego klikatu?* (czego wołałaś).

— Ot! czego? napał się do tatka tak, że niech Pan Bóg bron! Ani mnie jego na rękę utrzymać, ani na ziemię puścić, bo sam w pole polecą. To i zawołałam, żebyś ty tu przyszedł. Co mnie z nim robić! Paskudnik taki! *szatun!* (swawolnik).

— W *szkórę* jemu zato, że taki... — zamruczał chłop, ale szczególnem przeciwieństwem z temi słowami żylaste ramię mocno cisnęło dziecię do widzialnej z za rozwartej koszuli kosmatej piersi a wśród twarzy, kosmatej także od szorstkiego, gęstego zarostu, w szerokim, błogim uśmiechu błysnęły, dwa rzędy śnieżnych zębów. Z drugiej strony plotu także uśmiech rozsunął grube, czerwone policzki kobiece.

Mąż i żona mieli piękne, zdrowe, białe zęby. Nad dzieckiem, które pomiędzy nimi szamotało się i szczebiotało, spojrzenia ich spotkały się z sobą przyjaźnie i wesoło. Jednakże Klemens miewał zwy-

kle powierzchowność trochę ponurą. Zasmucało go to, że własnej ziemi nie miał i po dworach za parobka służyć musiał.

Miał też w przeszłości swej nieszczęścia i grzechy, które, gdy sobie przypominał, wzdychał, albo w złość wpadał. Dużo pieniędzy stracił był na przekłątą wódkę i ze stryjecznym bratem przegrał proces o trzy morgi gruntu. Teraz przecież nikt nie domyśliłby się w nim tych ciężarów i smutków życia. Wyciągnął nad płotem ręce, żonie dziecko oddając i pod gęstym, szerokim wąsem błyskając wciąż w uśmiechu białymi zębami, gniewnie niby mówił:

— Bóg wie, poco tu przyszli oboje i jeszcze człowieka od roboty odwołują! Czy ja tu z wami cały dzień baraszkować będę? Na, masz! zabieraj sobie tego paskudnika i do roboty ruszaj!

Calus tak głośny, jak wystrzał małego pistoletu, rozległ się nad płotem, a na tłustym, ogorzałym karku malca, tuż pod jasnymi jego włosami, od energicznego przyciśnięcia ust ojcowskich powstała czerwona plama. Klemens odwrócił się z wolna i ciężko stąpając, dążył ku opuszczonemu pługowi.

W połowie drogi obejrzał się i dostrzegł jeszcze czerwoną chustkę Chwedory, migocącą w coraz gęstszej zieleni ogrodu. Tadeusza nie zobaczył, bo malce na własnych już nogach przedzierał się u boku matki przez zielska zarastające ogrodową miedzę, ale nad gąszcz zielony wzbil się i do ucha chłopca doleciał głos dziecka, cienki, przenikliwy, prawiący o czemś nieustannie i w tej letniej pogodzie wydający się nieskończoną, przenikliwą pieśnią ptaszcą.

Rozległy i z urodzajności swej słynny ten ogród warzywny — z dwu stron swych stykał się z polem i tą drogą, przy której wznosiła się święta kapliczka, a dwoma innemi—słał się do stóp odwiecznych rozłożystych lip, które tam stały długimi rzędami i teraz całe w pachnącym kwieciu, jakby tysiącem przy-

tlumionych harf brzęczały rojami latających nad nimi pszczoł.

Tam, gdzie przeredziły się gałęzie lip, widać było sad owocowy, pocięty w regularne kwadraty, pełne drzew złoących się od dojrzewających owoców, porysowany w długie szeregi krzewów, czerwonych już od jagód.

Z drugiej strony, lipy rozstępowały się szeroko i jak na dłoni widzialny odkrywał się ogród spacerowy, okryty gładkim trawnikiem i siecią krętych ścieżyn, połyskujących białymi mostkami, łączącymi brzegi wązkich kanałów, których woda tu i owdzie rzucała na trawniki nieregularne tafle kryształu. Tam, w małych cienistych gajach, mieszały się różne odcienia zieloności różnych gatunków drzew i różne barwy okrytych kwiatami krzewów.

Nad murawą i wodą powietrze napelniały niezliczone roje białych i blado-żółtych motyli; w głębi zaś tego pięknego miejsca stał dom jednopiętrowy, ale na podmurowaniu swem wysoki, tak biały, że w słońcu aż srebrny, z rzędem dużych pootwieranych naościę okien i dużym gankiem, ocienionym gęstwiną pnących się i zwikłanych powojów.

Kapliczka z wysoko umieszczoną niszą i ten ganek obszerny i cienisty znajdowały się wprost naprzeciw siebie i nad rozległą przestrzenią, patrzyły na siebie przez szerokie okno, utworzone w zerwanym szeregu lip.

Do południa brakowało już tylko jednej godziny; na warzywny ogród spadał skwar lipcowy, ciężki i pałący. Niemniej kipiało tam gorące i przyśpieszone życie roślinne i ludzkie. Nad zajmującymi obszerną przestrzeń zagonami nisko rosnących warzyw pochylało się ze dwadzieścia kobiet, których głowy w jaskrawych chustkach wyglądały na słońcu jak bajecznej wielkości piwonie. Z pomiędzy rozłożystych buraków, delikatnie wyciętych liści marchwi, czołgających się łodyg ogórków, wyrzywały

one pokrzywy, lebiody, mokrzyce, morchewnik, psiemięty i pelno tego zielska nabierając w pasiaste fartuchy, zanosily je w jeden z rogów ogrodu, gdzie go już wzbierala się duża góra. Wyrwanie i odnoszenie zielska odbywało się żwawo i w zupełnem prawie milczeniu, niemniej, w cieniu lip i na małym podniesieniu gruntu umieszczony nadzorca młody i rześki chłopak, noszący tytuł *pana namiestnika*, poczuwał się do obowiązku gromienia bab i wołania na nie o pośpiech i gorliwość.

Czynił to bez gniewu, bo i nie było zaco się gniewać; ale gdy tylko dostrzegł, że dwie głowy zbliżyły się do siebie w celu poszeptania o czemś, czy dwie ręce opadły na pasiasty fartuch, wyciągał ramię ubrane w szary płócienny rękaw i donośnie wołał:

— *Dzieuczata! ej dzieuczata!* (dziewczęta) nie próżnujcie! Czas darmo tracie! Toż *heto hrech!* (to grzech).— Albo:

— *Baby! ej, baby!* Nie rozpuszczajcie języków! Czy wam nie wstyd! Pieniądze weźmiecie darmo! toż *heto hrech!*

Myślałby kto, że mu wiele zależało na zbawieniu dusz tych kobiet, bo wciąż je argumentem jedynym do gorliwości napędzał.

Ale na te głowy, wyglądające w słońcu jak bajecznej wielkości piwonie, znać ten argument działał skutecznie, bo twarze chłopka oblewały się potem, brązowe i do kolan obnażone ich nogi żwawo biegały po miedzach, gąszcze zielone przeredzały się szybko i coraz więcej ciemnej ziemi ukazywało się na zagonach.

Chwedora pracowała tak jak inne, więcej może od innych, bo była niepospolicie silną i pracowitą. Kilka razy jednak, przerywała na chwilę swą pracę dla dwu przyczyn: najprzód, srebrzący się w słońcu dom, ze swym cieniowym gankiem, wydawał się jej pięknnością nad pięknosciami i nie mogła

sobie odmówić przyjemności rzucenia nań od czasu do czasu zachwyconego spojrzenia.

Przed godziną na cienistym ganku ukazały się trzy kobiece postacie i już tam pozostały. Z oddali nie można było rozróżnić ich rysów i dojrzeć, czem były zajęte, ale w ramach splecionych z gęstwiny powojów i w jasnych swych sukniach przypominały Chwedorze święte obrazki.

Raz, jedna z nich zbiegła po szerokich wschodach i ścinać zaczęła z wysokich krzewów jaskrawe georginie i drzewiaste róże. Suknia jej wydawała się złocistą, a twarz i ręce białemi, jakoby śnieg.

Lecz więcej jeszcze od tego obrazka pracę Chwedory przerywał Tadeusz.

Trzy razy już od przybycia w to miejsce wybuchal on wrzaskliwym płaczem. Chciało mu się do ojca, którego basowe wołania czasem go dolatywały, chciało mu się do matki, która wciąż z miejsca na miejsce przechodziła, wzbraniając mu za sobą wlażyć na zagony i Bóg wie czego jeszcze. Było mu zbyt gorąco, czy nudno, czy go w nagie nogi pokrzywy srodze piekły. Trzeci raz już wrzeszczeć zaczynał.

Za pierwszym razem Chwedora zaniósł mu kawał chleba i po głowie go głaskała.

— Cicho, synku, cicho! Kiedy będziesz grzesny, tatko dziś na konika posadzi!

Pocieszony, gębę sobie chlebem zapchawszy, umilkł.

Lecz gdy po raz drugi płacz jego rozszedł się po ogrodzie, Chwedora głowę z nad zagonu podniosła i krzyknęła:

— Cichoże! bo jak dam *dziaha!*

Umilkł znów.

Za trzecim razem daremnie przez kilka minut krzyczał.

Chwedora odnosiła zielsko na róg ogrodu i znaj-

dowała się daleko, pod lipami, *namiestnik* donośnie wołał:

— Baby! ej baby! a zwawiej! Wszak *heto hrech!*

Chwedora, ażeby grzechu nie popełnić, z wysoko podkasaną spodnicą zwawo na zagon wracała, a Tadeusz, bez obietnicy konika i *dziahy*, tym razem pocieszył się sam. Tak dalece pocieszył się, że aż zaśmiał się na całe swe małe gardło. Rozśmieszyła go tak bardzo sikorka z żółtym brzuszkiem i błękitnymi skrzydłami, która tuż przed nim wyfrunęła z krzaczastej leszczyny i zniknęła w gęstwinie maku.

Chłopca coś za tym ptaszkiem w mak pociągnęło. Wstał z trawy i prędko, prędko pobrnął pomiędzy wysokie lodygi, gęsto rosnące i u góry kwiatami wszelkich odcieni czerwoności przyozdobione. Za ledwie kilka kroków uczynił, sikora znów zerwała się z ziemi, zafurczała tuż przed nim i zniknęła. Zapewne wyleciała już z maku i ze znalezionym tam robaczkiem wracała do gniazda w krzaczastej leszczynie, ale on o tem nie wiedział. Zachciało mu się ją dogonić, a może tylko zobaczyć. Brnął więc dalej, łamiąc naokoło lodygi maku, ale nikt tego nie widział i nie słyszał. Był on tak małym i szelest sprawiał niewiele większy niż sikorka. Jednak podróż stawała się coraz więcej utrudnioną.

U spodu gęstwiny znalazły się zielska, które oplątywały drobne jego stopy.

Upadł, lecz nie krzyknął, tchu głośniejszego z siebie nie wydał, tak mu się chciało wynaleźć i znów spłoszyć sikorkę. Nie mogąc z powodu owego zielska i gęstości iść, zaczął pomiędzy niemi pełzać, a czynił to pocichu, z wytrzeszczonemi oczyma i ruchami głowy, czyniącemi go podobnym do kota, czatującego na mysz lub ptaka. Czasem z wysokich lodyg osypywały się kwiaty maku i chłodnemi, delikatnemi płatkami spadały mu na plecy i głowę.

Wtedy zatrzymywał się na klęczkach i rękoma wsparty o ziemię, z otwartymi usty patrzył w górę. Sikorki nie widział, ale zato mnóstwo czerwonych i różowych punkcików kołysało się nad nim, na tle nieba takim błękitnem, jakimi były patrzące w górę jego źrenice.

Nagle, gdy na kolanach i rękach pełznąc, jeszcze trochę przebył swej trudnej drogi, roztworzył się przed nim mur wysokich lodyg, a ukazała się obszerna i widna przestrzeń. Zarazem ogarnęły go mocne zapachy kopru, kminu, kolendru, pietruszki i olśniła żółtość mnóstwa kwiatów, z których jedne należały do ogórków, a drugie do nasturcyi. Nie wiadomo, jakim sposobem, było tam nawet parę wielkich krzaków nagietek. Słowem, żółtość taka, jakiej nigdy jeszcze nie widział. Olśniony, zerwał się na równe nogi i z wyciągniętymi rękoma biegł wprost ku nagietkom. Jak przed chwilą sikorki, tak teraz zachciało mu się nagietek. Byłby je zapewne rwał pełną garścią, ale o kilka kroków przed krzakiem stanął tak przelękniony, że do wrzaśnięcia zabrakło mu sił i czasu.

Przedmiot, który w nim taką trwogę obudził, był zarazem przedmiotem nadzwyczaj zajmującym. Składał on się z wysokiej tyki, u której wierzchołka czerniało kilka niewyraźnych łachmanów i jak strzępiaste ramiona, kołysały się dwie słomiane wiechy. Był to strach, wystawiony na wróble, ale Tadeusz nie znał jeszcze tego wojennego instrumentu ogrodników. Obie piastki, mocno ze strachu ściśnięte, przyciskając do obu policzków, stał chwilę, na kołyszące się wiechy słomiane patrzył, w widocznej niepewności, czy uciekać mu wypada, albo też szczególnemu zjawisku dłużej przyglądać się można. Złakł się strachu najpewniej więcej od wróbli, przeciw którym wzniesionym on został i które tak się już z nim oswoiły, że wielką chmurą i z przeraźliwemi krzy-

kami to wznosiły się nad owijającym mnóstwo tyczek cukrowym grochem, to znów nań opadały.

Krzyki ich były tak przeraźliwe i było ich tak wiele, że jakkolwiek Tadeusz zupełnie był oznajmiony z tym gatunkiem ptaków i nawet wiedział, że nazywają się one *worobije*, to jednak, ponieważ nigdy aż tyle razem ich nie widział, odwróciły one mu uwagę od wysokiej tyki ze słomianym strachem.

Caluteńki wskazujący palec jednak z rąk zatópił w otwartych ustach i patrząc na latające, krzyczące i groch objadające wróble, zdawał się coś głęboko rozważać.

Wyraz zamyślenia okrył mu twarz, która już teraz od łez, zmieszanych z piaskiem, nie miała ani jednego miejsca, któreby nie było szarem albo czarnem.

Śród tych gęstych plam i rysunków widać było tylko trochę rumieńców na policzkach, brzegi warg ponsowe i błękitne źrenice, bardzo zamyślane. Długo z ust palca nie wyjmując, dumał. Cóż? Kiedy wróble mogą latać około tego stracha, czemużby on przelecieć nie mógł? Zielone strąki grochu są bardzo smaczne. Wiedział o tem z doświadczenia, bo mu raz ojciec garść z pola przyniósł. Oho! takich rzeczy nie zapomina się nigdy! Pamiętał dobrze, jakito był smaczny ten groch. Tutaj niektóre strąki wisiały wysoko, ale niektóre zupełnie nisko. „Nie, polecę!”

I puścił się rozorami przez kopr, kmin, kolen-der, pietruszkę, ogórki, nasturcyę... Ale za dużo tu było wszystkiego, aby mógł „lecieć”. Zagony były pełne, a rozory wąskie i zarosłe zielskiem. Zamiast lecieć, szedł, czasem padał, czasem pełzył. Doszedł jednak i w chwili właśnie, gdy chmura wróbli z krzykiem się nad wierzchołki tyczek uniosła, on lał spodem, tu i owdzie zrywając zielone strąki i chciwie potem niosąc je do ust.

Znajdował się już teraz daleko od pielących kobiet. Rozdzielała go z niemi znaczna przestrzeń

i ukrywała ściana maku, gęstwina białych kminów i żółtych koprów, наконец cały las grochu i fasoli. Albowiem za grochem rosła fasola, także na tyczkach, tylko, że później od grochu rodząca owoce, teraz dopiero kwitła czerwono, różowo i biało. Wróble tam nie było, bo ziarn nie było, i Tadeusz także spostrzegł wkrótce, że już wyszedł z grochowego raj.

Tyle jednak zjadł strąków, że było mu dosyć, a czując jeszcze na podniebieniu słodkawy ich smak, czuł się też bardzo wesołym.

Fasola sadzona była znacznie rzadziej niż groch, to też z łatwością i nawet podskakując, przebył ten miły gaj, aż w skraju jego znalazł przestrzeń, na której już nie było warzywa żadnego. Był to skraj warzywnego ogrodu, łagodnym spadem połączony z ogrodem spacerowym i rzędem lip ocieniony. Warzywa już tu nie było... ale co tak błyszczą tam między trawą?

Błyszczą tam woda, bardzo zresztą niewiele wody. Z owych kanałów, zdobiących spacerowy ogród, przejściem jakimś, które sama sobie wytworzyła, zbiegała tu ona do jakiejś jamy, może przez nią samą wydrążonej, może kiedyś w jakimś celu tu wykopanej. Słowem, było to nic więcej, jak jama napelniona wodą. Ale na gruncie spadzistym i od bliskości kanałów wiecznie mokrym, rosły dwa wielkie krzaki kaliny, zasiał się istny las niezapominajek, skakało w trawie mnóstwo zielonych żab.

Tadeusz obie ręce niosąc do włosów, krzyknął:
— Aj! aj! *niezabudki!*

Znał on te kwiaty tak dobrze, jak wróble i groch. Pełno ich bowiem było w parowie, nad rzeką, dokąd często prowadziła go Chwedora, gdy szła do swojej ciotki na drugą stronę parowu, albo wchodziła do rzeczki, aby dokoła wystających z niej kamieni raki łowić.

Niedawno jeszcze narwał on z pomocą matki dwa pęki niezabudek, z których jeden zanieśli potem

wspólnie do kapliczki i złożyli u stóp świętego posągu, a drugi, przez kogoś ze dworu posłali tej pannie, która teraz, przed cienistym gankiem, rwała i układała w bukiety róże i georginie.

Wiedział więc, że te śliczne kwiatki zrywać trzeba dla Bozi i dla panienki, pamiętał, że gdy ich wtedy zerwał wiele, matka go potem całą drogę do chaty na rękach niosła, co bardzo lubił.

Rzucił się więc do niezabudek i zaczął je z całej siły drobnych swych rąk, rwać, rwać... Jeden kwiatek zrywając, szeptał:

— *Hetyj* dla Bozi! (*hetyj* — ten).

A drugi:

— *Hetyj* dla panienki...

Czasem wyrwał kwiaty z korzeniami lub z całej siły mocował się z łodygą, tak była do zerwania trudną; wtedy sapał, stękał i gniewnie mruczał:

— *Kap* ciebie licho *uziało*... (żeby cię licho wzięło...) *Kap* ciebie *paralusz*...

A potem znów

— *Hetyj* dla panienki... *hetyj* dla Bozi...

Roztargnienie mu sprawiły żaby i ptaki. Pierwsze co chwilę wyskakiwały z pod czarnych, bo błotem oblepionych jego stóp i plusk w wodę! A malce, patrząc na to, zanosił się od śmiechu. Ptaki znów wylatywały z kalinowych krzaków i fruwały mu tuż prawie przy uszach.

— *Kysz!* — wołał, machając więzią niezabudek — *kysz! a kysz!*

A potem znów rwąc niezabudki:

— *Hetyj* dla Bozi...

Wtem, stanął i radośnie krzyknął. Sikorka, znów sikorka, ta sama pewno, co tam w maku była. Och! siadła sobie teraz na kalinowej gałęzi i razem ze śnieżnym, okrągłym kwiatem kaliny kołysze się to w górę, to w dół pomalutku... i żółtą główką kręci...

Na ustach malca urwały się wyrazy: — „*hetyj*”

dla panienki!...". Jedną ręką trzymając pęk niezapominajek, drugą wyciągnął ku sikorce, krzyknął, pochylił się, poskoczył... Delikatne kwiaty razem z łodygami i korzeniami swemi rozsypały się nad brzegiem jamy, woda silnie plusnęła, Tadeusz zniknął.

Nic, ani krzyku, ani jęku, ani jednego zawołania na matkę lub ojca. Czasu nie było. Mgnienie oka. Na dnie jamy, pod słupem stojącej, zielonawej wody, synek Chwedory i Klemensa leżał na wznak i nieruchomo, a na unurzanej twarzy i zabłocone nogi jego kładły się długie, śliskie trawy koloru pleśni.

Ptak z żółtą główką i błękitnymi skrzydłami kołysał się na kalinowej gałęzi, to w górę, to w dół, pomalutku... zielone żaby skakały po mokrej trawie, lipy pachniały i jak tysiącem przytłumionych harf, dzwoniły brzęczeniem zlatujących na nie pszczoł.

Z przeciwnej strony ogrodu zdala dochodził głos namiestnika.

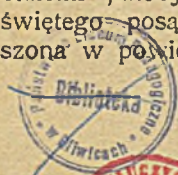
— Czy wam nie wstyd? Bójcie się Boga! to *heto hrech!*

Z innej strony, od pola, płynęło czasem basowe, głębokie wołanie idącego za plugiem chłopca:

— Hooo! hooo! nuże hooo!

Nad kipiącym morzem kwitnącego, miłosnego, rozśpiewanego, olśniewającego życia wznosił się z jednej strony cienisty ganek dworski, z drugiej kapliczka ze świętym posągiem.

Patrzyły one na siebie przez szerokie okno rozzerwanego szeregu lip. Przed gankiem kobieta rwąca róże i georginie zdala świeciła licem i rękami białymi jakoby śnieg. W niszy kapliczki korona świętego posągu jaśniała i promieniała, jak zawieszona w powietrzu gwiazda świetna i nieruchoma.



BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH

KOLEGIUM NAUCZYCIELSKIE
W GLIWICACH

202034